

DEKADA Literacka

ISSN 0867-4094
Nr indeksu 356-875

Nr 9/10(155/156) Rok IX
31 X 1999 Kraków
Cena 2 zł

LITERATURA ROSYJSKA: Jurij Bujda Lidia Czukowska Wiktor Jerofiejew Igor Klech Waczesław Kuricyn Aleksander Kuszner Junna Moric Waleria Narbikowa Wiktor Pielewin Ludmiła Pietruszewska Waczesław Pjecuch Aleksiej Purin Gienrich Sapgir Jelena Szwarz Olga Siedakowa Natalia i Tatiana Tolstoj Jelena Twierdisłowa



KOPUŁA ŚWIĄTYNI CHRYSYDUSA ZBAWICIELA w Moskwie po zdjęciu pozłacanej blachy w 1931 r.
Reprodukcja Album: Chram Christa Spasitiela, Moskwa 1992.

**Ludmiła
Pietruszewska**

*Nowi
Robinsonowie*

Kronika końca XX wieku

Tata i mama postanowili wszystkich przechrzyć i zaraz, jak się tylko zaczęło, wyjechali ze mną i z zapasem żywności na zapadłą wieś, gdzieś za rzeczkę Morę. Dom, kupiony za niewielkie pieniądze, stał sobie i czekał – jeździliśmy tam co roku pod koniec lipca, na poziomki, a potem przyjeżdżaliśmy w sierpniu, kiedy w zapuszczonych sadach można już było zbierać jabłka, mirabelki i zdziczałą drobną czarną porzeczkę, a w lasach pełno było malin i grzybów. Dom kupiliśmy właściwie do rozbiórki, ale mieszkaliśmy w nim i nic nie naprawialiśmy, aż pewnego pięknego dnia ojciec dogadał się z kierowcą, i wiosną, kiedy tylko skończyły się roztopy, pojechaliśmy na wieś ze skrzynkami żywności, jak Robinsonowie, z różnymi narzędziami ogrodniczymi, a także ze strzelbą i z chartem Piękną, która – taką mieliśmy nadzieję – mogła jesienią łapać na polach zające.

Ojciec rozpoczął gorączkowe prace – kopał w ogrodzie, także sąsiadom, który zagamął przesuwając słupy i siatkę nieistniejących sąsiadów. Skopaliśmy ogród, posadziliśmy trzy worki ziemniaków, okopaliśmy jabłonie, ojciec poszedł i narąbał w lesie torfu. Pojawiła się taczka na dwu kołach; w ogóle ojciec ostro szabrował w sąsiednich zabitych na głucho domach i gromadził wszystko, co mu wpadło w ręce: gwoździe, stare deski, papę, blachę, wiadra, stołki, klamki od drzwi, szyby, różne ładne starocie w rodzaju cebrzyków, kołowrotków i zegarów, i różne niepotrzebne starocie – jakieś gamki, żeliwne drzwiczki od pieców, zasuwki, fajerki i tak dalej. We wsi mieszkali tylko trzy staruchy: Anisja, całkiem zdziczała Marfutka i ruda Tania, jedyna, która miała rodzinę i do której przyjeżdżały własnym samochodem dzieci, coś przywoziły, coś zabierały, przywoziły miejskie konserwy, ser, masło, pierniki, zabierały kiszzone ogórki, kapustę i ziemniaki. Tania miała dobrze zaopatrzoną piwnicę i solidne, zadaszone obejście; mieszkał u niej jakiś niewydarzony wnuk Walerik, wiecznie chory to na uszy, to znów na krosty. Sama zaś Tania była z wykształcenia pielęgniarką, a wykształcenie zdobyła w łagrze na Kółmie, dokąd trafiła w wieku lat siedemnastu za kradzież prosiaka z kółchozu. Drzwi domu Tani były zawsze otwarte dla gości, w piecu buzował ogień; zachodziła do niej pastuszka Wierka z sąsiedniej zamieszkałej wsi Tarutino i już z daleka krzyczała, sama słyszałam: „Tania, dawaj herbaty! Tania, dawaj herbaty!”. Babcia Anisja, jedyny człowiek we wsi (Marfutkę trudno liczyć, a Tania to nie człowiek, tylko przestępca), opowiedziała nam, że Tania swego czasu była tu, w Morze, kierowniczką przychodni i niemal pierwszą po Bogu, robiła grube interesy, pół domu wynajmowała na przychodnię i nieźle na tym wychodziła. Anisja też pracowała u Tani pięć lat, przez co została zupełnie bez emerytury, jako że nie przepracowała w kółchozie regulaminowych dwudziestu pięciu lat, a pięć lat zamiastania w przychodni nie uprawniało do emerytury robotniczej. Mama pojechała z Anisją do ubezpieczalni w Prizierskoje, ale ubezpieczalnia była już zamknięta na głucho, wszystko się skończyło, i mama szybko podreptała z powrotem, dwadzieścia pięć kilometrów na piechotę do Mory z wystraszoną Anisją, i Anisja z miejsca rzuciła się kopać i rąbać coś w lesie, ściągając do domu chrust i pnie: odsuwała od siebie perspektywę śmierci głodowej, od której uratować mogła ją teraz tylko praca, dobrym przykładem skutków bezczynności była osiemdziesięciopięcioletnia Marfutka, która nie paliła już w piecu, a ziemniaki, które jakoś udało jej się przetaszczyć do domu, zimą przemarzły i zamieniły się w gnijący mokry kopczyk – mimo wszystko przez zimę Marfutka coś tam zjadła, więc nie miała ochoty rozstawać się z jedynym swoim majątkiem, zgniłymi ziemniakami, chociaż mama któregoś dnia wysłała mnie do niej z łopatą, żeby to wszystko wyskrobać. Ale Marfutka nie otworzyła mi drzwi, widząc przez utkane szmatami okno, że idę ze szpadlem. Nie wiadomo, jak jadła swoje ziemniaki – może na surowo (choć nie miała już ani jednego zęba), a może, kiedy nikt nie widział, rozpałała ogień. Drewno dawno już jej się skończyło. Wiosną, zakutana w brudne szale, szmaty i koce, przychodziła do Anisji, do ciepłego domu i siedziała tam jak mumia, nie odzywając się ani słowem. Anisja nawet nie próbowała jej niczym częstować i Marfutka po prostu siedziała. Kiedyś zajrzałam jej w twarz, a właściwie w ten fragment twarzy, który dało się dostrzec pośród szmat, i zobaczyłam, że twarz ma maleńką i ciemną, a oczy jak mokre dziurki. Marfutka przeżyła jeszcze jedną zimę, ale do ogrodu już nie wychodziła, i najwyraźniej zbierała się umierać z głodu. Anisja prostodusznie stwierdziła, że

CIĄG DALSZY NA STR. 18

Janusz Świeży Najnowsza literatura rosyjska w Polsce: Coś wiemy, ale wciąż za mało

Warto przypomnieć, że sporządzony niedawno przez czytelników „Rzeczpospolitej” „Kanon na koniec wieku” obejmuje aż cztery dzieła pisarzy rosyjskich, z których jedno – *Mistrz i Małgorzata* Michaiła Bułhakowa – uznane zostało za najlepszą książkę stulecia. Oczywiście interpretować ten fakt można rozmaicie, jak i przeróżne wyciągać z niego wnioski, przy czym pierwszym, zgoda podstawowym, winna być konstatacja naszej doskonałej, no, może dobrej znajomości literatury rosyjskiej. Niestety, byłoby to stwierdzenie nader złudne, a przynajmniej nie w pełni oddające stan rzeczy. Bo i owszem, znamy klasykę, w każdej bibliotece znajdziemy też liczne przekłady literatury radzieckiej, mniej obca jest nam dziś nawet twórczość do niedawna nieoficjalna: ta wyciągnięta z szuflad, samizdatowa bądź emigracyjna. Dzięki kilku szacownym wydawnictwom, wśród których prym wie dzie ostatnio „Czytelnik”, nadrabiamy zaległości różnej – bardziej lub mniej dawnej – daty... Jednak czy to samo rzecz możemy o literaturze najnowszej?

Otóż nie. Czasy, kiedy tłumaczono u nas bodaj wszystko, co się w Rosji ukazywało i było lub też nie było tego warte, minęły bezpowrotnie. Dzisiaj sytuacja zmieniła się tak radykalnie, że – znów uogólniając – wydaje się mało, a już zdecydowanie najmniej nowości. Dlatego nasze pojęcie o literaturze współczesnej jest cokolwiek niewspółczesne; o nowych pokoleniach twórców rosyjskich zazwyczaj wiemy coś najwyżej ze słyszenia, gdyż po prostu nie dysponujemy przekładami. Tu wypada zrobić ukłon w stronę redakcji „Literatury na Świecie”, która już kilka numerów, w tym dwa całe (1994, nr 7-8, 1996, nr 11-12, a wiem, że szykuje się trzeci), poświęciła rosyjskim nowościom. Właśnie dzięki temu przedsięwzięciu wydawnictwu przeczytaliśmy po polsku m. in.: prozę Ludmiły Pietruszewskiej, Wiktor Jerofiejewa, Waczesława Pjecucha, poezję Jana Satunowskiego, Gienricha Sapgi, Dmitrija Prigowa, Lwa Rubinsztejna, Jeleny Szwarz, Olgi Siedakowej i jeszcze paru innych godnych uwagi spadkobierców Puszkina. Jednak dwa, niechby nawet czterystostronicowe, numery „Literatury na Świecie”, choć ich wartość – także translatorską (głównie dzięki kunsztowi Jerzego Czecha i Adama Pomorskiego) – trudno przecenić, nie wypełnią powiększającej się już drugą dekadę luki. Szans na to nie miała również cenna, lecz niskonakładowa i niezbyt obszerna „Antologia nowej prozy rosyjskiej” pt. *Pieśni Słowian wschodnich* (wybór i opracowanie Alicja Wo-

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Wydawca:
KRAKOWSKA
FUNDACJA KULTURY

Adres redakcji:
ul. Kanonicza 7
31-002 Kraków
tel./fax 422-47-73

Redakcja:
Marta Wyka *redaktor naczelny*
Teresa Walas *sekretarz redakcji*
Krzysztof Lisowski
Włodzimierz Maciąg
Agnieszka Kosińska
Aleksander Pieniek *red. graficzny*
Bogdan Rogatko

Współpracują:
Stanisław Balbus
Piotr Bukowski
Jarosław Fazan
Julian Kornhauser
Robert Ostaszewski
Stanisław Rodziński
Małgorzata Ruda
Jan Józef Szczepański

Skład: Jan Szczurek

**Druk: KRAKOWSKA
DRUKARNIA PRASOWA**
Kraków, ul. Nowohucka 50

*Redakcja nie zwraca
materiałów nie zamówionych
i zastrzega sobie
prawo skrótów*

Warunki prenumeraty:
Prenumerata roczna krajowa
wynosi 36,00 PLN
półroczna - 18,00 PLN
kwartalna - 9,00 PLN
Prenumerata roczna

zagraniczna wynosi 18 USD
półroczna - 9 USD
kwartalna - 4,50 USD

Cena egzemplarza
DEKADY LITERACKIEJ
w prenumeracie krajowej
wynosi: 3,00 PLN

Cena egzemplarza
DEKADY LITERACKIEJ
w prenumeracie zagranicznej
wynosi: 1,5 USD*

Cena za egzemplarz archiwalny
(nie z roku bieżącego)
wraz z wysyłką wynosi 2 PLN
Płatników VAT-u prosimy
o podawanie NIP-u.
Potwierdzeniem
przyjęcia prenumeraty
jest wystawienie przez KFK
rachunku uproszczonego
lub faktury VAT.

*w przypadku wpłaty w PLN
- wg aktualnego kursu NBP

**Prenumeratę prosimy wpłacać
na konto KRAKOWSKIEJ
FUNDACJI KULTURY
BPH IV O/Kraków
10601389-709987-27000-500101**

Najnowsza literatura rosyjska w Polsce: Coś wiemy, ale wciąż za mało

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

łodzko, Izabelin 1995), na którą złożyły się opowiadania bądź fragmenty prozy powieściowej Pjecucha, Pietruszewskiej, Marka Griszy-na, Friedricha Gorensztejna, Michaiła Kura-jewa, Władimira Makanina, Wiktora Pielew-na, Jewgienija i Walerija Popowa, Zinowija Zinika (zarówno Makanin, jak i Zinik doczeka-li się u nas odrębnych tomów: W. Makanin, *Antylider*, Warszawa 1989, Z. Zinik, *Grzybowski*, Warszawa 1994). Sporo dobrej ro-boty wykonali też studenci z Koła Naukowe-go Ruscystów Uniwersytetu Śląskiego, któ-rzy w redagowanym przez siebie almanachu „Rosyjska Ruletka” zamieszczali przekłady li-teratury najnowszej (szczególnie ciekawy wydaje się numer 3 z 1996 roku). Swego cza-su, z inicjatywy nieodżałowanego znawcy i wy-trwałego popularyzatora literatury rosyjskiej, Andrzeja Drawicza, zainaugurowano rosyjskie dodatki do „Wiadomości Kulturalnych”, których jednak ukazało się tylko trzy. Interesujące współczesne *rossica* można też znaleźć w „Zeszytach Literackich”, „Literaturze”, „Twór-czości” etc. I jeszcze od czasu do czasu wy-ręczają „branżę” niektóre polskie dzienniki (głównie w magazynach), tygodniki i miesięcz-niki. Wątpię, bym pominął coś wyjątkowo waż-nego, co mogłoby zatrzeć wrażenie, że nasza oferta wydawnicza bynajmniej nie imponuje rozmachem.

Jeszcze mizerniej mają się sprawy z edycjami książkowymi. Na skromne tomiki poezji zasłużyli sobie: Natalia Gorbaniewska, Jewgienij Riejn i Siergiej Awierincew. Więcej przetłumaczono Giennadija Ajgi. I tylko noblista Josif Brodski wydawany jest dość często.

Warto też zauważyć – jakkolwiek nie jest to literatura ostatniej dekady – że księgarnie lat 90. oferowały, a i jeszcze oferują niezwykle ważne, odzyskane utwory autorów całego dwudziestego wieku: Nikołaja Gumilowa, Borisa Sawinnikowa, Daniła Charmsa i innych Oberiutów, Leonida Dobyczina, Osipa Mandelsztama, Anny Achmatowej, Michaiła Zoszczenki, Andrieja Płatonowa, Władimira Nabokowa, tajemniczego M. Agiejewa, Nikołaja Narokowa, Warłama Szalamowa, Lidii Czukowskiej, Władimira Tiendriakowa, Aleksandra Galicza, Władimira Tiendriakowa, Władimira Wojnowicza, Siergieja Dowłatowa, Władimira Maksimowa, Władimira Bukowskiego, Aleksandra Sołżenicyna i in. Dokumentalne i publicystyczne nowości dwu ostatnich też zresztą nie są nam obce (Bukowskiego *Moskiewski proces. Dysydent w archiwach KGB*, Warszawa 1998 i Sołżenicyna *Rosja w zapaści*, Warszawa 1999). Nie sposób pominąć literatury wspomnieniowej i pamiętnikarskiej, z dziełami Izaaka Babla, Niny Berberowej, Benedikta Liwskiego, Olega Wołkowa, Nadieжды Mandelsztamowej, Andrieja Tarkowskiego i Mai Plisieckiej na czele.

Znaczącym wydarzeniem była niewątpliwie publikacja ostatniej powieści Bułata Okudźawy *Wędrowki pamięci* (Kraków 1997; wyrazem naszego tradycyjnego sentymentu do Okudźawy jest jeszcze kilka innych ubiegło- i tegorocznych wydań jego poezji i prozy). Wymienić nadto można *Rosyjską piękność* Wiktora Jerofiejewa (Warszawa 1993), dwa tomy dokumentalizowanych szkiców Witalija Szentalińskiego *Z „archiwów literackich” KGB* (*Wskrzeszone słowo*, Warszawa 1996 i *Tajemnice Łubianki*, Warszawa 1997), także opowieści o *Kremłowskich żonach* (Warszawa 1995) i *Kremłowskich dzieciach* (Warszawa 1997).

Larysy Wasiliewej, ciekawy zbiór esejów emigranta czasów pieriestrojki Jurija Drużnikowa pt. *Rosyjskie mity. Od Puszkina do Pawłika Morozowa* (Warszawa 1998), głośną powieść Gieorgija Władimowa *General i jego armia* (Kraków 1999), dwa tomy – z planowanych trzech – *Moskiewskiej sagi* Wasilija Aksionowa (t. 1: *Pokolenie zimy*, t. 2: *Wojna i więzienie*, Warszawa 1999), *Trawiastą ulicę* Asara Eppela (Warszawa 1999). Sporo tomów liczy też na bieżąco spolszczana paradokumentałna proza sensacyjna Wiktora Suworowa.

Co zaś się tyczy naukowej recepcji najnowszej literatury rosyjskiej, to tutaj sytuacja zdaje się wyglądać lepiej. Wprawdzie kilkanaście stron w *Historii literatury rosyjskiej XX wieku* pod redakcją Andrzeja Drawicza (Warszawa 1997) traktujących o „Pieriestrojce i latach ostatnich” raczej sugeruje chaos także w tej dziedzinie, jednak szkice i artykuły rozrzucone po najróżniejszych zeszytach naukowych polskich ośrodków akademickich czy zebrane w oddzielne tomy, a wreszcie – co prawda nieliczne – monografie, świadczą o ciągłym zainteresowaniu problemem. Wymienię kilka przykładów.

Współczesność rozumianą wąsko, a więc interesującą nas tutaj najbardziej, gruntownie opisuje monografia Janiny Sałajczykowej: *Dziesięciolecie przemian. Proza rosyjska lat 1985-1995* (Gdańsk 1998), będąca w zamysle autorki pierwszą częścią skryptu dla studentów rusycystyki. Informacyjny i porządkujący charakter mają też rzetelne studia Anny Skotnickiej-Maj, drukowane w „Kresach” (1998, nr 1), „Slavii Orientalis” (1998, nr 2) czy w niskonakładowych tomach *Pisarze nowi, zapomniani i odkrywani na nowo* (Katowice 1996) i *Literatury Słowian wschodnich. Tendencje rozwojowe, przewartościowania* (Zielona Góra 1999). Teraz czekamy na jej książkę o rosyjskim postmodernizmie!

Wśród studiów, które zachaczą o lata ostatnie, wspomnieć warto pracę zbiorową *Sylwetki współczesnych pisarzy rosyjskich* (pod red. Piotra Fasta i Lucyny Rożek, Katowice 1994) oraz książki poświęcone „wolnej literaturze rosyjskiej”, by wymienić rozprawę Alicji Wołodźko, pt. *Pasierbowie Rosji. O prozaikach trzeciej emigracji* (Warszawa 1995) oraz ukazującą od 1993 roku serię wydawniczą Uniwersytetu Jagiellońskiego „Literatura Rosyjska – Emigracja – Tamizdat – Samizdat” pod red. Lucjana Suchanka (szczególnie: *Dać świadectwo prawdzie. Portrety współczesnych pisarzy rosyjskich*, Kraków 1996; *Realści i postmoderniści. Sylwetki współczesnych rosyjskich pisarzy emigracyjnych*, Kraków 1997; Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz, *W poszukiwaniu autentyzmu. Twórczość prozatorska Georgija Władimowa*, Kraków 1999; Lucjan Suchanek, *Homo sovieticus, świetlana przyszłość, gnijący Zachód. Pisarstwo Aleksandra Zinowiewa*, Kraków 1999).

Spśród poetów – co zrozumiałe – największe zainteresowanie wzbudza Josif Brodski, którego spuściznie poświęcono szereg analiz cząstkowych (np. zebranych w tomie *O Brodskim. Studia – szkice – refleksje*, Katowice 1993; redaktor tego wydania, Piotr Fast, opublikował też zbiór własnych esejów: *Spotkania z Brodskim*, Wrocław 1996) oraz obszerną znakomitą monografię wytrawnej znawczyni dwudziestowiecznej literatury rosyjskiej, Jadwigi Szymak-Reiferowej, pt. *Czytając Brodskiego* (Kraków 1998; wcześniej w serii „Sylwetki pisarzy XX wieku” ta sama badaczka wydała niewielką książeczkę *Josif Brodski*, Katowice 1993). O innych współczesnych poetach pisze się u nas niezwykle rzadko. Mniej więcej to samo dotyczy dramata, choć ten doczekał się jednak próby ujęcia syntetycznego: Walenty Piłat, *Współczesna dramaturgia rosyjska. Lata osiemdziesiąte* (Olsztyn 1995).

Skąd jeszcze możemy zaczerpnąć informa-

Niniejszy numer DEKADY LITERACKIEJ
ukazuje się dzięki pomocy:

- Fundacji im. STEFANA BATOREGO
- Gminy KRAKÓW
- Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego
- Rosyjsko-Polskiej Fundacji „KULTURA I SZTUKA PONAD GRANICAMI”
- STOWARZYSZENIA WSPÓŁPRACY POLSKA-WSCHÓD
- Szwajcarskiej Fundacji dla Kultury PRO HELVETIA

Numer przygotował Janusz Świeży

cje o pisarzach postradzieckiej Rosji? Polecam *Przewodnik po współczesnej literaturze rosyjskiej i jej okolicach (1917-1996)* Tadeusza Klimowicza (Wrocław 1996) – może kontrowersyjny, lecz bez wątpienia pasjonujący! Miejmy nadzieję, że w zapowiadany przez wydawnictwo „Znak” leksykonie *Kto był kim w Rosji po 1917 roku*, autorstwa Grzegorza Przebindy i Józefa Smagi, znajdzie się też trochę miejsca – choć wszystko trzeba zmieścić w jednym tomie – dla najważniejszych literatów końca wieku.

To chyba jednak pocieszające, że moją wylizczankę mogę zakończyć typowym: nie sposób wymienić wszystkiego, nawet jeśli nie jest tego aż tak wiele.

Natomiasz właśnie owa ubogość oraz pragnienie podzielenia się z Czytelnikiem własnymi doświadczeniami, związanymi z dzisiejszą Rosją, skłoniły polskich autorów tego numeru do opracowania – niestety, z konieczności znów skromnego – przeglądu nieznannej rosyjskiej współczesności literackiej. Wyboru – taka już jego natura – subiektywnego, może o nieco zachwianych proporcjach (mało tu na przykład realizmu, cały czas w tej literaturze wyraźnie obecnego). Powodowani byliśmy jednak chęcią pokazania tego, co najmniej u nas znane, a dla Rosji z jednej strony nowe, z drugiej zaś – reprezentatywne. Wybraliśmy przy tym twórców najznamienszych i modnych, o których głośno także na świecie, bo i o nich wiemy zbyt mało, ba! niektórzy przezywają niniejszym swój polski debiut! Inni jeszcze na to czekają... Zaproponowane tu teksty w znakomitej większości nie były dotąd w Polsce znane. Wyjątek stanowi esej Jerojefiewa *Rosyjska szczelina*, który jako *Rosyjska szpara* ukazał się wcześniej w tłumaczeniu Danuty Ulickiej, ale ze znacznymi skrótami i w mało dziś dostępnym „Tygodniku Literackim” (1990, nr 1), oraz opowiadanie Bujdy *Wesoła Gertruda*, które w zmienionym wariancie przedrukowujemy za almanachem „Rosyjska Ruletka” (1996, nr 3). Niestety, często nie mogliśmy zamieścić utworów w dorobku prezentowanych pisarzy najważniejszych, musieliśmy pominąć powieści i dłuższe opowiadania, których wartości literackie i poznawcze są czasem – trzeba przyznać – znacznie wyższe, niż tekstów tu drukowanych. Aż ciśnie się na język naiwne „szkoda”, iż nie mamy miejsca na wszystko, co wydrukować warto. Pominęliśmy dzieła emigrantów. Nie jest to wyraz przekonania, że – jak chce wielu komentatorów – literatura rosyjskiej zagranicy straciła już dziś znaczenie, a zwykła konieczność, jeden z wielu trudnych wyborów i skrótów, jedna z nieuniknionych strat i rezygnacji. Inną było pominięcie rosyjskiej prowincji, ciekawej i płodnej, niechybnie zasługującej na oddzielny numer specjalny. Po macoszemu potraktowaliśmy też poezję, której – wobec zalewu nowych nazwisk i publikacji – jeszcze nie sposób ogarnąć w krytycznym odbiorze. Mimowolne porównania z Brodskim zadania wcale nie ułatwiają... Drukujemy przeto zaledwie kilka wierszy znanych autorów petersburskich. I mimo tych wszystkich uproszczeń z radością oddajemy rosyjski numer „Dekady Literackiej” pod Czytelniczy osąd.

Janusz Świeży

Wiktor Jerofiejew Rosyjska szczelina

Tajemnica człowieka rosyjskiego polega na tym, że ma on szczelinę. Albo – dziurę. Albo przeciek, jeśli użyć marynarskiego terminu. W każdym razie zdecydowanie nie jest hermetyczny. Brak mu poczucia całkowitości, świadomości siebie jako skończonej, zamkniętej formy. Gdzie szczelina, tam rozszczepienie, rozbicie, spustoszenie. Odgłos – jeśli postukać – stłumiony, dziwny, głuchy, zagadkowy. Kompletna forma nie stwarza takich problemów. Jest. Dobra czy zła, istnieje, i tyle. A tutaj: kto rozbil? kiedy? w jakim celu? a może od początku, z natury – ze szczeliną? Pytaniom nie ma końca.

Co gorsza, nie ma też ratunku. Jeśli ze szczeliną, z przeciekiem, to na pewno tonie. Rosjanin wiecznie tonie. Nie jest jednak topielcem. W istocie jest niezatapialnym tonącym. W jakimś sensie wodnikiem, który nie nauczył się pływać. Rzucają koło ratunkowe, panika, ciągną go za włosy, z wielkim trudem wywlekają na brzeg. Położyli, cucą. Rosjanin jest nieśmiały. Nie lubi takiego zamieszania. Wstyd mu, że jest nagi, niedogolony i w ogóle prezentuje się niezbyt estetycznie. Nie podoba mu się, że się nie podoba. Zamknięty, podejrzliwy i agresywny, nie wykrztusi z siebie słowa podziękowania. Otacza go napięta, kwaśno-górzka aura.

Po chwili podnosi się z piasku, mętnym wzrokiem lustruje ratowników i powoli, ponuro, nieugięcie lezie do wody. Żeby znów tonąć i cierpieć. Pojawia się nieoczekiwane podejrzenie: przecież ten sukinyś jest pijany! Niewykluczone. Chociaż niewykluczone też, że jest trzeźwy. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że ma szczelinę – poważne alibi wariata.

Ze szczeliną nie da się żyć normalnie. Ze szczeliną nie da się uczciwie pracować, myśleć o przyszłości, dbać o dom, kupować jedwabnych krawatów. Ze szczeliną nie da się zbudować równej drogi albo zostać aptekarzem. Szczelinę można ukryć, jak zwierzę chowa ogon ściskając go między łapami. Szczelinę w ostateczności można też zalepić. Jednak odgłos pozostanie głuchy i zagadkowy. Można tylko udawać, że wszystko jest OK. Kombinować i kłamać. Ale kłamstwo kłamstwem, a przecież tak się chce wyć do Księżycy!

Szczelina stanowi dumę Rosjanina. W to, że jest koroną stworzenia, Rosjanin – nawet najskromniejszy i najporządniejszy, nawet Czechow – nigdy nie wątpił. W to, że jest „głównem”, też nie wątpił. Cała rosyjska filozofia zastęgała w obliczu tak paradoksalnej polaryzacji. Cała rosyjska literatura upajała się rozmachem swego bohatera. Cudzoziemcy też popadali w błogie zadziwienie. Jakże mogli rozumieć – zapasteryzowani na amen, bez najmniejszej szczelinki?

Spojrzyj na Rosjanina przenikliwie. Rosjanin spojrzy na ciebie przenikliwie. I wszystko jasne, nic już nie trzeba mówić. Z cudzoziemcem tak się nie da. Celne to spostrzeżenie poczynił Wasilij Rozanow na początku XX wieku.

Przez szczelinę gołym okiem widać rosyjską duszę. Można jej dotknąć palcem albo nawet połaskotać. Kiedy laskotana dusza rosyjska zwiąja się ze śmiechu, śmiech niesie się po całej okolicy. Rosyjska wesołość pachnie histerią – często niespodziewanie przechodzi w płacz albo w burdę. Przelaskotali. Rosyjskie pieśni też są historyczne. Męczące i żalotne. Zaś rosyjskie bajki to cliwe, to znów podejrzenie cyniczne. Wykpiwają rozum i pracę. Królują w nich kłamstwo i cud. Rządzi w nich kłamaż – głupi Iwan. Nie przepada za swoimi braćmi – folklorystyczną inteligencją pracującą.

Nie bez racji teologów ciągnie do Rosjanina: Rosjanin jest metafizyczny, mistyczna substancja duszy wylała z niego, jak chusteczka z kieszeni. Rosyjskie prawosławie, przy całej swojej ceremonialnej pompatości, też ma szczelinę. Przy wszystkich swoich niewiarygodnie barwnych średniowiecznych ikonach jest czarno-białe, bez żadnych odcieni. Przypomina koło z przebitą dętką. Stabilnie leży, marnie jedzie. Siedząc na tym kole dobrze się patrzy w gwiaździste niebo i

rozważa o naturze rosyjskiej duszy. Prawdopodobnie wódka to jedyna święta woda, która, mimo usilnej z nią walki, jak dotąd nie wyszła na Rusi. Dobrze tak donikąd nie jechać.

Przez szczelinę rosyjska dusza bezpośrednio ogląda świat, nie uciekając się do pośrednictwa banalnego ludzkiego wzroku, i za pan brat obcuje sobie z Bogiem. Jest to wyjątkowe doświadczenie. Nie z punktu widzenia wieczności, a szczeliny. To doświadczenie jest skarbem rosyjskiej kultury. Szczęściem i dumą. Byłej i przyszłej. Rosyjska kultura nigdy nie będzie bezrobotna. W odróżnieniu od niewydarzonej rosyjskiej cywilizacji.

Rosyjska cywilizacja jest cywilizacją drażliwych naśladowców, opętanych paradoksalną manią pierwszeństwa – Rosjanie wynaleźli wszystko wcześniej i lepiej niż inni, ale na jarmarku idei okradli ich Żydzi i cudzoziemcy. Jest takie humorystyczne opowiadanie młodego Czechowa, w którym ten porównuje francuski i rosyjski rozum: „Rosyjski rozum jest bardzo wynalazczy! – mówi jeden z bohaterów. – Tyle że, oczywiście, nie ma możliwości przebicia się, a do tego nie umie się chwalić... Skonstruuje coś i połamie, albo da dzieciom do zabawy, a wasz Francuz byle co wymyśli i zaraz drze się na cały świat. Nie dalej jak kilka dni temu Jona wystrugał z drewna człowieczka: jak go szarpniesz za nitkę – robi coś nieprzyzwoitego. Ale Jona się nie chwali”.

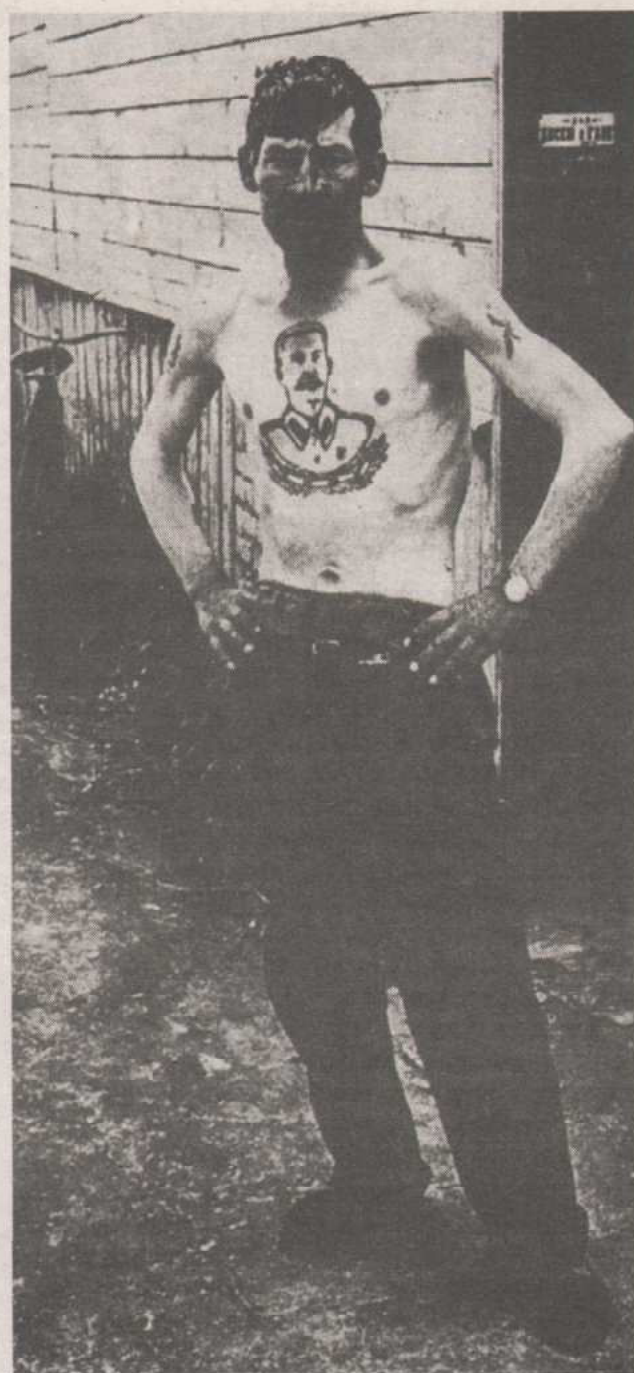
Zresztą wystarczy poszukać w rodzinie: mój tajemniczy daleki krewny Popow wymyślił nie coś tam nieprzyzwoitego, a radio, przy czym wcześniej niż Marconi. Każdy uczeń u nas o tym wie. Ja też, naturalnie, jestem o tym przekonany.

Francuski podróżnik, markiz de Custine, autor *Listów z Rosji* zauważył, że problem Rosjan polega nie na tym, że naśladują oni Europę, a na tym, że robią to nieudolnie. Sto pięćdziesiąt lat po wyjściu w świat wspomnianej książki (dotychczas zresztą nie opublikowanej w Rosji w całości z racji rozlicznych urazów) rosyjska dusza nadal nie wie, kim jest: Europejką, Azjatką, czy może czymś zupełnie już oryginalnym? Najznakomitsze rosyjskie umysły łamią głowy nad tym zagadnieniem. A rosyjska dusza jest duszą archaiczną. Boi się wszystkiego, co „obce”, nie wyłączając coca-coli. Zdaje jej się, że ta „czarna woda”, wynalazek cudzoziemskich szarlatanów, pozbawi ją niewinności. Boi się również „obcych” szat. Żadne tam potiomkinowskie wsie radzieckiej mody – eleganckie kolekcje Władysława Zajcewa nie przekonają jej, że moda jest przywoita. Żadne nowinki polityczne nie zawrócą jej w głowie: chyli czoło przed siłą i pogardza słabością. Jest monarchistką, nie pluralistką. Jest wolna w swojej prymitywnej niewoli.

Szczelina jest główną przyczyną rosyjskiego wiecznego niezadowolenia, nienasycenia, niewybredności, surowych wymagań i lenistwa. Najlepszy mityczny wyraz rosyjskiej duszy stanowi ziemianin Oblomow. Pięknie i dobrze prześpał całe życie. Próbowal się zakochać – nie wyszło. Miłotna energia uciekła przez szczelinę. Przez szczelinę ucieka cała energia życiowa. W szczelinę wlały cały brud świata. Żeby zachować energię, trzeba długo spać. Rosyjska dusza potrzebuje spokoju. Rosyjska dusza nigdy go nie zazna.

Naród chłopów, który niemal tysiąc lat temu odszedł spod łagodnego słońca spłodowanej przez ludy stepów kijowszczyzny w błotniste lasy Północy, nie podejrzewał nawet, że tam, na bagnach, powstanie nowa społeczność głęboko społecznych ludzi – z rannymi duszami cierpiącymi z powodu kapryśnego klimatu, jałowej ziemi i przymusowej zimowej bezczynności.

Zapomniany na Zachodzie rosyjski historyk Kluczewski, zmarły sześć lat przed wybuchem bolszewickiej rewolucji, okazał się znacznie dokładniejszy, niż znany na całym świecie



HOMO SOVIETICUS. Reprodukacja A. Drawicza, *Spór o Rosję*, Warszawa 1992.

cie Dostojewski, wskazując nie na *sobornost'* i kolektywizm duszy rosyjskiej, a na jej beznadziejne samotnictwo: „...Wielokorus najlepiej pracuje sam, kiedy nikt na niego nie patrzy, i z trudem przyzwyczajają się do pracy kolektywnej. Z natury jest zamknięty w sobie i ostrożny, a nawet bojaźliwy, wiecznie zamyślony, nietowarzyski, lepszy w samotności, niż pośród ludzi, lepszy na początku pracy, kiedy jeszcze nie jest pewien siebie i wyniku, a gorszy pod koniec, kiedy już osiągnie jakieś rezultaty i zwróci na siebie uwagę: niepewność siebie podsyca jego siły, a powodzenie gasi je”.

Niecierpliwy dyletant i zręczny polityk Lenin nie posłuchał Kluczewskiego i przekształcił rosyjską rewolucję w długotrwałą torturę rosyjskiej duszy. Kto jednak odważy się na poważnie zaprzeczyć, że komunistyczna idea okazała się w wielu punktach zbliżona ze „szczelinową” rosyjską mentalnością? Że Marks był tylko pretekstem, a nie powodem owej fascynacji *urawniówką* i zawistnej złości na bogatszego sąsiada, które uskrzydlały statystycznego Rosjanina z jego „szczelinową” entropią? Dzisiaj niesłychane przemiany znów mącą Rosjanom w głowach. Trzeci raz – po Piotrze Pierwszym i Aleksandrze Drugim – w rosyjskiej historii pojawia się szansa wyskoczenia z błota. Trzecia próba na przestrzeni trzech wieków. Ostatnia. Skaczcie, cholery!

Może szczelina zabił się, jak rana?

W zimny marcowy poranek 1990 roku leciwy taksówkarz wioził mnie na międzynarodowe lotnisko „Szeremietiewo”. Kiedy dowiedział się, że lecę do Paryża, zapytał z nieskrywaną ciekawością:

– A czy to prawda, co mówią, że w Paryżu wszyscy noszą białe spodnie?

Doszedłem do wniosku, że obaj wariujemy. Który to już raz słysząc takie głupstwa zaczynałem obawiać się o perspektywę Europy, o rosyjską inteligencję obserwującą gry parlamentarne, o moskiewską i petersburską młodzież, rosnącą dziś bez opieki partii, o mieszkańców Kaukazu, o Litwinów i o nas wszystkich razem. Przez szczelinę wyciekło tysiąclecie. Zegar znów pokazał ruską wieczność. Ufna, sprytna, niechlujna dusza marząc o dolarach i o Stalinie wesoło zerkala na mnie ze szczeliny. Nie było powodów do rozpacz.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[„Więstnik nowoj russkoj literatury” 1992, nr 2]

Maksim Kantor, *Bez tytułu*, olej na płótnie, XLVII Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji, Rosyjski Pawilon, 1997.

Fotografia Grażyna Borowik



Anna Skotnicka-Maj **Literatura przyspieszonego rozwoju**

W wierszu *Złoty środek* (1950) Zbigniewa Herberta czytamy: „— Uczni zmyślają początek / Prorocy wrzeszczą koniec”. Dwuwiersz ten dobrze oddaje nastroje w rosyjskim życiu literackim po 1985 roku. Po czuciu katastrofy i kresu oraz pragnieniu zamknięcia wcześniejszego etapu rozwoju towarzyszyły wówczas próby przezwyciężenia kryzysu oraz nadzieja na wyjście ze ślepego zaułka, w jakim — w przekonaniu wielu — znalazła się kultura rosyjska. W zależności od opcji światopoglądowej i artystycznej jedne zjawiska poddawane były ostracyzmowi, inne gorąco popierano jako zapowiedź nowych jakości. Przedłużający się okres przejściowy wzmagał, wykorzystam formułę Jerzego Jarzębskiego, „apetyt na Przemianę”.

Po 1985 roku ruszyła ogromną falą literatura zatrzymana przez cenzurę po 1917 roku i obecna co najwyżej w sam- lub tamizdacie. Zasiliły ten nurt utwory zupełnie nieznane, przechowywane do tego momentu w specjalnych archiwach państwowych lub prywatnych. Swą twórczość zaczęli udostępniać szerokiemu ogółowi czytelników także artyści undergroundowi, ci, którzy funkcjonowali dotychczas w wąskim kręgu towarzyskim — nieobecni zarówno w oficjalnym, jak i pozacenzuralnym obiegu. Fakty literackie dalszej i bliższej przeszłości przemieszały się z teraźniejszymi. Na obraz współczesnej literatury rosyjskiej składa się zatem wiele nurtów, propozycji i sporów. Kultura ta przeżywa obecnie czas przyspieszonego rozwoju.

W minionym *popieriestrojowym* piętnastolecu najintensywniej dały o sobie znać dwie tendencje: dążenie do zerwania z radzieckim okresem literatury i pragnienie przywrócenia kulturze rosyjskiej równowagi utraconej w połowie lat 20. Oznaczało to przekreślenie monopolu realizmu na rzecz wielości artystycznych wyborów. Zjawisko zupełnie nowe, w Związku Radzieckim bowiem modernizm i awangarda opatrywano zazwyczaj etykietkami ideologicznymi i zaliczano do zjawisk reakcyjnych — burżuazyjnych. Również literatura światowa podlegała reglamentacji. Ernest Hemingway — na przykład — tak naprawdę dopiero w latach 60. dotarł do czytelnika radzieckiego i stał się idolem tego pokolenia. Wówczas także ukazały się m. in.

przekłady pisarzy egzystencjalistów, jednakże w oficjalnym nurcie twórczości prozaików radzieckich tamtego okresu nie odnajdziemy zbyt wyraźnych śladów ich wpływów.

Dla najnowszych czasów symbolem tego, co „radzieckie” stali się twórcy, którzy w odwilżowych latach 60. podjęli rozrachunek ze stalinizmem. Zyskali oni wówczas miano *szesziedsiatników*. Znamy ich w Polsce dobrze: **Władimir Maksimow**, **Anatolij Rybakow**, **Bulat Okudźawa**, **Gieorgij Władimow**. Uprawiali pisarstwo zaangażowane, interesowały ich problemy wagi społecznej, funkcje artystyczne podporządkowywali zadaniom interwencyjnym. Wyczerpanie się tego modelu pisarstwa ogłosił w 1990 roku eseista i prozaik **Wiktor Jerońfiejew** w artykule o prowokacyjnym tytule *Stypa po literaturze sowieckiej* (drukowała go w 1991 roku „Res Publica”). Urodzony w 1947 roku, Wiktor Jerońfiejew należał już do innej generacji. W czasie, gdy o możliwości publikowania decydowała cenzura i przynależność do Związku Pisarzy Radzieckich, pokolenie to miało utrudniony dostęp do wydawnictw i prasy oficjalnej. Uczestnictwo w obiegu pozacenzuralnym było karane. W sam- i tamizdacie dominowała opozycja ideologiczna. Dlatego też twórcy, którzy wyróżniali się odmiennością poglądów estetycznych, a nie ideologicznych, znani są u nas słabiej. Dzisiaj z innych już powodów z trudem docierają do polskiego czytelnika. Dla tych, którzy wchodzili do literatury w latach 70. i następnych, nie do przyjęcia okazywało się zarówno pełne patosu moralizatorstwo Sołżenicyna, jak i łagodny dydaktyzm Okudźawy. Konflikt dotyczył przede wszystkim odmiennego traktowania literatury i jej funkcji.

Uznanie poprzedniego etapu za zamknięty możliwe było po rozliczeniu się z jego dokonaniem. Początkowo zatem proza rosyjska doby *periestrojki* skupia się właśnie na tym zadaniu i w gruncie rzeczy kontynuuje przezwyciężanie w połowie lat 60. rozrachunek z czasami stalinizmu. Jednak tym razem interesują ją nie tylko białe plamy historii, choć takim problemom poświęcone są np. powieści prozaików starszej generacji: **Wiktor Astafiewa** *Przeklęci i zabici* lub **Gieorgija Władimowa** *Generał i jego armia*. Dla młodszych pisarzy,

którzy wkraczali do literatury z odmiennym bagażem doświadczeń, wagę podstawową mają kwestie estetyczne.

Młodzi poddali krytyce mit sztuki radzieckiej. Jednak pierwsza odwilżowa próba rozpoznania realizmu socjalistycznego w sztuce należy do pisarza i literaturoznawcy starszego pokolenia — **Andrieja Siniawskiego**. Już w 1957 roku jako **Abram Terc** sformułował on w artykule *Co to jest realizm socjalistyczny?* następującą definicję: „To na polu klasycystyczna częściowo sztuka nie całkiem socjalistycznego zupełnie nie realizmu”. Nawiązując do utworów, które stały się znakiem odwilży (np. powieści Erenburga czy Dudincewa), zadawał Terc pytanie, czy realizm jest jedynym odstępstwem, do jakiego zdolna jest literatura rosyjska i opowiadał się za fantazją i „sztuką fantasmagoryczną, z hipotezami zamiast celów i groteską zamiast opisu obyczajów”. Dla kultury rosyjskiej preferującą model literatury jako zwierciadła rzeczywistości, czy nawet jako dokumentu, program ten brzmiał niemal bluźnierczo. Terc udostępnił swoje utwory na Zachodzie. Ceną za poglądy i postawę był obóz i w efekcie — emigracja.

Postulowany przez Siniawskiego sposób tworzenia, z małymi wyjątkami, nie rozwijał się w kulturze oficjalnej. Rozkwitał natomiast poza nią, głównie w kręgu bohemy literackiej. Jedną z takich właśnie strategii artystycznych stosuje grupa „Mit’ki”. Pisał o niej ostatnio Tadeusz Klimowicz jako o leningradzkiej herezji surrealistycznej. „Mit’ki”, zajmując się malarstwem, grafiką, poezją i ilustrowaniem książek, nawiązują do tradycji nonsensu, który w XIX w. uprawiał fikcyjny Koźma Prutkow, w XX zaś — Oberiuci. Prześmiewczość i fantazję odnajduje czytelnik także w miniaturach zmarłego kilka dni temu poety **Gienricha Sapgira**, zwanego z powstania w połowie lat 50. moskiewską grupą twórców nieformalnych — „Lianozowo”. W skondensowanej formie groteskowych opowieści artysta poprzez grę słów, paradoksy czy mieszanie stylów ukazuje niedorzeczności radzieckiej codzienności.

Ironia, groteska, absurd i paradoks stały się trwałym składnikiem współczesnej prozy. Zyskała ona nazwę „innej”, dzięki wyraźnemu usytuowaniu w opozycji do modelu ra-

dzieckiej literatury oficjalnej. Na początku lat 70. wybitni badacze Jurij Łotman i Boris Uspienski uznali, że o specyfice kultury rosyjskiej stanowią modele dualne. Każdy bowiem nowy okres demonstracyjnie zrywa więzi z poprzednim, kulturą zaś rządzi dwubiegowość. Wszystko wskazuje na to, że aktualnie literatura rosyjska znajduje się w fazie kwestionowania i podawania w wątpliwość wielu wartości oraz sposobów tworzenia preferowanych w latach ubiegłych.

Totalna negacja rzeczywistości i jej dotychczasowego obrazu w sztuce ujawniła się w literaturze rosyjskiej po *periestrojce*. Patos, emocjonalność oraz kiczowatość socrealizmu zostaje unieważniona poprzez prozę konceptualną i skrajnie naturalistyczną. Generuje ona swoiste antyświaty. Triumf święci parodia i stylizacja. Za właściwego bohatera tej prozy wypada uznać normę: obyczajową, społeczną, estetyczną, a także wszelkie jej naruszenia.

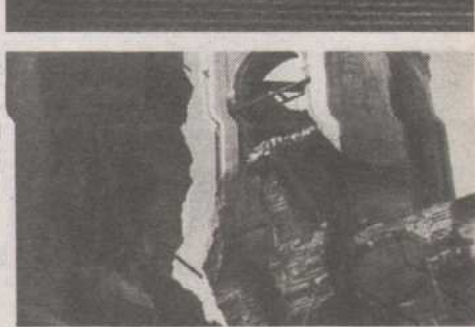
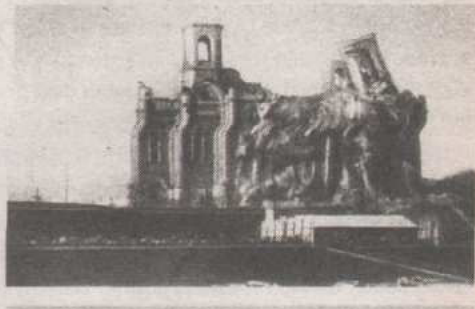
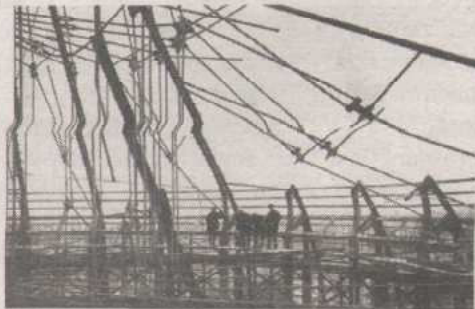
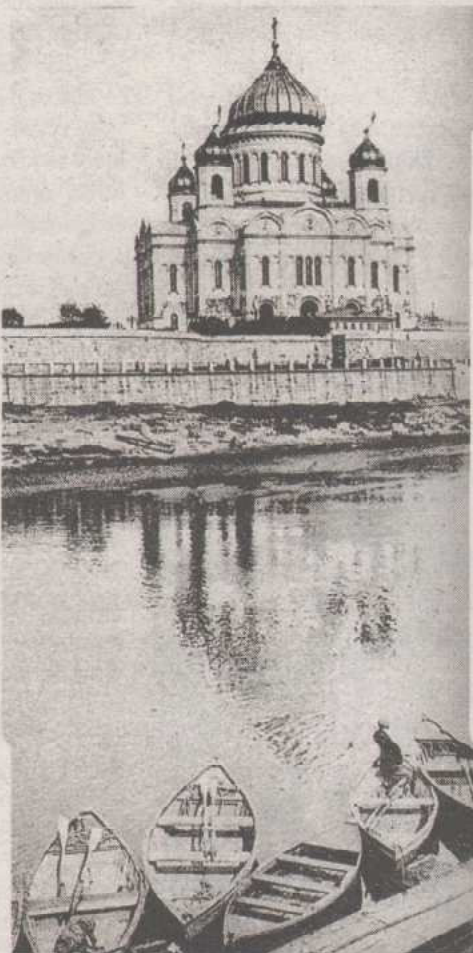
Nieprzypadkowo właśnie tak — *Norma* — nazwał konceptualista **Władimir Sorokin** swą powieść, w której skupił uwagę na obrzędowości dyskursów ideologicznych. Tytułowa norma — to porcja spreparowanego kału, którą codziennie w różnych sytuacjach spożywają postaci utworu. Krytykę dyskursu socrealistycznego przeprowadził także **Jewgienij Popow** w powieści-kolażu *Piękność życia* czy **Zufar Gariejew** w opowieści-pastiszu *Park*. Twórcy ci burzą mity powszechnego szczęścia, radości, piękna i święta, którymi nasycona była kultura poprzedniego okresu.

Innym sposobem negacji socjalistycznych haseł jest zwrócenie się ku chwytom o naturalistycznym rodowodzie. Tendencja ta, przypominająca turpizm, zyskała w krytyce rosyjskiej miano szorstkiego realizmu i *czernuchy*. Do literatury weszły tematy, które wcześniej miały status tabu: rozpad rodziny, wszelkie sprawy dotyczące fizjologii — śmierć, popędy i dewiacje seksualne, aborcja, alkoholizm, schizofrenia, niedorozwój umysłowy i choroby. Epatowanie okrucieństwem postrzegane jest jako codzienna norma obyczajowa. Jeden z krytyków uznaje *czernuchę* za reakcję na „sterylnie kłamstwo totalitaryzmu”, reakcję, która „w adekwatny sposób odzwierciedla frustrację współczesnego człowieka w

ŚWIĄTYNIA CHRYSYTA ZBAWICIELA w Moskwie — wotum za zwycięstwo nad Napoleonem w 1812 roku. Wzniesiona w latach 1839-1883...

... Zburzona w 1931 roku.

Fotografie z przełomu XIX i XX wieku. Reprodukacja Album: *Chram Christa Spasitiela*, Moskwa 1992.



obliczu rozpadu dobrze znanego porządku świata". Jako przykład może posłużyć publikowana w „Literaturze na Świecie” opowieść **Igora Jarkiewicza** *Jak się zesrałem*; jednak piętno *czernuchy* odnajdzie czytelnik w większości współczesnych utworów.

Obecność zła z jego metafizyką oraz eksponowanie konkretnych przejawów w egzystencji człowieka jest efektem długotrwałego zainteresowania literatury prawie wyłącznie jasnymi i radosnymi stronami życia. Spośród wielu autorów poruszających te zagadnienia zwraca uwagę proza kobiet: **Tatiany Tolstoj**, **Mariny Palej**, **Niny Sudar** i bodaj najbardziej cenionej dziś pisarki – **Ludmiły Pietruszewskiej**. Bohaterowie Tatiany Tolstoj żyją w podwójnym świecie: w przeklętym kręgu codzienności, monotonii i przemijania oraz w wyobraźni, marzeniach i złudzeniach. Zwrócenie ku bliżej nieokreślonej przyszłości lub zamierzonej przeszłości uciekają od rzeczywistości i od siebie w bezpieczny świat marzeń. Pietruszewska, Palej i Sudar z okrucieństwem oprawcy każą swoim postaciom zanurzyć się w banale codzienności, gdyż tylko w ten sposób mogą one pokonać beznadziejność i absurd życia oraz obronić swą autentyczność.

Żywiołem pisarek jest codzienność w zamkniętych społecznościach: w zatłoczonych mieszkaniach komunalnych, biurach, grupach towarzyskich, szpitalach. Pietruszewska i Sudar po mistrzowsku kreują duszną atmosferę lęku, niepewności, tłumionej agresji. Narratorki Pietruszewskiej raz po raz dają wyraz poczuciu niepokojącej obecności obserwatora. Rodzi ono podejrzliwość i nawyk dopatrywania się wszędzie ukrytych sensów. Wydaje się, że w świecie prozy Pietruszewskiej wszyscy podsłuchują i są podsłuchiwanymi, podglądają i są podglądani. Liczne kancelaryzmy w monologach narratorek są świadectwem ich nieporadności stylistycznej. Ale nie tylko. Demon donosicielstwa i prowokacji zdaje się stale zagrażać bohaterom, zostawia też ślady swej obecności w języku. Ta proza przedstawia wyalienowane, wewnętrznie skłócone postaci, obarczone, jak w *Nowych Robinsonach* Pietruszewskiej, bliżej nieokreśloną winą (postać przestępcy, grzesznika, donosiciela). Rzeczywistość jest tutaj nieoczywista i pełna sprzeczności. Na dodatek pisarki inkrustują ją czasem elementami rodem z thrillera. Tego rodzaju kreacja

artystyczna doskonale odzwierciedla mechanizmy kultury opartej na podejrzliwości, strachu, powszechnej czujności.

Współczesne utwory w dużej liczbie przypadków są zapisem niekończących się rozmów, prowadzonych w kuchniach (**Pjecuch**, **Kriwulin**), monologów-wyznań pacjentów domów dla obłąkanych (**Szarow**, **Pielewin**), czy też rejestracją snów bohaterów (**Narbirowa**, **Jerofiejew**). Wyeksponowanie roli pierwiastków irracjonalnych utrudnia sformułowanie wniosków, wszystko toczy się w atmosferze nieustannych eksperymentów, aluzji, przypuszczeń, prognozowania. Świadomość artystów po latach pozorowanej i topornej jednoznaczności opanowało przekonanie, że wszystko jest możliwe i nieokreślone jednocześnie.

Chociaż twórcy oglądają przysłowiowe przepaście i antynomie duszy rosyjskiej w krzywym zwierciadle, to wielopiętrowe ironiczne czy wręcz sarkastyczne konstrukcje, groteskowe ujęcia nie przynoszą wyjaśnień, lecz kreują alternatywne interpretacje historyzoficzne. Naturalistyczne tendencje uwypuklają poczucie niepewności i pragnienie negacji, jakim proza rosyjska zachłystuje się po latach przymusowej ekstazy, kiedy to nawet obiektywizm oceniano jako zjawisko niepożądane. Świadomość wyczerpania się różnorodnych mitów organizujących dotychczas społeczeństwo wyrażają motywy końca, kresu, wreszcie – pustki.

W ten sposób kultura rosyjska w pewnym sensie zakreśliła koło i powróciła do odczuć oraz poglądów sformułowanych w przededniu oraz tuż po 1917 roku. Najlepszym przykładem może być esej niekwestionowanego patrona współczesnej literatury – **Wasilija Rozanowa** pt. *Apokalipsa naszych czasów* (1919). Napisany w okresie porewolucyjnego zamętu, w przededniu śmierci samego autora, brzmi proroczo. Rozanow przywołuje w nim niezwykle ważny dla kultury rosyjskiej motyw apokalipsy. Dotyczy ona przede wszystkim spustoszonej duszy człowieka. Odpowiedzialnością za dziejowy kateklizm obarczył Rozanow chrześcijaństwo. Po latach ten sam motyw apokalipsy wykorzystają twórcy *pieriestrojki* dla opisu sytuacji człowieka w końcu komunistycznej epoki (**Pożar Walentina Rasputina**, **Golgota Czingiza Ajmatowa**, **Smutny kryminał Wiktora Astafiewa**). Sięga po ten motyw

także **Wiktor Jerofiejew** w esej *Rosyjska szczelina*. Jednak w odróżnieniu od wcześniej wspomnianych autorów traktuje fenomen rosyjskiej duszy nie z publicystyczną pasją, lecz z ironicznym dystansem.

Motywy pustki, szczeliny, dziury, rozpadu, dziejowej zapaści i wyjąłowania kultury rosyjskiej z różnym powodzeniem podejmują prozaicy, historycy z zawodu: **Władimir Szarow** i **Wiaczesław Pjecuch**. Józef Smaga pisze o Szarowie, iż jego proza *wyda się [...] śledczym tropieniem winowajców szaleństw podejmowanych w imię zbudowania ziemskiego raju*. Pisarze kwestionują rodzime stereotypy historyczne i szablonowe poglądy na temat własnych dziejów, badają przyczyny katastrofy, próbują zrozumieć logikę losów swego, jak mówi Pjecuch poprzez tytuł jednej z opowieści, „zaczarowanego kraju”.

Niewątpliwie jednak pojęcie pustki można interpretować również inaczej. Słowo „szczel” oznacza w języku rosyjskim także „schron”. Apokaliptyczne doświadczenia XX wieku niektórzy twórcy pojmują jako ocalenie przed totalną zagładą. Tak jest właśnie we wspomnieniach **Nadieżdy Mandelsztamowej** i w powieści **Dom Puszkowski** **Andrieja Bitowa**. Pojawia się myśl, iż obozy pozwoliły przetrwać rosyjskiej kulturze w niezmienionych przedrewolucyjnych formach, zakonserwowały ją przed wpływem propagandy radzieckiej.

Pieriestrojka ujawniła nie tylko tematy związane z historią czy demontażem estetycznej formuły socrealizmu. Najwyraźniej uwidoczniła się poprzez przemiany, jakim podlegał język literatury i publicystyki. Pisał o tym **Hasan Husejnow** na łamach „Literatury na Świecie” i „Res Publiki”. Nowomowę wypierał *mat* (język przekleństw), nastąpiła legalizacja leksyki obscenicznej. Przygotowany w 1979 roku almanach „Metropol” nie ukazał się, ponieważ zawierał materiały odrzucone przez redakcję czasopisma. Powodów dostarczyły rzekomo utwory o tytułach brzmiących wówczas niecenzuralnie, jak np.: opowiadania *Wstrzymane orgazm stulecia* **Wiktora Jerofiejewa** czy *Maleńki gigant dużego seksu* **Fazila Iskandera** lub stylizowany na łagrową piosenkę utwór pt. *Lesbijska Juza Aleszkowskiego*. W najpopularniejszej książce rosyjskiej ostatnich trzech dekad – powieści *Moskwa–Pietuszki* **Wieniedikta Jerofiejewa** (który nie ma nic wspólnego z przywoływanym tutaj już kilkakrotnie Wiktorem), nienormalna leksyka

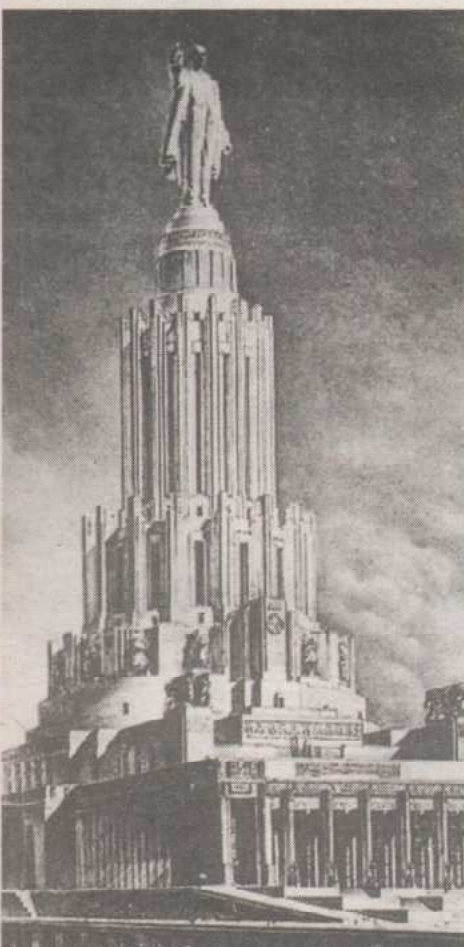
była jednym z podstawowych znaków oporu wobec banału i sztampy oficjalnego języka.

Literatura *pieriestrojkowa* na każdym kroku narusza nie tylko tabu językowe, ale również obyczajowe. „W Związku Sowieckim seksu nie ma!” – pokraśniawszy, dumnie oznajmiła z Moskwy podstarzała uczestniczka sowiecko-amerykańskiego telewizyjnego spotkania feministek na pytanie zadane przez dociekliwą Amerykankę. Anegdotę przedstawioną przez Wiktora Jerofiejewa cytowało w 1989 roku wielu krytyków. Seks bowiem zajmuje ważne miejsce we współczesnej literaturze rosyjskiej często epatującej obscenami, dewiacjami, mocnym erotyzmem. Sztandarym przykładem były utwory **Eduarda Limonowa**, prezentujące, według pewnego krytyka, „filozofię męta”. Bardzo często jednak we współczesnej prozie ciało ma wyłącznie konceptualny charakter. Tak bywa w utworach **Wiktora Jerofiejewa** (np. *Ciało Anny, albo koniec awangardy*), **Władimira Sorokina** (*Trzydziesta miłość Mariny*), **Jurija Mamleje**wa czy **Limonowa**. Teksty znane z przekładów zamieszczonych w „Literaturze na Świecie”.

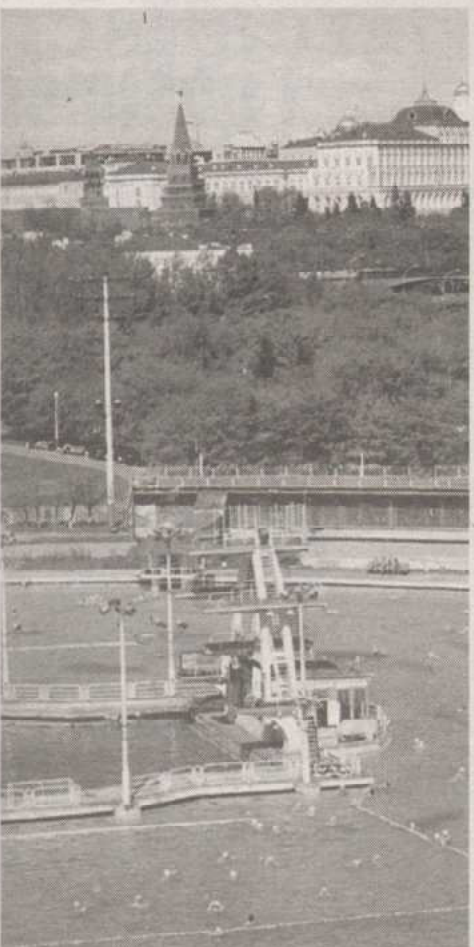
Nie zawsze jednak seksualność jest wy-preparowana z ciała i ducha. Przykładem jest **Waleria Narbirowa**. Sławę zyskała dzięki incipitowi swej pierwszej powieści (*Równowaga blasku dziennych i nocnych gwiazd*): *Miała ochotę wiadomo na co, wiadomo z kim, ale „wiadomo kto” nie dzwonił, za to dzwonił „nie wiadomo kto”*. Cała dotychczasowa proza Narbirowej pozostaje w tym samym kręgu – tęsknoty za miłością i erotyki. Pisarka wykształciła własny kod poprzez połączenie erotyki z retoryką. Surrealistyczny świat snu, nieświadomości kieruje uwagę czytelnika ku językowi. Asocjacje nieustannie rozbijają składnię. To, co cielesne, zyskuje językowy charakter. Ludzie w książkach Narbirowej są znakami kulturowymi, kochankowie noszą przekreślane nazwiska pisarzy – **Dodostojewski**, **Tojstolstoj**, świętych patronów Rusi – **Borys** i **Gleb**, kobiety – nierzadko męskie imiona. Kokietowanie, igraszki cielesne, niewierność postrzegają bohaterki jako uczestnictwo w grach. Strategie ich zachowań opisywane są językiem dziecięcych wyliczanek, baśni, przysłów, rymowanek. Z dziecięcą percepcją koresponduje skupienie kobiet wyłącznie na własnym odczuwaniu. Pełne

CIĄG DALSZY NA STR. 27

Nigdy nie zrealizowany projekt Pałacu Sowietów ze sturnetową statua Lenina na szczycie. Pałac miał stać na miejscu Świątyni...



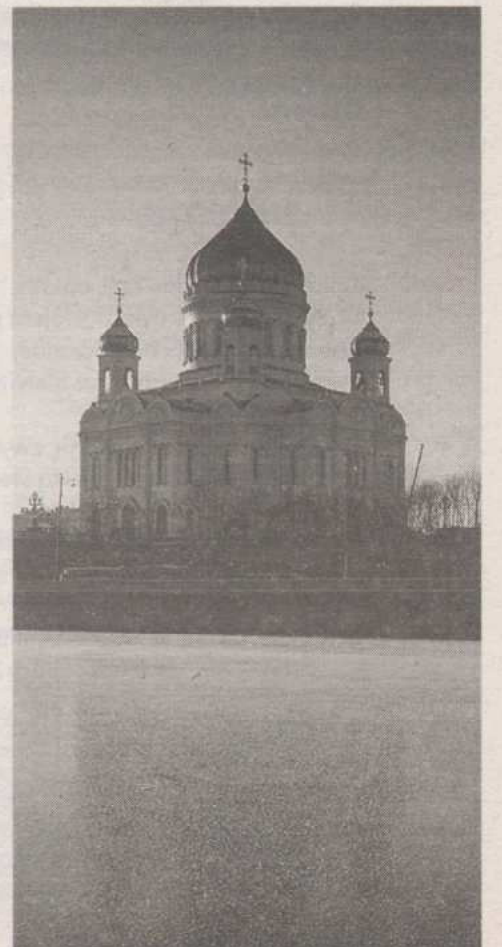
... A stanął basen „Moskwa” z podgrzewaną wodą – jedna z głównych zimowych atrakcji stolicy ZSRR. Reprodukacja Album: Po Moskwie, Moskwa 1984.



Poszukiwanie tradycji i powrót do symboli. Odbudowa Świątyni, styczeń 1995.



Listopad 1998.



Fotografie Janusz Świeży

PS Historię Świątyni opisał m.in. Ryszard Kapuściński w *Imperium*, Warszawa 1993.

Jelena Szwarc

Świecznik dziewięcioramienny

Oto w cerkwi staruszka zgarbiona
Knoty świeczkom gasnącym przycina,
A jednak – to świątynia Salomona,
Wyzłocona cała
I niczyja.

Oto i dzwonnica opuszczona –
Kluczy od niej już nikt tu nie trzyma,
A jednak – to świątynia Salomona,
Może i piękniejsza
I niczyja.

Oto na wierzchołku siedzi wrona,
Drząc przed wojskiem nocnego zimna,
A jednak – to świątynia Salomona,
Bardziej jeszcze piękna
I niczyja.

Oto dni me – pokruszona słoma,
Która ognia w piecu nie podtrzyma,
A jednak – to świątynia Salomona,
Może i piękniejsza
I niczyja.

Oto Księżyc, co na nieba stronach
Tu i tam się pojawia i mija,
A jednak – to świątynia Salomona,
Wyzłocona cała
I niczyja.

Oto słońce, które nigdy od nas
Swoich oczu groźnych nie odrywa,
A jednak – to świątynia Salomona,
Wyzłocona cała
I niczyja.

Oto świat jest – cała jego groza –
Dom oprawców i katów jaskinia,
A jednak – to świątynia Salomona,
Może i piękniejsza
I niczyja.

Oto ono – Imię – u obłoków łona,
Błysk je mieczy ukrytych spowija,
A jednak – to świątynia Salomona,
Bardziej jeszcze piękna
I niczyja.

To mogiłka w trawie zatopiona,
Ani mów, ani łkań tu nie słysząc,
A jednak – to świątynia Salomona,
Wyzłocona cała
I niczyja.

W półśnie

Oplotły mnie lekkie sny, oplotły,
czułym, przyczepnym powojem pod skórę wrosły.
Zbudzę się, trzeci bok odnajdę,
zerwę ze skroni łodyżkę z białym kwiatkiem.

W półśnie staję się zupełna, zwykła.
To stoję na krańcach ładu, to słówek łacińskich
się uczę.
Na sercu – krzyż, na łonie – gwiazdę Dawida,
A listek koniczyny kreślę w słonecznym splocie.

Tłumaczyła Elżbieta Zechenter
przy współpracy Zofii Dziechciaruk

JELENA SZWARC, ur. 1948 w Leningradzie. Wiersze pisze od 13 roku życia. Pierwszy tomik jej liryków pt. *Tancujuszczij Dawid* wyszedł w Nowym Jorku (1985), pierwszy w Rosji pt. *Storony swieta* dopiero w 1989. Wcześniej rozpowszechniane były w samizdacie, drukowane w pismach emigracyjnych, tłumaczone na różne języki. Najnowszy wybór wierszy to *Stichotworienija i poematy* (1999).

Jadwiga
Szymak-Rejferowa

Czytając BRODSKIEGO



Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego



JANINA SALAJCZYKOWA

DZIESIĘCIOLECIE PRZEMIĄN

PROZA ROSYJSKA
LAT 1985-1995



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu GDAŃSKIEGO



pod redakcją Lucjana Suchanka

sylwetki
współczesnych
rosyjskich
pisarzy
emigracyjnych

RLE

Jurij Bujda *Wesoła Gertruda*

18 marca 1916 roku na froncie rosyjsko-niemieckim niedaleko Stallupönen wystrzelono zaledwie jeden pocisk armatni, który trafił w dach stojącego samotnie folwarku. W tym momencie porucznik Siergiej Iwanowicz Lamenne, który przyszedł do swojego przyjaciela, Miszerki Ragozina, obserwatora artyleryjskiego, nie wiedząc który to już dzień nudzącego się przy łornecie na strychu opuszczonego domu, podniósł zapalniczkę, by zapalić mu papierosa. Pocisk, zdało się, wybuchnął wprost nad ich głowami. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Siergiej Iwanowicz, była ręka Miszy z papierosem pochłaniającym płomień z zapalniczki; chwilę później gorąca, lepka ciecz, wytrysnąwszy fontanną z miejsca, gdzie dopiero co znajdowała się głowa przyjaciela, oślepiła porucznika.

Do niemieckiego szpitala polowego przywieziono człowieka z zapalniczką w kurczowo zaciśniętej dłoni. Usta miał pełne okruszków dachówki. Twarz zmieniła się w ciemnoczerwoną maskę, z pogruchotanej klatki piersiowej sterczały kości i strzępy płuc. Trzeba było operować go kilka razy. Przeżył, ale nie mówił, słabo widział i słyszał. Nie znaleziono przy nim dokumentów, szlify zerwał wybuch i tylko resztki płaszcza i bielizny pozwoliły się domyślić, że był oficerem. Po kilku miesiącach, kiedy mógł już sam się poruszyć i reagował na proste polecenia, przewieziono go do obozu dla jeńców wojennych niedaleko miasteczka Welau, leżącego u zbiegu rzek Alle i Pregel.

Rodacy próbowali go rozruszać, ale próby te nie dawały rezultatów. Nie reagował na żadne imię ani na wojskową szarżę, w odpowiedzi jedynie lekko się uśmiechał. Ci, którzy się nim opiekowali, twierdzili, że jego rzeczy, niezależnie od tego, jak długo je nosił, nigdy się nie brudziły. Przesądni żołnierze, w większości wczorajsi chłopcy, uważali, że to zdecydowanie odróżniało go od innych. Co bardziej litościwi zabierali go ze sobą, kiedy wyjeżdżali do pracy w sąsiednich folwarkach, by zdobyć gorący dodatek do skąpego obozowego wikt. Prawdę mówiąc, oficer niewiele pomagał, ale starał się nie zostawać w tyle.

Gospodyni folwarku, a właściwie domu na peryferiach Welau, współczująco marszczyła brwi, patrząc na oficera nieporadnie dłubiącego łopatą w ziemi.

Mąż Frau Gertrudy Keller, zegarmistrz Hugon Keller, zginął śmiercią bohatera we Francji, zostawiwszy wdowie skromne gospodarstwo, małą pracownię z narzędziami i niezaspokojoną potrzebę macierzyństwa. Wysokie czoło, mądre, szare oczy, jędrne policzki z lekkimi śladami po ospie, zmysłowo wyrzeźbione usta, zawsze gotowe do uśmiechu – taka była Frau Gertruda. Spokojna, krzepka i daleka od tego, by traktować życie jako karę za czyjekolwiek grzechy. Po śmierci męża przestała mieć nocne sny – teraz przychodziły do niej w dzień, zaciemniając zjawami obraz świata. Zszpeczona twarz oficera, który stracił pamięć, wzbudzała w Gertrudzie współczucie i kobieta starała się choć trochę ulżyć jego doli. Dawała mu łatwe prace domowe, karmiła kawą zbożową z plackami ziemniaczanymi i opowiadała o zmarłym mężu. Kiedyś Siergiej Iwanowicz przypadkiem trafił do pokoju, służącego śp. Hugonowi Kellerowi za pracownię, dotknął wahał się stojącego w kącie zegara i zrozumiał, że nie chce opuścić tego pokoju, tego miasteczka, tego kraju. Gertruda zastała go siedzącego przy stole w pracowni. Odwrócił się i z uśmiechem powiedział po rosyjsku: „Zegar. Czas”.

Wojna się skończyła. Siergiej Iwanowicz został w domu Gertrudy Keller. Sąsiedzi tylko wzruszali ramionami, ale starali się niezbyt surowo traktować młodą wdowę. Jej spokój i przyjazny charakter poruszały nawet serca pokryte lodową łuską uprzedzeń. Nazywała go Miszą. Stopniowo przywykł do tego imienia. Każdego ranka znajdował na szafce przy łóżku błękitny talerzyk z czerwonym, soczystym jabłkiem. Na całe dni przepadał w pracowni, założywszy lupę próbował zrozumieć delikatną koronkę zegarowych mechanizmów. Z czasem na tyle opanował to rzemiosło, że porządni mieszkańcy miasteczka zaczęli przynosić swoje zegarki tylko do Rosjanina Miszy. Cieszyło to Gertrudę. Uczyla męża niemieckiego, czytając na głos Schillera. Miała dwunastotomowe wydanie z Tybingi, które mąż, zsunawszy lupę na czoło, czytał w wolnych chwilach w pracowni poruszając bezgłośnie ustami.

Na początku 1925 roku urodziła im się córka. Dali jej na imię Luiza. Ojciec robił dla niej nakręcane zwierzątka. Michael i mała Luiza mogli godzinami przesiadywać w pracowni, on – pracując, ona – przypatrując się, jak ojciec naprawia zegarki. Czasem odrywał się od pracy i długo patrzył na dziewczynkę. W takich właśnie chwilach w progu pracowni zjawiał się bezszelestnie anioł. Luiza widziała go wyraźnie, bała się jednak poruszyć, żeby nie rozpraszać ojca.

W końcu lat dwudziestych badał Michaela znany psychiatra, doktor Eberle-Hoffmann, który w specjalistycznych czasopiśmie opisał „fenomen Michaela Kellera” jako interesujący przypadek amnezji wstecznej. „Utrata pamięci jest całkowita, zadziwiająco więc, iż człowiek ten nie zapomniał mowy ojczystej. Choć specjaliści są zdania, że jego język jest bardzo ubogi... Oczywiście jednak najbardziej wstrząsający jest fakt, że okaleczony przez wojnę i pozbawiony ojczyzny, zachował w swoim sercu jakieś światło, jakąś wyższą radość, daną przez Boga tylko wybranym... Jego wpływ na pacjentów, mogących z nim obcować, jest zadziwiająco silny. U ludzi, którzy spędzili z nim w sali kilka dni, obserwowano się znaczną poprawę”. Profesor Heidegger zanotował w swoim intymnym dzienniku (z którego później wyrosło jego wielkie dzieło *Bycie i czas*): „Istnienie dobra i zła jest niemożliwe bez ciągłości, czasu, historii, podczas gdy Radość («fenomen Michaela K.») pokonuje tę ciągłość i, «pochłaniając dobro i zło», występuje jako psychologiczny atrybut wieczności. Tak więc, Michael K. istnieje jednocześnie w czasie i w wieczności, jak każdy człowiek, ale jego istnienie realizuje się w formie wizji sennych, które charakteryzują się samodzielną treścią...”

W niedzielę Misza z żoną i córką chodzili do kościoła, a po obiedzie w trójkę, jeśli pozwalała na to pogoda, pływali łódką po Pregole. Gertruda widziała teraz sny tak realne, że mogła je dotknąć ręką. Bezlitosne zjawy przestały ją niepokoić.

Wnikając w tajniki swojej pracy, Misza doskonale zgłębił to, co zegarmistrzowie nazywają mostkiem remontuaru i angrenażem, regażem i kadrakturą, poznał wychwyt Grahama i szwarcwaldzki wychwyt hakowy. I zrozumiał, że zegar to dziecko przestrzeni, która w oczach ludzi wydaje się czasem. Przez kilka miesięcy próbował skonstruować mechanizm, który pomógłby mu wrócić do przeszłości, ale pewnego dnia nie wytrzymał i roztrzaskał urządzenie młotkiem. Zrozumiał, że zagubił się w czasie, że powrót do przeszłości oznaczałby zgłębienie tajemnicy wieczności, obcej śmiertelnikowi, którego wieczność owa ma mi wiarą, że w jego rękach jest teraźniejszość. W rzeczywistości jedynie przeszłość należy do nas – ze smutkiem stwierdził Misza – przeszłość będąca i naszą teraźniejszością, i przyszłością; sama przyszłość to fikcja, sen i we śnie tylko przenikamy przyszłą „bezczasowość”, pociągającą jak szczęście – sen i śmierć są sobie bliskie jak cud i stwór, i cud snu jest jedyną bramą pomiędzy czasem i wiecznością...

Każdego ranka znajdował na szafce przy łóżku błękitny talerzyk z czerwonym, soczystym jabłkiem. Cały dzień badał srebrne elementy zegarowych mechanizmów. Nocą z westchnieniem ulgi wyciągał się na krochmalonych prześcierałach, z lubością wdychając woń rumianku, którym pachniała Gertruda. I to było życie, i to było szczęście.

W marcu 1945 roku, siedząc przy stole, na którym spoczywała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami Luiza, zabita w czasie nalotu przez przypadkowy odłamek, Misza i Gertruda przysłuchiwali się kanonadzie zbliżającej się ze wszystkich stron do miasteczka. W pracowni tykały zegary. Gertruda szeptała coś do siebie. Wczesnym rankiem, gdy gotowi byli do wyjścia na cmentarz, pod okna ich domu zachechał rosyjski czołg. Z wjazdu wygramolił się krępy, jasnowłosy chłopiec z hełmofonem w rękach. Wszedł na ganek i zapukał do drzwi, ale ani Misza, ani Gertruda nie drgnęły. Zauważywszy trumnę czołgista zmieształ się i szeptem zapytał: „Nie macie ognia, ojczulku?” Zegarmistrz podniósł zapalniczkę do papierosa. Rosjanin przypalił, zakrzuszył się i wyszedł, cicho przysmykając za sobą drzwi. Gertruda powiedziała: „Czas już, Misza...” „Nie jestem Misza – powiedział mąż – mam na imię Siergiej. Siergiej Iwanowicz Lamenne. Na Boże Narodzenie dostałem konia z Inianą grzywą, a potem był kulig”. I zdawało mu się, że zaraz się rozpłaczę, ale się nie rozpłakał.

Pochowawszy córkę odszedł. Ludzie i potwory, senne zwidy Gertrudy, zaczęły przychodzić do niej za dnia i wyglądało na to, że nawet nie zauważyła zniknięcia męża. Każdego dnia rano stawiała na szafce przy łóżku błękitny talerzyk z czerwonym, soczystym jabłkiem, które marszczyło się i gniło, zanim zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

Wycieńczony staruszek w zniszczonym palcie przeszedł setki kilometrów, żyjąc z jałmużny w tłumie inwalidów, nocując gdzie popadnie. Pewnego dnia w południe pchnął drzwi cudem ocalałej biblioteki majątku Lamenne, jeszcze z książkami na półkach, choć były to całkiem inne książki. Na kominku stał zegar. Siergiej nacisnął ukrytą sprężynę, wyjął kłuczyk i nakręcił zegar, który dźwięcznie odegrał fragment słyn-



DAWID PO ZWYCIĘSTWIE NAD GOLIATEM – kompozycja rzeźbiarska. Demon-taż ozdób Świętyni Chrystusa Zbawiciela (1931). Kadr z filmu W. Mikoszy. Reprodukacja Album: Chram Christa Spasitelja, Moskwa 1992.

nego finału z Beethovena. Wychudzona dziewczyna, pracująca w tej wiejskiej bibliotece, w osłupieniu spoglądała na strasznego, jakby z niedowidzenia mrugającego staruszka. Gubiąc się w słowach zapytała o losy dworskiej biblioteki. Wzruszywszy ramionami dziewczyna otworzyła skrzynię, w której leżały zwalone tomy o złotych i lilijowych brzegach. Siergiej Iwanowicz pewnym ruchem wydobyl z niej tom dużego formatu. Otworzył książkę, przeczytał:

Freude, Freude treibt die Räder
In der großen Weltenuhr...¹

Dopiero potem zwrócił uwagę na wyblakły, ołówkowy zapis. Założył lupę i rozpoznał charakter pisma młodszej siostry, Wiery. Pisała bez adresu, kierując posłanie do niego, Siergieja Lamenne: „Drogi Sierioża, wiedziałam, że kiedyś otworzysz Schillera na tej właśnie stronie i przeczytasz, co napisałam. Mamę i tatę już rozstrzelali, na podwórzu za kłombami. Bóg jeden wie, co stanie się ze mną, Katieńką i Lubaszą, ale czyż możemy uniknąć... Pamiętasz, jak wzruszały nas te wersy? To było wieki temu. Naiwni marzyciele, naiwni gimnazjaliści! A przecież ciągle odczuwam dziwną radość i wiarę w to, że On nie pozostawi nas i tego kraju, tego narodu i że Jego radość połączy żywych i martwych, prawych i winowajców, a świat przetrwa, przetrwa, Sierioża! Żegnaj, Sierioża, żegnaj, kochany, módl się za nas, jak my modlimy się za ciebie. Schiller jakby nas przejrzał i ocalił nas i naszą wiarę dla przyszłości. Całuję skraj tej strony. Zda się, że to już. Żegnaj”.

Siergiej Iwanowicz zrozumiał nagle, że otchłań czasu rozpościerająca się tuż przed nim jest bardziej przerażająca niż otchłań wieczności. Życie wydało mu się czymś równie odległym i obcym człowiekowi, jak jego dusza. Zaprzagnął umrzeć – już, od razu, momentalnie – i bolesna była świadomość, że jest to niemożliwe. Pocałował skraj stronicy, gdzie na niemieckich literach widniał nakreślony ukośnie ołówkiem napis po francusku.

Z książką pod pachą i lupą na czole wyszedł z domu. Kilka godzin później został aresztowany i rozstrzelany. Książkę i niemiecki dowód tożsamości dołączono do sprawy jako dowody rzeczowe.

Gertruda dalej żyła wśród zjaw, tykających zegarów i talarzyków z gnijącymi jabłkami. Całe jej życie zbiegło się do rozmiarów jednego dnia, jeszcze trzydziści lat chylącego się ku zachodowi. Bawiąc Rosjan, nowych mieszkańców miasteczka, którzy nazwali ją Wesołą Gertrudą, godzinami podrygiwała w jednym miejscu, monotonicznie podśpiewując: „Seid umschlungen, Millionen!...”² Żyła wśród ludzi i zjaw z sennych widzeń – i dlatego nie zauważyła przyjścia śmierci, która otworzyła jej drzwi do świata, gdzie czekali na nią Misza, Hugon i Luiza, czekał wreszcie Bóg radości, który jednak nie nauczył się odróżniać snów niemieckich od rosyjskich...

Tłumaczyła Beata Skorek

[„Znamia” 1994, nr 3]

¹ Radość toczy koła ruchem
W wielkim świata godzinniku.

(Do radości Friedricha Schillera. Tłum. K. Brzozowski)

² „Obramienie się, miliony!” (Do radości Friedricha Schillera. Tłum. K. Brzozowski)

Igor Klech Kościół na Placu Dworcowym

Motyw galicyjski

Urodził się na początku wieku przy wtórze przenikliwych gwizdków parowozów i zgrzytu pierwszego pokolenia tramwajów, frantowskich wagoników, objeżdżających jego łożysko – plac u zbiegu ulicy Gródeckiej i Nowego Świata. Wzgórze wybrali doświadczeni akuszerzy w sutannach kierując się rekomendacjami koryfeuszów genealogii – jak to bywa przy zawieraniu dynastycznych, pachnących skandalem małżeństw morganatycznych – z obowiązkowymi wyprawami na konsultacje do Rzymu i do Wiednia. Neogotycki modniś miał wzniesić swoje iglice jedenaście metrów nad dojące niebo kopuły soboru św. Jura, które kilka już wieków kiwały poniżone, ale harde polskie oko – żeby ubość Boga, który zapomniał Polskę pośród ościennych narodów.

W odprasowanych, wykrochmalonych serwetach, wśród skrzepów łożyska, gaszonego wapna i wymrożonej gliny nowonarodzony wydał swój pierwszy krzyk i szybko zaczął rosnąć. Krokwie i ściany wznosiły się z szybkością bambusa, i wraz z nimi rósł młodzieniec wyjątkowej rasy i urody – nadzieja Korony, spadkobierca strzelającej wertykalnie w niebo katolickiej myśli. Pulsujące serce ołtarza, pojemne płuca organów, oskrzela i galerie chórów, okna, otwierające całą ścianę, przygotowane, by ukazywać niebiańskie widzenia, ambona, wznosząca się jak bocianie gniazdo na maszcie karaweli, alkowy konfesjonałów – na wzór organów wewnętrznych pączkowały i rozwijały się w jego ciele i ledwie strzelisty dach zamknął się nad jego mocnymi, dyszącymi gotyckimi żebrami, bez zwłoki przystąpiły do służby chrześcijańskiemu Bogu, do sublimacji modlitw wiernych, do przetaczania purpurowej chrześcijańskiej krwi.

Od samego początku miał jednak jakąś skazę, jakieś fatalne dziedzictwo niezliczonych krzyżowanych małżeństw, może ubytek chromosomu, który kiedyś odkryje nieistniejąca jeszcze gałąź nauki, a może coś jeszcze bardziej absurdałnego i trudniejszego do wykazania, jak fenomen wstawiania lewą nogą, który od wieków zawstydza wszechwiedzę uczonych. Czyż królewska hemofilia nie była – na tym świecie – tylko beznadziejną próbą lokalizacji niezabliźniającego się źródła krwotoku ludzkości? Kościół nazwano kobiecym imieniem na cześć cesarzowej, zasztyletowanej przez szwajcarskiego anarchistrę u wód. Może wraz z imieniem spłynęła i przeniknęła do jego krwi kropla trucizny z zabójczego ostrza?

Był bosko zbudowany: szlachetnością postawy przywołał na myśl owych pierwszych paladynów, rycerzy Grobu Pańskiego; był jak zagniewany archanioł z niematerialnym mieczem w dłoni zwyciężający wiecznego Wroga – jeśli ktokolwiek to widział. Ale lata biegnęły jak dni i, w czasie gdy trwała budowa, niezauważenie przeszło niemal tysiąclecie – i oto przez pola pełził czołg, a z okopów strzelał swoją litanie karabin, i samolot wypisywał adresowane do nieba martwe pętle. Z kadzidla zaś, nie wiedzieć czemu, zalaływało na wierzchołkach iperytem.

Europa po raz kolejny zmieniała kontury. Nad umarłymi odprawiano egzekwie, zakopano ich i zapomniano. Plan, według którego wznoszono kościół, niezbadanymi wyrokami Opatrzności dokonał się. Świeży akcent zmienił sylwetkę miasta. Nowy Świat nazywał się teraz Sapiehy. A pobliska uliczka zmieniła się w Nowy Świat. Potem przemianują ją jeszcze dwukrotnie. Władza radziecka nazwie ją Demokratyczną.

Kościół na Dworcowym zmęźniał i znajdował się teraz w rozkwicie młodych sił – w odmłodniałym kraju. Starzy mistrzowie odeszli już jednak na rajskie wrzosowiska, i nie zdążyli wyłożyć swoich tęczywizji na hektarach jego witraży. A w załomach dachu zamiast wykutych w kamieniu chimery rozsiadły się dęte blaszane piramidki, oblane „pod kamień” niedawno wynalezionym betonem. Ale mało kto zwracał już na to uwagę.

Miasto rozrastało się i kościół, zakasawszy rękawy, w pocie czoła trudził się wraz z nim – chrzczył i komunikował, spowiadał, dawał śluby, wyprawiał pogrzeby, i stawiał Imię Pańskie – i wciąż utrzymywał łączność, antenkami krzyży tował szumy w eterze i wzmacniał je w tubach iglic, retransmitował szmer modlitw, zgłęb nabożeństw i nadrywający się samotny głos człowieka – dochodzący z zewnątrz? czy może ze środka? Cały był jednym wielkim wewnętrznym uchem, przepołą, falującą w rytm wdechu i wydechu.

Nikt jednak nie słuchał ziemi. I ledwie wyrosły ochrzczone przez kościół dzieci, a już zlizwała je fala kolejnej pustoszącej wojny, z której on sam, choć nie zaciągał się na nią, wyszedł jako inwalida.

Najpierw więc przyszli ze swastyką, a kiedy siedemnastego dnia wojny garnizon pod białymi orłami skapitulował, odeszli robiąc miejsce czerwonej, braterskiej armii. W dwa lata później wrócili i nie wiedzieć czemu bombardowali już mia-

sto, choć jeszcze przez trzy lata leżało ono daleko za linią frontu. Po wycofujących się oddziałach Armii Czerwonej, po torach kolejowych i drewnianych wagonach strzelał karabin maszynowy, wciągnięty przez kogoś na jedną z iglic kościoła. Czerwoni odpowiadali. Nowi panowie bez dyskusji przemianowali świeżą ulicę Stalina (dawniej Sapiehy, dawniej Nowy Świat) na swoją modłę: nazwali ją Fürstenstraße. A może Führerstraße? Ale w trzy lata później Rosjanie wybili ich i ulica Stalina powróciła. Kościół zamknął; mówili, że Boga nie ma. I próbowali to udowodnić. Gdyby kościół był mniejszy, pewnie by go zburzyli, jak burzyli jego krewniaków, o ile tylko mieli ochotę i środki: czołg odwracał wieżyczkę, jak czapkę, daszkiem na kark, i kilka dni pod rząd rzucał się pierśią na hartowane cegły, których sekret wyrobu dawno już zapomniano. Odbijał się od muru jak orzech. Czołgistów bolały głowy. Chociaż mieli hełmy. Może to ich zniechęcało.

Kościół stał pusty, jak chore, pozbawione świadomości ciało obłąkanego, krzywo uśmiechając się do gołębi, dzieci i pijaków, ziejąc rozbitymi oknami, dziurawym dachem, wyrwami



KOŚCIÓŁ ŚW. ELŻBIETY WE LWOWIE. Projekt konkursowy Teodora Talowskiego, widok ogólny, 1903. Reprodukcie Album: Architektura Lwowa XIX wieku, Kraków 1997.

w iglicach i wieżach, obnażającymi jego budowę wewnętrzną – gęszcz dźwigarów i belek stropowych, i pogruchotane kręgi schodów wiodących teraz donikąd. Jego ciało, wyiębione przeciągami, chrypiało i poświszywało, jak olbrzymia gliniana piszczałka nieznanego przeznaczenia, nie wiedzieć po co i jak ocalała z jakichś ciemnych wieków. Pod ścianami wewnątrz kościoła do późnej wiosny leżał zeszłoroczny śnieg, słońce tam nie sięgało, konfesjonały rozpadły się, ich ażurowe drewniane kraty wyrwano z mięsem, a po wzorzystej kamiennej posadzce wały się jakieś kawałki dziecięcych ciał z utraconymi nosami i skrzydłami. Na chórze leżały zwalone w stos i zduszone jak niedopałki ołowiane rury organów – okopy aniołów, rozprasowane czołgami wroga.

Koni nie trzymano.

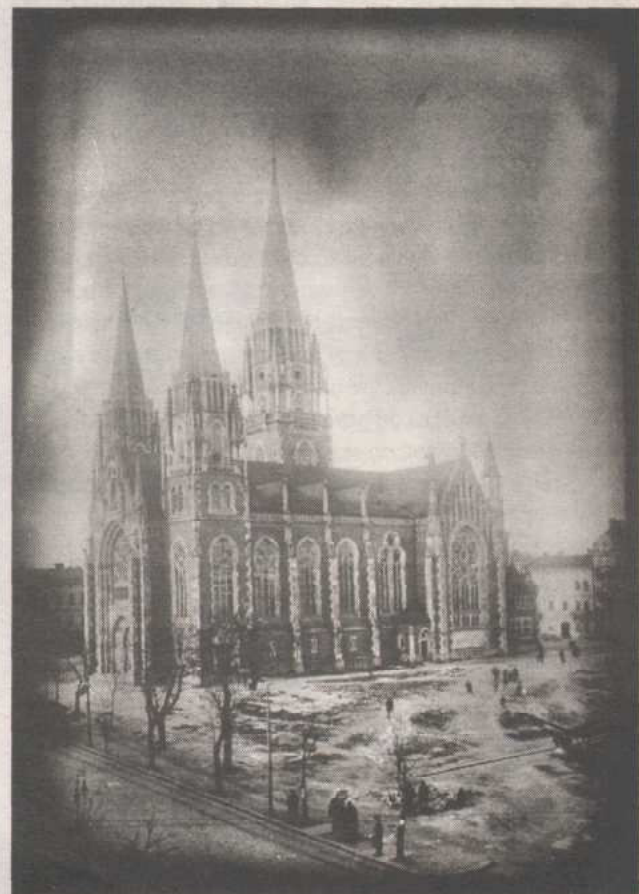
Później trzymano cement. Kościół zamieniono na magazyn. Zasuszone Polki w opadających północach modliły się kłęcząc na szerokich stopniach głównego wejścia, a za zamkniętymi drzwiami leżały zwalone na kupę cement i kretda, i na tych sztucznych wydmach – beczki w zaciekach oliwy; wiatr wyl w załomach murów. Żelazne okucia drzwi całe utkane były na wpół zwiędłymi groszowymi bukiecikami kwiatów; pośród nich zawsze zauważyć można było kilka świeżych. Jak podniesiona do pionu łąka. W oczekiwaniu na śnieg.

Obok modlącej się staruchy stała zazwyczaj tandetna torba z butelką mleka i bochenkiem chleba. Trochę okruszków chleba dostawało się potem gołębiom na skwerze; gołębie zagnieżdżyły się w pustym ciele kościoła i tylko one przeciwstawiły się jeszcze jego rozkładowi, zalepiając rany i pęknięcia korpusu pokładami skamieniałego guana, napelniając ciszę nawi tak stosownym tu szumem skrzydeł i stłumionymi ptasimi głosami.

Zwinni dekarze polowali na gołębie i przyrządzali z nich na obiad darmowy rosół. Kryli dachy w innych częściach miasta, a tutaj stukając młotkami wyklepali rynny, grzejąc się

przy topornych piecykach własnej produkcji, omotanych spiralą elektryczną – i posyłając chłopców po wódkę. Sklep z wódką był naprzeciwko. A na wieczną kolejkę do niego i na zatłoczony przystanek tramwajowy przed nim patrzył spod wpółprzymkniętych powiek Ukrzyżowany, przygwożdżony wysoko na fasadzie nad maswerkową gotycką rozetą – jak skamieniały. Czy oni, pomniejszeni przez odległość, przypominali mu coś – z ich wiecznym bagażem siatek, lalek, wózków, szybkim truchtem przemierzający się od tramwajów do drzwi sklepów i kiosków i z powrotem? Może jak kościół, mocno związany z jego losem, i on tkwił w głębokiej anabiozie, w onirycznym zamroczeniu, przeplecionym raz czy dwa razy do roku krótkimi chwilami pogodnej demencji.

Czas zamulał pamięć. Gródecka, najdłuższa ulica miasta, dawno już została – pewnie na zawsze – 1-go Maja, Stalina zaś ni z tego ni z owego przemianowano na Pokoju. Ale nie dla kościoła. Właśnie wtedy jego zhańbione, na wpół martwe ciało postanowiono jeszcze wykastrować. Z trudem przypominał sobie, jak nocą, niby złodziej, pełził po jego ciele okręco-



KOŚCIÓŁ ŚW. ELŻBIETY WE LWOWIE, róg ulic Gródeckiej i Sapiehy (wcześniej Nowy Świat, dziś Bandery), 1903-1912.

ny linami bluźnierca. Dosiadł najwyższej iglicy, wciągnął na linie piłę i zabrał się do piłowania. Niemal w kosmosie, pod samymi gwiazdami, wyniesiony przez swoją profesję ponad śpiące miasto, nad plac Dworcowy, nad zalaną światłem księżycą, daleko w dole, połączył dach kościoła, przylgnął całym ciałem do chłodnego metalu krzyża i stopił się z nim w obrazoburczym akcie. O czym myślał i co czuł usadowiwszy się owej nocy na szczycie iglicy?

Zadanie nie było łatwe. O świecie doszedł ledwie do połowy. Na ulice wyjechały tramwaje. Od dworca płynął nieprzebrany, przybyszający ze wsi pociągami potok robotników. O ósmej na plac zebrał się już tłum; ludzie kłeli i wyzywali nikczemnika – gapie, modlące się staruchy, dzieci. Zbiorowa hipnoza nieoczekiwanie przekroczyła wartość krytyczną. Ogromny krzyż zламаł się i pociągnął za sobą obejmującego go swoim ostatnim – żabim, kurczowym – miłosnym uściskiem bluźniercę.

Zbezczeszczone, wykastrowane kościół postanowiono na jakiś czas zostawić w spokoju. Ale spokój nie był mu, wiadać, pisany.

Kolejna władza szczególnie ceniła sobie stabilność i prawomyślność. Właśnie za jej rządów zakazano spożywania alkoholu w miejscach publicznych. A kościół zaraz przy wejździe do miasta, niedaleko pętli tramwajowej – sterczący, rozchwiany przez paradowożę rzymskokatolicki kiel, zgwałtowany, splundrowany i spaplużony (o tym wiedzieli wszyscy), zachował szlachetne proporcje i majestat swej bryły, niegdyś – polski elegant, później czterokrotny szpieg, był „prawomyślny”, podstępny i wyzywający nienaukowy, jak zamek duchów, skandaliczny, jak łachmaniarsz na parkietach obwodowego komitetu partii.

Wspomniana władza wstawiła się również tworzeniem ogromnych placów, służących jej do uprawiania skażonej mianą wielkości, zezowatej agitacji – żeby z kosmosu moż-



KRUCYFIKSY z wystawy w Lwowskiej Galerii Obrazów. Fotografia Lucjan Orzech na było przekonać się o wyższości wiadomego ustroju i żeby nauka wynalazła sposób puszczania słonecznych zajaczek na Księżyc i inne ciała niebieskie.

Władze miejskie przedłożyły wówczas dwa projekty: zburzyć kościół i wywieźć gruz za miasto, albo – orestaurować i przeprofilować.

Koszty pierwszego skalkulowano na dwa mln., drugiego – na jakieś cztery. Szczęśliwie okazało się, że w kasie nie ma ani kopiejk.

Akurat wówczas miasto uznano za ojczyznę Wielkiej Autematyzacji (jedna z ówczesnych nazw panaceum) i spłowawszy krzyże na innym kościele, znacznie mniejszym, zorganizowano w nim Dom Jakości. Na fasadzie przybito magiczny pentagram *jakości* – kościół stał, nawiasem mówiąc, na wzgórz – a wewnątrz umieszczono makietę kamienia filozoficznego. Piwnice zaś, wyrzucając z nich trumny, zapełniono po sufit butelkami z próbnymi seriami wody życia podwójnej destylacji. Dobrano odpowiednią muzykę, taką, żeby chciało się żyć, i interes kręcił się dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pomysł chwycił.

Były to czasy jakościowych fantasmagorii – czasy aparatczyków. Po ulicach kursowały polewaczki. Z powodu byle towarzyskiego meczu piłki nożnej zbierało się jakieś *biuro*. Pisarzy czytano jak nigdzie i nigdy, ale na razie jeszcze nie drukowano. Lojalność nagradzano – od czasu do czasu – kielbasą. Nawet kiedy przyjeżdżał ostatni z groźnej niegdyś dynastii możnowładców – sympatyczny różowy tłuszcioch z gwiazdką na czole, rozpylającą się już, tracącą kontur – siły porządku, ściągnięte z całego obwodu, stały co dwadzieścia kroków z laską kielbasy pod pachą. Widać właśnie wówczas ktoś wpadł na doskonały pomysł, żeby na przyszłość uzbroić ich *niejadalnymi laskami*. Nazwiska *pierwszych* u steru zmieniały się podług reguł XVIII-wiecznego teatru szkolnego: Kucewoł, Dobrik, Pogrebniak, Sekretariuk. O ile drugi był udzielnym księciem – co tydzień dostarczano do jego prywatnego basenu cysternę morskiej wody (pewnie głupie plotki: cysternę? koleją? a może samochód-cysternę?), a trzeci podarł ludzką twarz, usiłując ją przymierzyć, to ostatni, podążając za dynamiką procesu, podał się do dymisji i wyparował, jak eter. Ale to stało się znacznie później.

Na razie problem kościoła nadal stał otwarty. Gdzieś wybuchła niewielka wojna i, dla odwrócenia uwagi, rzucano wszystkie siły na front przygotowań do Olimpiady. Kurwy wszystkich stolic wywieziono w nieznanym kierunku i na ich miejsce przywieziono nowe.

W Kijowie kościół na Krasnoarmiejskiej – krewniaka tego z placu Dworcowego – postanowiono przerobić na salę koncertową dla sportowców i okopano go ogromnymi dołami. Kościół zaś na Dworcowym we Lwowie ogrodzono i parkan w czynnie społecznym pomalowano – żeby przyjezdni widzieli, że orestaurowywanie jest w toku. Żulia spod dworca bardzo się ucieszyła i przeniosła imprezy za parkan. Z pustych skrzynek zmaistrowała meble. Wówczas na bramie pojawiła się kłódka, a żulę ostrzeżono. Niedługo potem zaczęły się kłopoty z alkoholem i problem rozwiązał się sam – pito po domach.

Ukrzyżowany nie doczekał się wniebowstąpienia. Wszystko obrzydło mu do niemożliwości i kamienne nogi odpadły – trzeci stopień Męki Pańskiej – ale tym razem nikt nie zginął. Znak ten pozostał niemal niezauważony, umknął jakoś uwadze mieszkańców i nie znalazł się nikt, kto podjąłby się jego odczytania – w owym czasie właśnie się zaczęło i świat trząsł się w posadach.

Babcia z dzieckiem przechodząc przez ulicę naprzeciw kościoła ześliznęła się do otwartej studzienki kanalizacyjnej i w locie zamieniając lata na metry wpadła z pluskiem do kanału jako mała dziewczynka, po czym podziemny nurt – mżył drobny deszcz – uniósł ją do kolektora pod sąsiednim bazarem, gdzie jako tako wysuszyła się i skąd pięć godzin później wydostano ją całą, zdrową i znów postarzałą.

A tymczasem nazwy ulic nadal migotały zwodniczo, jak magiczne formuły na szablach, darowanych przez dżina.

Gródeckiej przywrócono dawną nazwę w nieco tylko zniekształconej formie, a ulica Pokoju – Nowy Świat – Sapiehy.

patrz wyżej – przemianowała się w Stiepana Bandery. Koper ty mienili się nowymi barwami: Sankt Petersburg – St. Bandery – na poste restante. Rdza łachmanów ustąpiła miejsca kolorowi jaja na twardo z dworcowego bufetu. Parkan otaczający kościół rozkradziono. Magazyn spalwiono w dół ulicy Gródeckiej. Wykwaterowano też z piwnic odkryte przypadkiem cmentarzysko dziecięcych sanek – żelazny zapas, jak należy przypuszczać.

Kościół ocknął się po raz pierwszy, kiedy nie wiedzieć skąd zwała się na niego spółka alpinistyczna i migiem załatała dach.

Okna oszklił już unicy, którym oddano kościół na cerkiew. Otrząsnął się jeszcze, jak wyrwany ze snu, jakby coś sobie przypominał, poznawał i nie uznawał wyznania wiary w jakimś zniekształconym, nie do końca zrozumiałym dialekcie. Zagarnęła go ciepła fala wspomnień, obmyła oskalpowaną głowę. Jakże słodki był ten podobny do przebudzenia przedśmiertny sen – czyżby śmierć przyszła w końcu po jego cegły, przewidziane na niejedno życie niejednego imperium?

I jeszcze jakieś majaki: o pojmowaniu Boga w metrach, coś zatrzważającego o igłach, na których widok wzdyga się całe jestestwo unity, i o zwykłej cebuli, która doprowadza go do łez – o lacrimosa! będziemy usuwać te iglice; i słowo „projekt”, ułożone z kolorowych kafli na dnie basenu, w którym na wodzie, twarzą w dół, kołysze się ciało niemłodej kobiety

w białych szatach, z krwawiącą raną w boku – i baden-baden, bu-bu-bu, honor i gloria sole Deo, bu-bu-bu: w obolalej, zwapniałej, porażonej dziedziczną chorobą czaszce.

W pewnym cichym lwowskim zaułku stoi kamienica z wybitą na posadzce sieni datą budowy – ktoś wyraźnie budował ją dla siebie – „1938”.

Kto – i w jakim języku – wyrazi smutek budynków?

Oczywiście – kamienice są długowieczne, ale niekoniecznie szczęśliwsze od ludzi.

P.S. Zapytano mnie dzisiaj, jak dojść na ulicę Lincolna.

Nie wiem.

sierpień-wrzesień '93, Lwów

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

* Nieprzekładalny idiom ukraiński, znaczy mniej więcej: zgwałcony, rozwalcowany i najokrutniej wyszydzony i sponiewierany [przypis autora].

[„Družba narodów” 1994, nr 8]

GOR KLECH, ur. 1952. Filolog i prozaik. Ukończył rusycystykę na Uniwersytecie Lwowskim, pracował m.in. jako konserwator witraży. Uznaniem przyniosła mu powieść *Chutor wo wsielennoj* („Nowy mir” 1993, nr 9). Wydał tom prozy *Puiesestwije na kuchniu* (1991) i *Incident s klassikom* (1998). Mieszka w Moskwie.

Aleksander Kuszner

A gdyby Piotra gród był gdzieś nad Czarnym Morzem,
I gdyby kiedyś car nad Bosfor przedarł się,
Życ można by bez trwóg, bez smutku i być może
I chłód by z oczu znikł i los nam sprzyjał też.

W kanałach by się tu pluskały nereidy,
Nie tak jak stwory te, w siniakach, w śniegu, mgłę,
Nie byłoby złych snów, nie znalazłbyś krzywdy
A wierzyć w bogów i herosów byłby sens.

A gdyby Piotra gród, ze stoku, jak winnica
Biegł w dół, w szpalerach, do ustępujących fal,
Miedziany Jeździec by nad przepaść się nie wspinał
A w dole nie gnałby przez trupy, stosy ciał.

Raskolnikowa by nie było, ni szynela,
Wenecja mogłaby po wieki siostrą być,
W błękiecie naszych snów i słupy Heraklesa,
I Ikarowy lot już odtąd by się skrzył.

A to, co było nie dla oka
Postronnych, co, gdy powiał wiatr,
Przed sadem nagle skryła stora,
Łopocząc w oknie, prawie jak
Żaglówka na pobliskich wodach –
To nie był kaprys ani żart,
Ani też bezwstyd, który schować
Należy (ci, przy twarzy twarz,
Nie dostrzegali nic, choć w łozach
Niejeden właśnie śpiewał ptak) –

A tylko była to rozmowa
W języku lepszym, nowym tak!

Patrzę w okno na nocne obłoki i mgły,
Odsunawszy płócienną zasłonę.
Znałem szczęście i bałem się śmierci. A dziś
Tak jak dawniej, lecz mniej już się boję.

Umrzeć – znaczy zaszumieć, gdy silnie dmie wiatr
Razem z klonem, co patrzy ponuro.
Umrzeć – znaczy odnaleźć na dwór stary trakt
Do Ryszarda lub króla Artura.

Umrzeć – rozgryźć najtwardszy ten orzech, o tak,
Znać przyczyny i wszystkie motywy.
Umrzeć – znaczy dla wszystkich współczesnym się stać,
Oprócz tych, którzy jeszcze są żywi.

Odchodzi lato. Wiatr tak wieje wciąż,
Że zda się, to nie lato – życie samo
I jeży się, i swój ponagla krok,
Przed chłodem broniąc się skuleniem ramion.

Po pniach, po kępach i po wodzie wprost.
Bo nie dla niego są zimowe lęki.
Gdzie mieszka? Boże mój, ma wszędzie dom!
A zwłaszcza tam, gdzie statki i gdzie błękit.

Odchodzi światło. Samo życie też.
Przysłuchaj się: jest noc, odchodzi miłość,
Zostawia jesień zamiast listu, gdzie
Dowody się niezbite przytoczyło.

Odchodzi muza. Z klonów, topól, brzoź,
Zlatują liście, ważki mkną w ich ślady.
Odchodzą też kobiety, biegną już,
Jak gdyby swoje łyzy wyprzedzić chciały.

Układ przedmiotów, które nam
Ten gładki zdobią stół,
I załamany światła blask,
I szkła sinawy lód.
Więc kwiaty – tu – tulipan, mak,
A kielich wina – tam.
Szczęśliwy jesteś? – Nie. – A tak? –
Prawie. – A tak? – O tak!

Tłumaczyły Elżbieta Zechenter
i Zofia Dziechciaruk



Reprodukcja W. Połuchina, *Brodskij glazami sowremennikow*, Sankt-Pietierburg 1997.

ALEKSANDER KUSZNER, ur. 1936 w Leningradzie. Debiutował tomikiem *Ilryków Pierwije wpięczatlenija* (1962), do chwili obecnej wydał ich kilkanaście. Jest autorem zbioru esejów o poezji rosyjskiej *Apołlon w sniegu* (1991), patronuje grupie utalentowanych młodych poetów.

Jadwiga Szymak-Reiferowa Rosyjskie feministki

Na pytanie „czy uważasz się za feministkę”, ani jedna z dwustu ankietowanych Rosjank nie odpowiedziała „tak”. 35 % nie wiedziało, co oznacza samo słowo „feminizm”, częste były wypowiedzi w rodzaju „bzdura”, „fałszywy światopogląd”, „zajęcie dla starych panien”. Z odpowiedzi na pytania formułowane nie wprost można było wnosić, że realnie zasady feminizmu akceptuje 15% ankietowanych, a 40% negatywnie odnosi się zarówno do samego terminu, jak i do jego treści. Nasze kobiety nie chcą głosować na kobiety w wyborach, nie chcą mieć kobiety-zwierzchnika, a wiele z nich wolałoby nie pracować – referuje rezultaty swych badań Jekatierina Sokolowa, doktorantka Petersburskiej Akademii Kultury, autorka pracy *Feminizm w Rosji*.

Feminizm w skrajnym, zachodnim, amerykańskim rozumieniu nie wydaje się atrakcyjny dla kobiet w Rosji, które już poznały smak formalnego równouprawnienia, najeżdżały się na traktorach, naukladły torów kolejowych. Życie paru pokoleń w warunkach kilku wojen, a więc i deficytu mężczyzn, proletaryzacja manier w tym kraju mogły skłonić kobiety do różnych rzeczy, ale nie do zakazu całowania rąk albo podawania płaszcza. One tak mało tego doświadczyły – czytamy w „rosyjskim piśmie feministycznym” (tak w nagłówku) „Prieobrażenie”, czyli „Przemiana”, wychodzącym od 1993 roku.

Wydaje takowe Klub Kobiet o tejże nazwie, który zaczął swą działalność od tworzenia fundacji, organizowania różnych form pomocy dla ofiar dyskryminacji oraz od promocji literatury kobiecej, m.in. ogłaszając, razem z redakcją znanego miesięcznika literackiego „Oktiabr”, międzynarodowy konkurs na opowiadanie o tematyce kobiecej. Jak dotąd wyszły cztery numery „Przemiany”, w przygotowaniu jest piąty, a więc raczej to nie czasopismo, lecz almanach, choć zawartością przypomina klasyczny rosyjski społeczno-literacki „tołstij żurnal”, tyle że w kolorowej okładce, na lepszym niż np. „Nowy mir” lub tenże „Oktiabr” papierze. Imponująca objętość – 156 stron w podwójnym, albumowym formacie. Kolegium redakcyjne – pięć Rosjank, skład autorski jedynego, jaki do nas dotarł, numeru 3 (1995) – międzynarodowy: poetki, pisarki, dziennikarki, wykładowczynie wyższych uczelni Rosji, USA, Włoch, Niemiec i Francji oraz jeden mężczyzna, też uczony. Nakład 1000 egzemplarzy, a więc pismo o ograniczonym zasięgu, choć w zamyśle – edukacyjne.

Nic sensacyjnego, żadnych prowokacji, żadnego ekstremizmu. Uściślenie terminologii (przyjęcie obcojęzycznych określeń „gender-naja” krytyka, „gendernyje” issledowanija, pozwalających wyjść poza znaczeniowe ograniczenia takich pojęć jak feminizm, seks i płeć). Solidna próba samookreślenia, sporo materiałów o historii emancypacyjnych dążeń w minionym stuleciu, wreszcie opis sytuacji kobiet na tle przemian ekonomicznych i społecznych w postsowieckiej Rosji, gdzie zmiana ustroju przyniosła szereg negatywnych zjawisk, takich jak zwiększone bezrobocie kobiet, ich polityczny infantylizm spowodowany pogorszeniem warunków bytowych (m.in. likwidacja żłobków i przedszkoli), pornobiznes, feminizacja strefy ubóstwa, ograniczenie potrzeb kulturalnych. Politolog Valeria Sperling (USA) zwraca uwagę na paradoksalność obecnej sytuacji, kiedy to kobiety w Rosji będą musiały walczyć o zachowanie i obronę takiego poziomu wykształcenia i kwalifikacji zawodowych, jaki już osiągnęły przed pieriestrojką.

Feministyczny dyskurs w „Przemianie” ogarnia całą problematykę kultury, poszukiwania nowej duchowości, nowego rozumienia siebie i świata, jest zatem adresowany głównie do kobiet wykształconych. Nową mentalność,

jaka chciałaby kształtować światło rosyjskie feministki, musi cechować indywidualizm, poczucie osobistej odpowiedzialności kobiet, sprzeciw wobec władzy i państwa realizującego przede wszystkim męskie interesy, wobec społeczeństwa ukształtowanego w męskim systemie wartości.

Naukowym badaniom i dyskusjom towarzyszy promocja twórczości kobiet, znajdująca wsparcie rozmaitych fundacji. W ostatnim dziesięcioleciu mamy do czynienia z eksplozją talentów, porównywalną tylko z tym, co zdarzyło się na przełomie XIX i XX wieku, podczas modernistycznej rewolucji obyczajowej, kiedy ukształtowały się takie indywidualności jak Zinaida Gippius, Olga Forsz, Anna Achmatowa, Marina Cwietajewa, Maria Szkapska. Po roku 1917 kobiety w ZSRR zy-



Reprodukcja P. Wajl, A. Gienis, 60-e. Mir sowietskogo czelowieka, Moskwa 1998.

skwały wprowadzić pełne prawa obywatelskie, ale literatura stała się jednak domeną mężczyzn. Tu przydałby się dłuższy historycznoliteracki wywód o tym paradoksalnym zjawisku, pozostawimy jednak przy współczesności. Nie było wielkiego urodzaju kobiecych talentów w latach breżniewowskiego zastoju ani pogody dla tych nielicznych, które się wtedy objawiły. Chętniej publikowano wtedy tak zwaną „damską prozę”, niby nie uciekającą od niewesołych realiów, ale w istocie powielającą, zapewne ku pokrzepieniu serc, schemat bajek o kopciuszku i brzydkim kaczątku, natomiast barier cenzury nie mogła pokonać Ludmiła Pietru-

szewska (ur. 1938). Pierwszy tomik jej znakomitych, drapieżnych opowiadań, w których świat niezmiennie oglądany jest przez kobietę, ukazał się w 1987 roku, po dwudziestu latach oczekiwania.

Pieriestrojka przyniosła uderzeniową dawkę zbiorowych publikacji kobiecej prozy o jakże wymownych tytułach: *Kobiece logika* (1989), *Nie pamiętająca zła* (1990), *Czyściutkie życie* (1990), *Nowe amazonki* (1991), *Absyntentki* (1991), *Oczyrna kobiety* (1993), *Czego chce kobieta* (1993). Ich zawartość jest zróżnicowana, ewoluująca od powtórek ze schematów i stylu „wiejskiej” i „miejskiej” prozy wczesnych lat osiemdziesiątych po epatującą obyczajową odwagę i wulgarnością słownictwa wzorce wyzwolonej od cenzury tak zwanej „czernuchy”. Wiele autorek pochodzących z peryferyjnych ośrodków dzięki tym własnie publikacjom mogło przebić się do stołecznych wydawnictw. Warte uwagi pisarki, które doczekały się również indywidualnych publikacji, to Marina Palej, Swietłana Wasilenko, Nina Iskrienko, Nina Gorłanowa, Galina Skwarcowa, Natalia Miedwediewa, Daria Aslamowa, Julia Niemirowska, Jelena Glinka.

Nagrody specjalne we wspomnianym konkursie na najlepsze kobiece opowiadanie przyznane zostały przez Klub Kobiet „Prieobrażenie” „za feministyczne podejście do tematu”. Co to znaczy, członkinie jury nie precyzowały, ale z innych wypowiedzi sądzić można, że chodziło o wybór tematów omijanych lub zmiłogizowanych przez mężczyzn. Publicystki „Przemiany” walczą z rozpowszechnionym przeświadczeniem, że męska literatura to literatura, a kobiece to „rezerwa”, krytykują Bellę Achmadulinę i Junnę Moric za ustawiczne podkreślanie „jestem poetką, nie poetką”, traktując to jako dowód podświadomej zgody na pogląd, że kobieta nie może być pełnowartościowym twórcą. Podobne pretensje kierowane są do najwybitniejszych autorek ostatniej dekady. W jednym z artykułów czytamy: „Aseksualna proza Ludmiły Pietruszewskiej i Tatiany Tołstoj, Niny Sadur i Walerii Narbikowej pisana jest w lęku, by nie przyklejono jej etykiety «kobiecej» lub wręcz «damskiej»”. Zarzut chyba niesłuszny, a płynący stąd, że właśnie te pisarki nie usiłują programowo re-

alizować też o odrębności kobiecej psychiki. O ich pozycji we współczesnej literaturze decydują indywidualne walory rozpoznawalne go już po kilku zdaniach stylu.

Z kilku opowiadań zamieszczonych w omawianym numerze „Przemiany” z 1995 roku prezentujemy – z konieczności we fragmentach – *W trójkącie bermudzkim* (1987) Jeleny Twierdisiowej, opowieść o przeżyciach matki walczącej w Afganistanie rosyjskiego żołnierza. Zdaje się, że nie przypadkiem redakcja umieściła ją nie w dziale literackim, lecz wśród tekstów publicystycznych. To nie beletrystyka, raczej manifest, krzyk kobiecości ugodzonej w najczulsze miejsce, szalejącej ze strachu o dziecko, miotającej się bezradnie w oczekiwaniu na listy, z których każdy mógł być ostatnim. Nie pierwszy to, a i nie ostatni w tym kraju trójkąt bermudzki, w którym bez śladu ginęli ludzie. Dramat matek, które do dziś szukają grobów poległych w Czerwonej Armii, a także tych, których synowie walczą w Dagestanie, to także jeden z aspektów konfliktu jednostki i totalitarnego państwa z jego wielkomocarstwową ideologią.

Kobiece boom w literaturze rosyjskiej można oceniać również z czysto socjologicznego punktu widzenia. Nie chodzi tu tylko o konflikt płci, lecz raczej o uwalnianie się od stereotypowych zachowań. Świat się zmienił, adaptacja do nowych warunków wymaga samopoznania, nowej samoświadomości, uruchomienia ukrytych rezerw twórczych. Nowy ruch feministyczny, także w swych literackich przejawach, to inna forma społecznej aktywności, nauka działania indywidualnego, w małych grupach, na własny rachunek, bez oglądania się na scentralizowane, bezwładne instytucje. To również walka o prestiż społeczny, a zapewne i realizacja dążenia do władzy, na razie trudno dostępnej w politycznych strukturach.

Literatura i publicystyka feministyczna w Rosji to z pewnością zjawisko nie powierzchowne, mające głębsze podłoże. Obfitość wątków tematycznych, kontrastowość stylu i metod, krańcowe zróżnicowanie – od obyczajowej prowokacji do patosu autentycznego cierpienia – dobrze wróży o przyszłości i perspektywach tej małej literackiej rewolucji, społecznej i psychologicznej p r z e m i a n y.

DZIEŃ ZWYCIĘSTWA, Moskwa 9 maja 1994 r.



Fotografia Janusz Świeży

Jelena Twierdisłowa *W trójkącie bermudzkim*

Jestem jak dwugarbny wielbłąd. Śmierć mamy i ojciec, jego rozpacz, nikogo nie oszczędzająca bezradność. Nie wiadomo, dlaczego w naszej rodzinie panowało niepisane przeświadczenie: najpierw umrze papa, mama go pochowa. Papa skarżył się na serce, mama na nic nie chorowała, ani razu nie leżała w szpitalu. I teraz czuliśmy się jakby oszukani, zwłaszcza ojciec. [...]

Uspokojenie nastąpiło dopiero po pogrzebie. Uspokajał cmentarz, ziemia, w której spoczęła urna z prochami, sąsiednie nagrobki, jak gdyby wystawione na pokaz: zadbane, ozdobne, nawet wesole, przypominające jarmarczne pierniki. Przeraziły tylko inskrypcje – wzniosłe, uroczyste i bezsensowne: „Polegli, spełniając internacjonalistyczny obowiązek”.

– Trzeba zadzwonić do N., obiecał pomóc. – Ojciec nie patrzy na mnie, Afganistan to w naszych rozmowach zakazany temat. On uważa, że postąpiliśmy słusznie, wprowadzając tam nasze wojska, w przeciwnym razie... Jego logika przypomina krzywe uliczki w starym mieście: którąkolwiek pójdziesz, zaprowadzi cię na główny plac. Niepokoilo coś innego – tego lata tylko do Butowa, gdzie wynajmowaliśmy dachę, przywieziono pięć trumien. Ojciec boi się nowego nie-szczęścia. Po raz pierwszy w życiu, przekroczywszy siedemdziesiątkę, on, który przeżył wojnę i czystki, przestraszył się przyszłości, niespokojny o los wnuka. I nagle zaczął szukać protekcji, prosić, rozważać możliwe warianty, chyba bardziej w trosce o własne dobre samopoczucie niż o los rówieśników wnuka. Niezmiennie twierdził, że postąpiono słusznie, tylko że nasz chłopiec... I tu myśl jego robiła pętlę i zaciskała się na gardle, nie mieszcząc się w uporządkowanym systemie poglądów niewolnika, który zawsze jest przekonany, że „tak trzeba”. Zasadę zachwiała śmierć mamy – nieuchronna, przedwcześnie. Na krótką chwilę nawet przebudziła w nim odruch sprzeciwu – na przykład, żeby wytoczyć proces lekarzom. Nie od razu uznał argument, że lekarze tu nie są winni, że to medycyna u nas jest na jaskiniowym poziomie. „Mama po prostu miała pecha”. „Ale to niemożliwe, żebyśmy mieli pecha i tym razem” – mówi ojciec, myśląc o wnuku. [...]

Na ekranie telewizora przypadkiem, prześlizgnąwszy się przez surową cenzurę, mignął kadr z kroniki filmowej: koło schodków samolotu zatrzymują się czterej oficerowie w średnim wieku. Stoją na baczność, ani drgną, jakby przyjmowali defiladę znoszonych na noszach, albo i skaczących po schodkach jednonogich chłopców. Zastygli w tak zwykłej dla naszych czasów warcie honorowej, oficerowie ci stoją już nie piętnaście czy dwadzieścia minut, lecz prawie dziesięć lat, witając okaleczonych, rannych z bezwładnie kiwającymi się na noszach głowami, zabitych – w trumnach. I nikt sobie nie strzelił w łeb, nie zażądał zaprzestania tego wstępnego spektaklu, nie zorganizował tajnego spisku lub czegoś w tym rodzaju. Trzeba będzie, to będą stali na tym pustym lotnisku, w porównaniu z którym cmentarz nocą to dom wypoczynkowy, całych dwadzieścia pięć lat, przez cały czas swojej służby wojskowej, byle zasłużyć na emeryturę i ważniejszy order.

Uderzenie przyszło znienacka. Wtedy, kiedy chłopiec, skierowany do szkoły wojskowej ze specjalnością, która, jak się zdawało, nie była potrzebna w Afganistanie, zdał końcowe egzaminy i oczekiwał na przydział do którejś z krajowych jednostek. Przekonani, że jest bezpieczny, uspokoiliśmy się i nawet kupiliśmy na zapas chińskich konserw i pudeł na paczki, bo wiadomo, że w wojsku karmią marnie, licząc nawet kromki chleba...

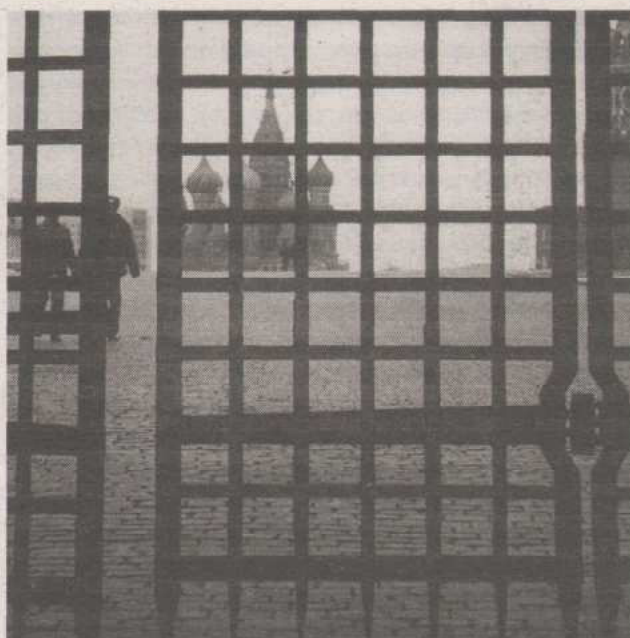
I nagle przyszedł list z napisem „pocztą polowa”... Co się wtedy stało? Nie pamiętam. Inny wymiar czasu i przestrzeni: obcy kraj, w którym nikt nie zna naszego języka. „My wszyscy jesteście w tym kraju zbędnymi ludźmi!” – przypominały mi się słowa rzucone kiedyś przez moją przyjaciółkę. Obrobowano mnie w najbardziej barbarzyński sposób. [...] Wcisnęto mnie do klatki, której nie można się dotknąć, tak paląco zimne są jej pręty, a oczy boją od jaskrawego blasku metalu. Ciasna i niska jak piwnica klatka i ja, czepiająca się nadziei, że może jednak! Lecz ani się schylić, ani wyprostować, ani wydostać na wolność. Rządzi mną obca siła, której nie mogę sobie podporządkować, mogę tylko przeciwstawić jej własną siłę. Mnie tutaj, ze wszystkimi, już nie ma! Mnie już nie ma! Na zewnątrz jestem spokojna.

Na porodówce przez pierwszych kilka nocy nie mogłam zasnąć, dręczył mnie ciągle ten sam koszmar: przynoszą mi maluszkę, kładą obok mnie, a ja niezgrabnie się obracam, potrącam go i on spada... Niepokój o syna z czasem się zatarł, a teraz nieoczekiwanie wszystko znów się zaczęło.

Pospieszna ucieczka od przeszłości ku przyszłości – jak w biegu polknięty kęs chleba, który uwiązł w gardle. Żeby już jak najprędzej było jutro! Jestem więźniem, który w gorączce

pogania konia – oporny czas. Czas przygniół mnie jak ciężki, napełniony wodą balon, który strasznie wolno, po kropelce opróżniał się, z rzadka pozwalając mi odetchnąć. To były chwile równe odgłosowi spadających kropel. Ich rytm to wałowało listów. Od nas – do syna. Od niego – do nas. Listów, które my piszemy codziennie, pragnąc zapewnić syna, że zależy nam na nim, zależy bardziej niż na własnym życiu. [...] Co mogliśmy być zrobić? Postarać się o zwolnienie go ze względu na stan zdrowia? Mogliśmy, aleśmy tego nie zrobili. Ta droga od początku była dla nas nie do przyjęcia. „Zrozumcie, jestem medykiem, nie mogę kłamać medykom. Jak ja mam im kłamać? A przecież będę musiał kłamać!”

Ostatni raz widzieliśmy się na przysiędze, na którą rodzice przyjechali jak do obozu pionierskiego w dniu odwiedzin, a wszyscy chłopcy przypominali bawiących się w wojnę podrostków: w obecności rodziców wydawali się jeszcze bardziej dziecinni. Siedzieliśmy z synem w składziku, pełni nie-



PLAC CZERWONY W MOSKWIE.

Fotografia Janusz Świeży

wyrażalnego lęku i po raz pierwszy tak naprawdę głęboko, niemal fizycznie, czuliśmy naszą bliskość i rodzinną wspólnotę. Z jeszcze nie odróżnionymi włosami, chudy, ze sterzącymi uszami i pełnymi smutku oczami, strasznie był stęskniony za domem. Zdumiewające było połączenie tej bezdomności w spojrzeniu z ożywieniem i radością ze spotkania, sprawiające, że wszyscy ci chłopcy, co do jednego, byli ogromnie do siebie podobni...

Przy pożegnaniu, przytulając syna, który już był wyższy od swojego ojca, rozplakałam się. „Coś ty, mamo, żegnasz się, jakbyś mnie na front odprowadzała”. Czy mogliśmy to przewidzieć? Czy mogliśmy temu zapobiec?

Kiedy dostałam ten list, zaczęłam się miotać jak kurz na drodze, po której na nic nie zważając pędzi sznur pojazdów. Miotalam się, bojąc się zatrzymać, biegałam po znajomych, zbierałam wiadomości o tych, którzy są teraz tam, rzucałam się do telefonu: żeby choć cokolwiek zrobić, naprawić, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć w to, co się stało. „Tylko nie waż się pisać zażaleń – uprzedzał mnie mój przyjaciel, były wojskowy. – Opinia matek w naszym wojsku nie ma najmniejszego znaczenia, ich uczuć nikt nie bierze pod uwagę. Dla każdej matki jej syn jest najlepszy i najdroższy, i zasługuje na lepszy los. Nie rób żadnych starań, tylko chłopcu zaszkożysz”.

– Co ja mogę dla ciebie zrobić? – stara się mnie pocieszyć przyjaciółka z lat studenckich. – Nie wiem – krzyczę. – Nie wiem, ale to niesprawiedliwe. Dopiero co pochowałam mamę, ojciec w ciężkim stanie. Nie wytrzymam, będę żądać, prosić, dotrę do samej góry, ktoś mnie musi zrozumieć... – A inne matki niech cierpią? Właśnie wróciłam z Estonii, z Łotwy. Biorą wszystkich pod rękę, nie zważając na okoliczności, na samotne matki. Czy ty rozumiesz, że prosić o swojego syna to żadne wyjście?

Nie od razu zrozumiałam, że wyzwolić go stamtąd można tylko przez komisję lekarską. Udowodnić niezdolność do zawodu? Skompromitować? Zgodzić się, żeby stanął pod pręgierzem, żeby go wychłostano komisijnymi badaniami i śledztwem? Zrobić to własnymi rękami, na oczach wszystkich? Nawet chciano mi pomóc...

Przybity gęstym deszczem i gradem moich możliwych nie-możliwości, kurz na drodze złudnych nadziei opadł, pozostawiając mokra od łez twarz, zapuchnięte oczy i ochryple od krzyku głos. Pustka rozerwała wnętrzności. „Pani ma wrzód żołądka. Trzeba leczyć nerwy”. Lekarze mają rację,

ale każdy wie swoje, straciłam wszystkie punkty orientacyjne, żyję w trójkącie bermudzkim, gdzie wszystko jest względne, i nikt nie wie, co się naprawdę z ludźmi dzieje. Był człowiek i nie ma go, a jaki był – nikt nie pamięta, nikt go nie zauważył. W porównaniu z tymi, którzy mnie otaczają, mnie po prostu nie ma, jestem poza kręgiem normalnego istnienia, w punkcie przecięcia linii bezpieczeństwa i nieprzewidywalności. Nagle zobaczyłam siebie z boku, wywróconą na nice, z ostrzami gwoździ ukrytymi pod główkami losu... uda się... nie uda... [...]

Ille lat miał mój syn, kiedy zaczęła się ta nie wypowiedziana otwarcie wojna? Dziesięć. Cień przeznaczenia już nas dosięgnął, żyliśmy zbliżając się do linii, za którą... Trójkąt bermudzki. [...] Od 1979 roku, od tego dnia, kiedy zaczęła się wojna w Afganistanie, my, matki małych chłopców, stałyśmy się zakładniczkami w rękach naszego państwa i każda z nas wypila swój kielich gorczy w całkowitym osamotnieniu: a te, które ten kielich ominęły, też posmakowały ohydne-go napoju – zwierzęcego lęku o swoje młode, zagrożone przez ludzi. Było wszystko, tylko nie bunt, nie wspólne działanie. Każdy troszczył się o siebie, pojedynczo. Narzucono nam reguły gry, a myśmy je przyjęły, łudząc się, że można w nie wpisać swoje własne. System zadziałał idealnie: nie znaliśmy się wzajemnie. Osieroceni tracili rozum. Ci, którzy doczekali się powrotu zdrowych, o niczym innym nie mogli myśleć – trzeba było troszczyć się, żeby syn wrócił do rzeczywistości. Ci, którym oddano inwalidę nie mieli żadnych szans... [...]

Życie zmusza człowieka, by poczuł się bezsilnym, pyłkiem na czubku nosa wszechwładnego losu. Wiara w Boga pomaga znosić cierpienie, uczy pokory, dalekiej jednakże od duchowego zniewolenia – zaczynamy wówczas uświadamiać sobie, że jesteśmy częścią Kosmosu. Kraj, który wytypił samą ideę Boga, zabił nawet pamięć o Nim, sprawił, że my, matki „afgańczyków”, szukałyśmy pociechy w modlitewnej, religijnej ekstazie. Odkrywałam Boga powoli, całym swoim wnętrzem, to on obudził we mnie Ducha Natury, jej istotę, bez czego wszystko jest kłamstwem i fałszem. On uczył mnie znosić cierpienie, nie tracić nadziei, trwać przy życiu w nie-szczęściu, wierzyć.

Przez cały czas trwania tej wojny radio, telewizja i prasa nie nadały żadnej audycji, nie stworzyły specjalnej rubryki poświęconej Afganistanowi. Ratują „wrogie” głosy: one jedynie dają regularną, a co ważniejsze, prawdziwą informację. Przez wszystkie te lata wojskowa komenda rejonowa nie wzięła na siebie obowiązku informowania, co tam się dzieje z naszymi chłopcami, nie dano nam nawet numeru telefonu, gdzie można by spytać, dlaczego długo nie ma listów. „Nie denerwuj się, złe wiadomości przychodzą szybko” – pocieszają. Zdradziecko milczy trójkąt, w którym wszystko może przepaść, zginać bez śladu. Nagle nasze listy wracają stamtąd z adnotacją: „adresat wyjechał”. Dokąd? Jak to rozumieć? W komendzie rejonowej odmawiają wyjaśnień. „Czekajcie”. Brzmi to jak reakcja na zwyczajny procent śmiertelności. W tej bezpowietrznej próżni trwaliśmy, dopóki nie przyszedł list od syna – wyjechał na delegację, nie zdążył uprzedzić. Tylko on rozumie, co się z nami dzieje.

Boję się telefonów, szczególnie męskich głosów, choć wiem, że złych wiadomości nie przekazuje się telefonicznie. Przywołują je i wręczają ci sami przedstawiciele wojskowych komend rejonowych, którzy teraz nas unikają, a przy tym skarżą się, że po takich „wizytach” siwieją, nerwy puszcza, są już zmęczeni. A czy siwieli, kiedy posyłali na śmierć? Nerwy nie puszczały?

Męski głos w słuchawce zwracający się do mnie po imieniu i nazwisku od razu pozbawiał mnie koordynacji ruchów, osłabiał ciało, przekształcając je w bezwładną masę, organizm jeszcze działał, głos też, ale mnie już nie było. I dopiero stopniowo, kiedy dotarło do mnie, że nic się nie stało, wracałam do siebie niczym powoli opadający osad w butelce, którą wstrząsnęto, ale nie odwrócono do góry dnem.

„Nie można stale żyć w strachu i rozpacz – mówi siostra. – Ty sama siebie niszczysz. Ale nie sposób się nie bać. Pozostaje strach i modlitwa”. [...]

Żyjemy i modlimy się. [...]

1987

Tłumaczyła Jadwiga Szymak-Reiferowa

[„Priebrożenije” 1995, nr 3]

JELENA TWIERDISŁOWA. Filolog, poetka, tłumaczka prozy Marka Hłaski, poezji Karola Wojtyły, autorka książki *Najedynie s odinoczeństwom: Literaturnyj portret papy Rimskiego Ioanna Pawła II* (1995).

Junna Moric

Z dachów rzuca się śnieg i o rynien rdzę
łomocze w noc glucho wśród blach.
Lekarskiego fartucha szeleści biel
spod kufajki, w rozbłysku lamp.
Nosze chwiejnie dźwigają śnieżysty kłęb,
co się waha jak płomień świec.
Kwadrans po czwartej pęka naczyń splot,
poprzez które słów potok biegnie.
Tylko za to cię kocham, że będziesz żyć,
a więcej za nic już.
Z dachu rzuca się śnieg, białych palców styk,
mnogich rąk załamanych ruch,
spoza których wyfryska błyskanie, dreszcz.
Ja, załamując ręce w tę noc,
tylko za to cię kocham, że prawda jest
w ruchu warg, które nieme są,
tylko za to, że wolność przez chłód
pościeli, jak mysz przemknąć chce,
w kraju, gdzie życie wisielczy rwie sznur
i rzuca się z dachów śnieg.

Wchodzę w sad, którego nie ma,
w deszcz, który wszędzie jest.
Żaba w świetle zachodu
wędruje poprzez wodę.
W woreczku zielonych skór
jest tylko serca drżeniem,
cały niepokój chłonie
z podobłokich przestrzeni.
W deszczach czerwonych i blaskach
skórzany, mokry bok
nadyma się i opada,
a grzbiec ma we łzach
z lusterek ułożony,
cały z oczu wilgotnych,
w iskrzeniu świec zachodu.
To, co głoduje we mnie
jej odbiera mowę.

...tylko miłość i woda –
od pracy słodsza nagroda.
Miłość – kiedy jest młoda.
Woda – gdy cukier we krwi.
Praca – gdy młoda woda
na gorzkiej miłości młyn.
A pozostała reszta –
zdrowego rozsądku niesmak...

Gdy to powiedział kiedyś po raz pierwszy,
mój anioł uratował mnie od śmierci.
A gdy powiedział to już drugi raz –
ocalił mnie głodnego dziecka płacz.
Gdy trzeci raz powiedział znów te słowa –
papieros mnie wśród nocy uratował,
bo całowałam dym, lecący w cień,
papieros przypalony ogniem świec,
płynącym z wiatrem w łódce moich dłoni.
Wychowasz dziecko, stajesz się kimś obcym,
bo mu przeszkadzasz w pióra zmieniać puch.
Gdy i od niego nagle to usłyszysz
raz pierwszy – znak, że dni się wypełniły
i nie żal będzie ci umierać już.

Tłumaczyła Elżbieta Zechenter
przy współpracy Zofii Dziechciaruk

Reprodukcja J. Moric,
Łoza, Moskwa 1970.



JUNNA MORIC, ur. 1937 w Kijowie.
Debiutowała tomikiem liryków pt. *Razgo-
wor o szczęście* (1957), publikuje syste-
matycznie, również na łamach czasopism.
Jest członkiem kolegium redakcyj-
nego czasopisma literackiego „Oktiabr”.
W polskim przekładzie ukazał się zbio-
rek *Ślad w morzu i inne wiersze* (1974).

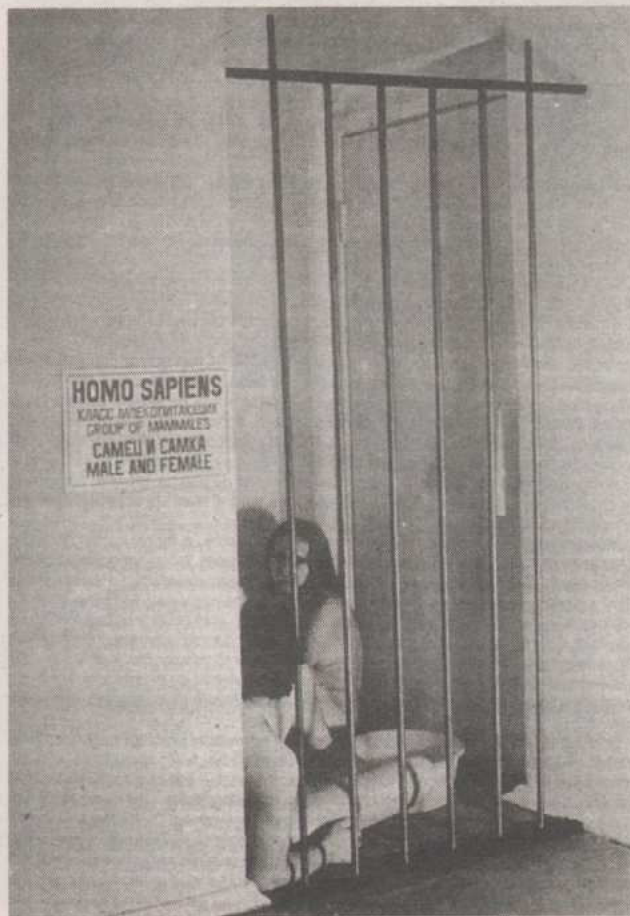
Waleria Narbikowa Równowaga blasku dziennych i nocnych gwiazd

fragmenty

Miło, że mamy cztery pory roku, nie dwie i nie jedną, jak niektórzy, i miło, że mamy je bez wysiłku, bo nie chce się ciągnąć słońca za rękę, żeby przechodziło przez zenit, i ciągnąć liści za uszy, żeby wylażyły z pączków – samo przejdzie jak trzeba, same wyleżą. A my będziemy patrzeć na nie z lubością. Bo nie da się lubić tego, o co trzeba ciągle zabiegać, ale słońce samo wszędzie i samo zajdzie, i nie trzeba wstawać o szóstej rano, żeby je wyciągnąć, a potem pędzić na drugi koniec miasta, żeby je znowu ściągnąć. Wszystko jest w porządku i wszystkie rzeczy są dobre same w sobie: i to, że do mnie przyjedziesz, i to, że ja przyjadę do ciebie, tylko porządek rzeczy nie jest w porządku: że nie będzie cię w tym czasie w domu. I to, że po jesieni przyjdzie zima, tylko w tym czasie jej nie będzie, bo nie będzie śniegu i mrozu, za to mróz będzie latem, które będzie do niczego, jak jesień, niczego sobie, jak zima. Więc trzeba się umawiać, żeby być punktualnie na miejscu: od i do. Żeby jesień była punktualnie na miejscu: od i do. Również trzy miesiące i nie dłużej. A potem zima: żeby nie czekać na nią i nie dzwonić przed wyjściem, i nie stać pod drzwiami, nie pisać kartki tuszem do rzęs: że, niby, byłam, kiedy cię nie było. A po niej lato: od i do; wczoraj wieczorem umówiliśmy się, a tu już rano, w łóżku, nie wcześniej i nie później, a punktualnie, tak jak się umawialiśmy, nuda. Zanudzić się można przy takim porządku. Lepiej niech już będzie jak jest, nawet jeśli nic nie ma: przyjedziesz, a mnie w tym czasie nie będzie, chociaż powinienam być, wiosną, której w tym czasie nie będzie, powinna być. Też nie. „A czego ty tak właściwie chcesz?” Porządku w nieporządku: przyjechać przypadkiem, a ty j a k r a z jesteś w domu. Wyjrzeć latem przez okno, a tam j a k r a z lato. Mało. Jednak rzecz nie w porządku, a w częstotliwości: chce się tak samo, ale częściej, czyli zawsze chce się tak samo: j a k r a z przyjechać, a ty j a k r a z jesteś w domu, ale to może być tylko raz, a raz nie może być zawsze z racji niezgodności porządku i częstotliwości: dlatego wyjrzyj latem za okno, a tam niedziela. [...]

Już świt – rozwidnia się, i wszystko, co widzimy, nazwiemy po imieniu, i będziemy tak nazywać do grobowej deski: stół, krzesło, łóżko, taboret – każdy przedmiot na swoim terytorium, wielopiętrowy las – szafa, szklanka, jeszcze jedna szklanka, okno, a co to tam na oknie, co za żarty, dlaczego kraty? czy to czasem nie więzienie, nie, wygląda nieźle, to nie Bastylia, nie Butyrki, więc dlaczego kraty? czyli więzienie, dożywocie, na utrzymaniu państwa, izolowali od społeczeństwa, zamknęli o chlebie i wodzie, przymusowe współżycie, tego właśnie chcieliśmy – żeby każdego dnia razem, na cztery ręce wstawać, w dwie gęby jeść, no i mamy, więzienie, słońce za kratami, drzewa za kratami, niebo też, czyli na zawsze, musimy być tu ze sobą na zawsze, wśród tych desek bez nazwy, jaka tam szafa czy łóżko – deski, będzie-

ZOO, performance Rimmy i Walerija Gierłwinów.
Reprodukcja R. i W. Gierłwinów, *Rosyjska sztuka samizdatu*, Warszawa 1990.



my tu jeść jedzenie – razem, do toalety i do łazienki – razem, pić – razem, będą na nas p atrzyli przez wizjer w drzwiach, zwrócony przodem do lasu, a do nas tyłem, i będą na nas patrzyli z lasu, a jakże: i milicjant, i chłop, na palcach i mimochodem, kto tylko zajrzy, ten jest strażnikiem. A może jesteśmy tutaj dobrowolnie, za kratami, o chlebie i wodzie, żeby pół ludzkości patrzyło przez wizjer, jak mężczyzna i kobieta żyją na cztery ręce, życie intymne, nieładnie patrzeć, a dla nich ładnie – patrzeć na nas: na ruch i bezruch, na absolut i indywidualność, obraz i odbicie obrazu, ciało i wolę, a udław się, przychodź i patrz w wizjer, a Szczepieszkiński będzie nam nosił paczki w dzień odwiedzin, w każdą niedzielę, siatkę z jedzeniem, a może to i nie więzienie? Po prostu parter, a w oknie kraty, żeby złodzieje nie ukradli desek, które mają nazwę: stół, kanapa, łóżko, i nas przy okazji, którzy mamy nazwę, może to samodzielne mieszkanie na parterze, nikt nie chce mieszkać, nie ma co dawać ogłoszeń, i tak się nie zamienia, a my chcemy – z łazienką i toaletą, z ciepłą wodą i gazem, żeby na nim gotować i podtrzymywać życie, ale kto powiedział, że mieszkanie za kratami nie jest więzieniem, kto powiedział, że więzienie nie jest mieszkaniem ze wszystkimi wygodami, a może to oni wszyscy są za kratami, żeby się nas nie czepiali, odgradziliśmy się od nich, posadziliśmy ich za kraty ze wszystkimi ich trolejbusami i taksówkami, z ich słońcem, z ładną i nieładną pogodą, całe ich królestwo posadziliśmy za kraty, odgradziliśmy się, i jesteśmy na wolności, nie brak nam przecież miejsca, idź, dokąd oczy poniosą, za róg, najbliższy zakręt, tam jest korytarz, idź do łazienki, jeszcze zobaczymy, kto tu jest za kratami.

Najpierw będzie zima – za kratami, każda śnieżynka, kryształek, wiosna – każdy pączek, listek za kratami, a jesienią – śmierć za kratami, pustka, powietrze, krople deszczu, które nie stoją w miejscu, jak śnieżynki, jak pączki i liście, a napływają i odpływają, życie upłynie, jak krew, z nosa, ze smarkami, a dobrze się żyło po tamtej stronie krat, co w tym dobrze, zaprosić ostatniego taksówkarza na wernisaż, wypalić z nim po papierosie, ładne słowo – wernisaż, to kiedy obrazy na ścianach i sieniach na biodrze, bolesne ugryzienie airedale teriera, brodatego psa, zejdzie razem ze śniegiem, siniak, śladu nie zostanie, a na razie zwijaj się z zadrzoci o milicjanta, o Drogi Mlecznej, możesz podejrzewać, tak, możesz zadrzocić każdemu słupowi telegraficznemu, to twoje prawo, ale powinieneś wiedzieć, to moje prawo, że z ani jednym milicjantem, konduktorem, z ani jednym plemnikiem z Drogi Mlecznej, z nikim nic nie miałam po tym, jak miałam – z tobą, miałam tylko z tobą i z nim, słupem telegraficznym, jeśli to byłeś ty, słup telegraficzny, z każdym telewizorem, jeśli to byłeś ty, telewizor, a tak z nikim więcej, niechby nas już szybciej zaniosło śniegiem, przysypało, zawałiło, ładna mogiłka, czysta, a jak, dobrze tam, jest co wspominać w mogile pod śniegiem, pukają. Kto tam znów puka, komu nie otworzyć?

Twórca to twórca, patrząc na naszą rzeczywistość stwarza swoją rzeczywistość, zupełnie inną. Może i przyroda na obrazkach to tylko dekoracja albo krzyżyki i kreski, kółka i robaczki, ale twórca tak widzi i tak rysuje. Ale przecież taki Bóg, on też stworzył swoją rzeczywistość: ale patrząc na jaką rzeczywistość Bóg stworzył swoją? jaka rzeczywistość tak go natchnęła, że stworzył tę, którą widzimy przez kraty, którą widzieliśmy każdego dnia przez okno? Choćby jednym okiem rzucić na tę rzeczywistość, która tak natchnęła Boga, że wziął i stworzył całą naszą rzeczywistość z trawą i obłokami. Co go natchnęło do stworzenia obłoku, co do trawy? jaka mieszanka cuchnących gazów natchnęła go do stworzenia powietrza, jakie sterylne kosmiczne gówno do stworzenia ziemi? Nigdy się nie dowiemy, tu nie może być pewności, tylko domysły, a tak by się chciało wiedzieć na pewno, pukają. [...]

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[W. Narbikowa, *Izbrannoje, ili szopot szuma*, Moskwa – Paris – New York 1994]

Reprodukcja W. Narbikowa, *Okolo ekolo...*, Moskwa 1992.

WALERIA NARBIKOWA, ur. 1958. Prozaik. Jedną z najmodniejszych współczesnych pisarek. Zadebiutowała w 1988 r. opowieścią *Równowaga światła dziennych i nocnych gwiazd*. Autorka kilku książek.



Wiktor Jerofiejew Męska uroda

W literaturze światowej, a nawet w specjalistycznej, rzadko znajdziemy opis męskiego ciała. Czyż nie dlatego rozluźnił się związek mężczyzny z ciałem? Niektóre części męskiego ciała do dziś nie zostały nazwane, albo nazwano je byle jak. Mężczyzna przypomina sobie o swojej cielesności w wyjątkowych wypadkach, głównie w sytuacjach stresowych. Znacznie więcej uwagi poświęca swojej działalności, z zasady katastrofalnej w skutkach. Mężczyzna został odezwany od ciała.

A przecież mężczyzna jest wyjątkowo piękny. Co więcej, jego piękno nie ma sobie równych w całej przyrodzie.

Niektórzy mówią, że mężczyzna rodzi się, żeby zabijać. Ma urodę zabójcy.

Są jednak ludzie, którzy uważają, że to tylko część prawdy. W męskim ciele tkwi piękno bezinteresownej pewności siebie. Męskie ramiona i piersi, a także łopatki, golenie i przedramiona są całkowicie bezinteresowne.

Co innego – noga.

Męska noga stanowi wzorec piękna. Jest dynamiczna w swojej włożatości. Mężczyzna nie musi czegoś tam golić. Jest sprężysta, szybko biegnie, wyposażona w stopę, piętę, palce, duże paznokcie i wreszcie skórę. Kolano jako łącznik między górą i dołem nie może nie być funkcjonalne.

Palce męskich rąk są cudem szybkiego reagowania.

Lubię patrzeć, jak mężczyzna idzie prowadząc za rękę dziecko. Mała rączka w dużej ręce. Podoba mi się ten kontrast.

O męskim podbródku mówią różnie. Nie raz zdarzało mi się słyszeć, że sugeruje on zawziętość. Co za naiwność! Męski podbródek skłania raczej do kontemplacji.

Męski pępek stanowi centrum kosmosu. Jeśli mężczyzna ma pępek odsłonięty – jest gospodarny; lubi gotować. Jeśli stulony – też jest gospodarny. Mężczyzna zawsze jest gospodarny. Zawsze z grabiami w ogrodzie życia.

Mężczyzna ma delikatną skórę. Tak delikatną, że chce się jej bezustannie dotykać.

Piękno śpiącego mężczyzny trudno opisać w jakimkolwiek języku.

Kiedy mężczyzna nadyma policzki, wygląda jak Bóg.

Kiedy mężczyzna niesie krzyż, przypomina Jezusa.

Męskiego gwizdnięcia nie ośmielię się z czymkolwiek porównywać.

Mocne męskie pośladki, piękne same w sobie, cieszą oko także tym, co widać między nimi.

Jaja – wyspa skarbów. Jest tam jedno takie miejsce, po prostu zwala z nóg.

Nigdy nie nazwę męskich genitaliów haniebnym faryzejskim słowem członek. Chuj to chuj, i będę pisał to słowo dużą literą, jak słowo Ojczyzna. Wykreśliam je ze słownika nieценzuralnych słów.

Szanuję naturalną autonomiczność chuja. Jego samodzielne decyzje.

Czy widzieliście kiedyś czy masturbującego się mężczyzny?

Są pełne suchych łez.

Czy widzieliście kiedyś, jak mężczyzna je? Ścisną mi gardło, kiedy oglądam taką scenę.

Kiedy mężczyzna jeden dzień się nie goli, staje się geniuszem natchnienia.

Intryguje mnie jego nałóg rywalizowania. Czysta przyjemność – patrzeć, jak wykonuje podniebne wiraże na myśliwcu, jak staje w powietrzu dęba, a potem przewraca się na grzbiet.

Lubię patrzeć, jak goły mężczyzna czesze się w łazience przed wysokim, sięgającym podłogi lustrem. Zaczesa mu włosy na kark. Klasa. Lubię patrzeć, jak naciera policzki ciepłą wodą kolońską, jak się lekko uśmiecha.

Nie jestem amatorem górniczych siódmych potów, ale lubię mężczyzn o nieco brudnych twarzach.

Mężczyzna gruby czy mężczyzna chudy – co za różnica! Obaj mają jabłko Adama.

Męskie sutki – znów bezinteresowność.

Szyja – ruch.

Usta – cisza.

Martwy mężczyzna jest mniej straszny, niż jakiegokolwiek inne zwierzę.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[W. Jerofiejew, *Mężczyźni*, Moskwa 1998]

WIKTOR JEROFIEJEW, ur. 1947 w Moskwie. Filolog, eseista, prozaik. Jeden z organizatorów i autorów samizdatowego almanachu „Metropol” (1979). Spośród wielu wydań utworów Jerofiejewa warto wspomnieć trytomowe dzieła zebrane (1994-1996), zbiór esejów *W labiryncie proklatych woprosow* (1990) oraz antologię rosyjskiej prozy końca wieku *Russkije cwiety zla* (1997).

Wiaczesław Kuricyn Baudrillardum

Idzie Stirlitz przez las, patrzy, na drzewie siedzi Baudrillard. „Stirlitz” – pomyślał Baudrillard. „Simulacrum” – pomyślał Stirlitz. [...]

Nietrudno zauważyć podwójną semantykę „Baudrillarda”. To, że tradycja anegdoty sytuuje go w tym samym kontekście co Stirlitza (na jego miejscu mógłby być Piet’ka albo Wasilij Iwanowicz), oznacza uznanie Baudrillarda za swojego chłopca, za znak swego kręgu, za mitologem na tyle domowy i rodzinny, że staje się on własnością ustnej twórczości ludowej. Z drugiej strony, postać Baudrillarda i jego teorie simulacrum przedstawiono tutaj specjalnie w sposób trywialny, protekcyjny i komiczny. Anegdota ma co najmniej dwa oczywiste interteksty. Pierwszy: „Idzie Stirlitz ulicą, naprzeciwko idą, powiedzmy, kurwy. «Kurwy» – pomyślał Stirlitz. «Stirlitz» – pomyślały kurwy”. Aluzja ta podkreśla strywalizowanie postaci Baudrillarda. Tekst oryginału parodiuje legendarną przenikliwość i zdolności konspiracyjne Wielkiego Szpiega – wszystko okazuje się zrozumiałe dla pierwszych z brzegu pańienek lekkich obyczajów. W naszym tekście w roli Stirlitza znalazł się Baudrillard: sparodiowano wyjątkowy intelektualizm Wielkiego Filozofa – jego konstrukcje okazują się łatwe dla pierwszego lepszego pułkownika wywiadu, przy czym nawet nie tyle najbardziej bohaterskiego bohatera *Siedemnastu mgień wiosny*, ile jego ludowego wzorca, takiego półgłówka Stirlitza, co to występuje w starych radzieckich apokryfach. Odpowiednio Stirlitz z naszego tekstu jest tak naprawdę „simulacrum-szkicem”, simulacrum simulacrum. Kiedy simulacrum simulacrum określa jako simulacrum autora teorii simulacrum, nie sposób nie zgodzić się, że tekst jest po prostu bardzo dobrze zrobiony.

Drugi intertekst naszej anegdoty to baśń Iwana Kryłowa *Wrona i Lis*. Sytuacja sparodiowana jest wspaniale. Jedną z postaci siedzi na drzewie (na gałęzi) i jest posiadaczem pewnego dobra materialnego, a druga, apelując do zdolności twórczych pierwszej, przy pomocy oszustwa wyludza od niej rzeczne dobro. Wrona, uwierzywszy w swój talent do śpiewania, wyszła na głupca (i śpiewać nie umiała, i ser straciła). Baudrillard, uwierzywszy w swój dar filozofowania, wychodzi na błazna: nie umiał zastosować praktycznie własnej teorii (nazwał Stirlitza Stirlitzem, zupełnie po przedbaudrillardowsku prostacko odniósł znak do desygnatu).

Oczywiście wymysły francuskiej filozofii postmodernistycznej, głoszącej niezależność signifiant do signifié, wielość płci, uprzedniość skutku względem przyczyny i temu podobne cuda, po prostu bezwarunkowo winny wzbudzać pragnienie ich wydrwienia. Słyszałem kilka historyjek tego rodzaju, mniej „archetypowych”, aniżeli o Stirlitzu i Baudrillardzie (to malar-

kie arcydzieło – bogactwo „treści” przy, wydawać by się mogło, prymitywnej „formie”), ale też dobrych.

Przychodzi Deleuze z hemoroidami do lekarza, a leczy go na gonoreę. Gilles krzyczy: „Litości! To wcale nie to miejsce! Z drugiej strony!” W odpowiedzi słyszy: „Niech pacjent się uspokoi! Czyżby nie czytał pan w drugim tomie *Kapitalizmu i schizofrenii*, klasycznej pracy wybitnych współczesnych miłośników mądrości Deleuze’a i – w żałobnej ramce – Guattari, że fallus pod względem typologicznym niczym nie różni się od anusa?”

Albo: o narodowym ruchu dekonstrukcjonistów, którzy zgodnie z wszelkimi zasadami rozebrali Derridzie krzesło w czasie wykładu, samochód i domek pod Paryżem.

Albo o ciotce tego samego Baudrillarda, która umarła, pozostawiając siostrzeńcowi ogromny spadek, ale spadku tego siostrzeńiec dostać nie może. „Ale przecież to ja, Baudrillard, jestem spadkobiercą!” – „Jaki z pana Baudrillard, pan jest simulacrum”. – „Przypuśćmy, ale to mnie zapisano pieniądze!” – „Dość tego, co to znaczy panu? Pieniądze te w najlepszym przypadku należą do pana tekstów, nawet nie do tekstów, a pewnej idei pana tekstów... No i czym w istocie są pieniądze, gdzie je pan widział, jeżeli znak poprzedza desygnat...”

Warto powtórzyć: podobny odbiór świadczy o dwóch rzeczach. O tym, że idee poststrukturalistów i dekonstrukcjonistów przyjęły się u nas jak własne. I o tym, że pewne grono ludzi chce w jakiś sposób zdystansować się wobec tych idei. Wiadomo. Z uśmiechem. Po prostu niemalże pogardliwie. [...]

Lecz wracając do naszej anegdoty. Charakterystyczne, że „Stirlitz”, głupi Jasio z tradycyjnych radzieckich opowieści, na tle rachitycznego Francuzika Baudrillarda wydaje się nad podziw mądry. Zwraca uwagę doskonałość i soczystość mitologii socrealistycznej, już nie tylko klasycznej stalinowskiej [...], ale i ospałej, w rodzaju breżniewowskiej. Odwołanie do oczywistego kontekstu. Problem przecież jest bezsporny: brak kontekstu, który byłby zdolny powołać do życia postaci mitologiczne. Anegdota jest idealnym detektorem. Nie ma sensownych anegdot o Jelcynie i Żyrinowskim („Przychodzi facet do sklepu. «Ma pani herbatę?» – «Tylko indyjską» – «Nie, indyjskiej nie chcę, śmierdzi butami»”. No i spróbuj zrozumieć, że to aluzja do obietnicy Władimira Wolfowicza o zanurzeniu butów w Oceanie Indyjskim). Ale zapotrzebowanie na mitologię nigdy nie ginie, a pewne sfery, gotowe określać postmodernizm jako zdechłego psa, dokonują mitologizującego gestu w postmodernistycznym kontekście. To, że wybierają postać Baudrillarda, jest znakiem zdrowej autoironii: w ten sposób tematyzują swój gest jako prawdziwe simulacrum.

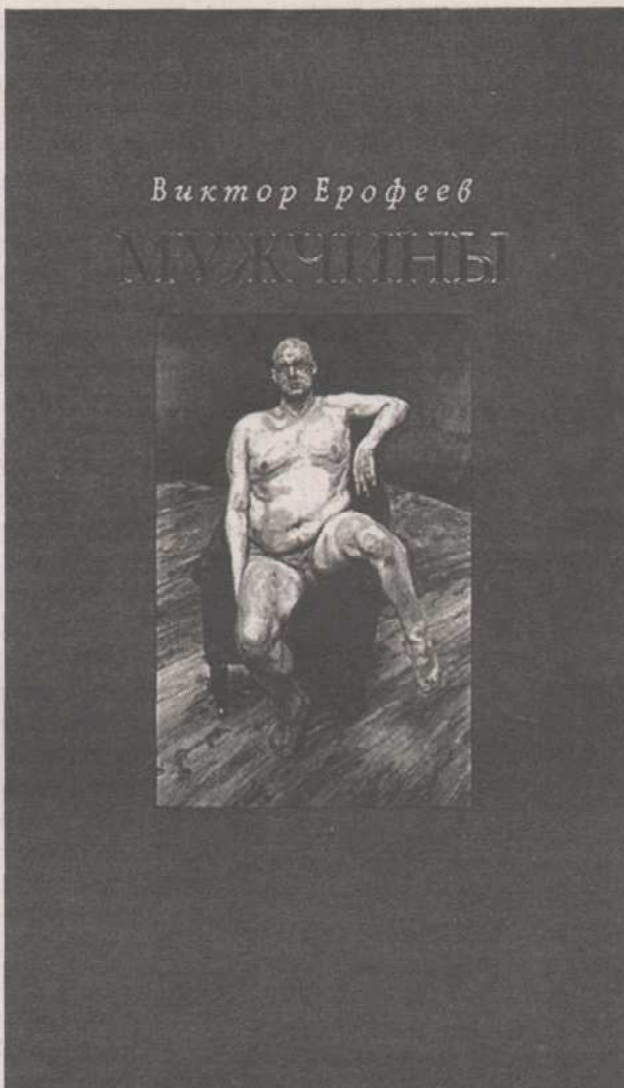
Tłumaczyła Anna Skotnicka-Maj

[W. Kuricyn, *Żurnalista* 1993-1997, Sankt-Pietierburg 1998]

WACZESŁAW KURICYN, ur. 1965. Krytyk i prozaik. Autor wielu prac o postmodernizmie, m.in. *Sowremiennyj russkij literaturnyj postmodernizm* (1998), *Kurcynskij sbornik* (1998). Debiutował w Swierdłowsku, mieszka w Moskwie.

Iłja Kabakow, *Czerwony pawilon*, XLV Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji, Rosyjski Pawilon, 1993.

Fotografia Grażyna Borowik



Ciekawe, gdzie się teraz podziwia Swietłana – wariatka o przezwisku Pipka, ta, o której jedni mówili z młodzieńczą nonszalancją: „Czy ta Pipka to w ogóle człowiek?”, a inni się oburzali: „I po co ją wpuszczacie! Pilnowalibyście lepiej książek! Wszystkie wam wyniesie!” Nie, nie mieli racji. Jedyne, co ciąży na jej sumieniu, to jasnoniebieski Simenon i biały welniany sweterek z dzierganymi guzickami, który i tak miał już cerowany łokieć. Zresztą, co tam sweterek! O ileż cenniejsze skarby ulotniły się od tego czasu: pełna blasku młodość Rimmy, dzieciństwo jej dzieci, świeżość nadziei błękitnych jak poranne niebo; utajona, radosna ufność, z jaką wsluchiwała się w szepczący do niej jedynej głos przyszłości – jakich to wianków, kwiatów, wysp i łecz jej nie obiecywał – i gdzie to wszystko? A sweterka nie żał, sama Rimma na siłę wcisnęła Swietłanę w ten niepotrzebny łach, kiedy wypychała ją, szaloną, jak zawsze półnagą, na jesienną słotę, w zimną moskiewską północ, trzepoczącą gałęziami. Rimma, już w koszuli nocnej, niecierpliwie przebierała na progu marzniętymi nogami, pośpiesznie przytakiwała i, napierając, pozbywała się Swietłany, a ta, nerwowo chichocząc i gwałtownie gestykulując, wciąż próbowała coś dokończyć, dopowiedzieć, a na jej białej, niebrzydkiej twarzy płonęła otchłań szalonych, czarnych oczu i mokra otchłań ust wybiła prędko rytm – straszne, czarne usta, gdzie pieńki zębów przywodziły na myśl zetłale pogorzelisko. Rimma napierała, odbijając piędź za piędź, a Swietłana wciąż mówiła i mówiła, wymachując na wszystkie strony rękami, jakby wykonywała gimnastykę – późną, nocną, niedorzeczną, aż w pewnej chwili, przedstawiając ogromny rozmiar czegoś tam – a Rimma nie słuchała – tak się zamachnęła, że rozbiła krykcie o ścianę i zamilkła na moment ze zdziwieniem, przyciskając słonawe palce do warg, do spieczonych od chaotycznej gadaniny ust. W tej właśnie chwili Rimma wcisnęła jej welniany sweterek: w taksówce się zagrzejesz – trzasnęły drzwi i Rimma, narzekając i śmiejąc się, pobiegła do Fiedii pod ciepłą koldrę. „Siłą się jej pozbyłam”. Dzieci wierciły się we śnie. Jutro trzeba wcześniej wstać. „Dalałabyś jej przemocować” – mrucał Fiedia przez sen, przez ciepło, i był taki piękny w czerwonym świetle nocnej lampki. Przemocować? Nigdy w życiu! A poza tym – gdzie? W pokoju staruszka Aszkenazego? Staruszek wciąż kręcił się na swoim wysłużonym tapczanie, palił coś mocnego i cuchnącego, kaszlał, chodził nocą do kuchni pić wodę z kranu, ale w sumie nikomu nie wadziło. Kiedy zbierali się goście, pożyczal krzesła, przynosił słójk marynowanych grzybków, dzieciom odklejał zlepek landrynek z blaszanego pudełka; sadzali go przy stole, z brzegu, a on żartował, machał nogami, którymi nie dostawał podłogi, zaciągał się ukradkiem: „No cóż, młodzi, cierpliwości: niedługo umrę, całe mieszkanie będzie wasze”. „Niech pan żyje i sto lat, Dawidzie Daniłowiczu” – uspokajała Rimma, a jednak przyjemnie było pomarzyć o tej chwili, kiedy stanie się panią całego mieszkania, nie komunalnego, ale własnego, zrobi generalny remont, dziwaczną, pięciokątną kuchnię z góry na dół wyłoży kafelkami i wymieni kuchenkę. Fiedia obroni doktorat, dzieci pójdą do szkoły: angielski, muzyka, łyżwy... co by tu jeszcze zaplanować? Wiele już na zapas im zazdrościło. Oczywiście to nie kafelki i nie dorodne dzieci jaśniały w przestrzeniach przyszłości wielobarwnym blaskiem, mieniły się tęczą szalonego zachwytu (i Rimma szczerze życzyła staruszkowi długich lat życia: wszystko w swoim czasie); nie, coś większego, coś zupełnie innego, ważnego, niespokojnego i wielkiego dzwiczowało i migotało przed nią, jak gdyby czółno Rimmy, płynące ciemnym przesmykiem poprzez rozkwitające zarośla, miało właśnie wydostać się na zielony, szczęśliwy, szalejący ocean.

A na razie toczyło się nie całkiem realne życie; życie w oczekiwaniu, życie na walizkach, niedbałe, lekkie, z kupą rupiec w przedpokoju, z nocnymi gośćmi: z Pietią w niebieskim krawacie, z bezdzietnym małżeństwem Elą i Aloszą, może jeszcze z kimś; z nocnymi wizytami Pipki i jej dziwacznymi opowieściami. Jak bardzo przerażająca była Pipka z tymi szczerzałymi resztkami zębów! A przecież niejednemu się podobała i często pod koniec wesołego wieczoru któregoś z panów nie można się było doliczyć: Pipka wywoziła go, po angielsku, zawsze taksówką, do siebie, do Perłówki. Tam miała swoją przystań: za grosze wynajmowała drewnianą chałupkę z ogródkiem. Swego czasu Rimma bała się nawet o Fiedię, był lekkomyślny, a Pipka – stuknięta i zdolna do wszystkiego. Gdyby nie te zgnilki w jej żwawych ustach, trzeba by się dobrze zastanowić, czy wpuszczać ją do domu. Tym bardziej, że Fiedia mawiał czasem zagadkowo: „Gdyby Swietłanka nie otwierała gęby, można by z nią nawet pogadać”. A w dodatku ciągle się trzęsła, nie ubrana, albo ubrana nie tak jak należy: na bosych nogach – dziecinne, zeszytniałe trzewiczki w środku zimy, ręce czerwone, spierzchnięte.

Nie wiadomo, gdzie się podziła Pipka, tak jak nie wiadomo, skąd się w ogóle wzięła – zjawiała się i tyle. Jej opowieści były wariackie i zagmatwane: niby to chciała się dostać do szkoły teatralnej i nawet ją przyjęli, ale na bazarze poznała handlarzy kiszonym dzikim czosnkiem, którzy zakneblowali ją i wywieźli do Baku białą wołgą bez rejestracji. Tam ją ponoć spoiniewierali, wybili połowę zębów i porzucili gołą na brzegu morza w kałuży ropy; na drugi dzień znalazł ją jakoby dziki góral jadący przez Baku tranzytem, wywiózł do swej wysokogórskiej saki i przetrzymał tam całe lato, karmiąc przez szpary komórki melonem z noża, a jesienią wymienił z przyjeżdżnym etnografem na zegarek bez wskazówek. Z etnografem, który nazywał ją Swietka-Pipetka – stąd w ogóle wzięło się to przezwisko – wciąż jeszcze zupełnie gołą, schroniła się w wieży strażniczej z czasów Szamila, usłanej zgnilymi perskimi dywanami – etnograf studiował wzory przez lupę. Po nocach paskudziły na nich orły. „A kysz! A kysz, przekłete!” – wspominała Pipka wykrzykując i goniąc po pokoju ze wzburzeniem na twarzy, czym straszyla dzieci. Z nadejściem zimy etnograf poszedł wyżej w góry, a Swietłana wraz z pierwszym śniegiem zeszła do doliny, której mieszkańcy liczyli czas według kalendarza księżycowego i strzelali do nauczycielek z okien szkoły, a liczbę zabitych zaznaczali publicznie nacięciami na słupie pośrodku placu targowego. Nacięć było ponad osiemset. Kuratorium nie dawało sobie rady, a kilka szkół pedagogicznych pracowało wyłącznie dla doliny. Tam Swietłana nawiązała romans z kierownikiem sklepu. Ale wkrótce go rzuciła, bo nie był dla niej dostatecznie męski: zamiast spać, jak przystało na dżygita, na plecach, z szablą i w papasze, dziko rozkładając szerokie muskulane ramiona, kierownik związał się w kłębek, posapywał przez nos i jęczał we śnie przebierając nogami: tłumaczył, że śnią mu się wystrzały. Na wiosnę Pipka doszła do Moskwy, nocując po drodze w stogach siana i unikając bitych dróg, kilka razy pogryzły ją psy. Z jakiegoś przyczyny szła przez Ural. Zresztą, z geografii miała jeszcze więcej kłopotów, niż z życiem intymnym: myliła Ural z Kaukazem, a Baku lokowała nad Morzem Czarnym. Może w jej koszmarnych opowieściach było nawet ziarno prawdy, kto wie. Rimma przywykła i prawie nie słuchała; myślała o swoich sprawach i oddawała się swoim nieśpiesznym marzeniom. Przecież jej, Pipki, prawie nikt nie słuchał. Czy ona w ogóle była człowiekiem? Tylko czasem jakiś nowy gość przysłuchując się jej bełkotowi, tryskającym jak z fontanny opowieściom, wykrzykiwał z zachwytem i radością: „Niesamowite! Tysiąc i jedna noc!” I takiego zazwyczaj Pipka wywoziła do swojej na polu fantastycznej Perłówki, o ile ta w ogóle istniała: bo czy można uwierzyć, że Swietłana przyjęła się do gospodarzy okopywać georginie, a jadła z kurami rybną mączkę? Jak zawsze podczas smętnego przyjęcia, przy wtórce rozmów i brzęku widelców, na

Tatiana Tolstoj

Rimkę spadała nagle marzycielska senność, dziwne sny na jawie; nadciągały różowe i błękitne mgły, białe żagle, słychać było daleki i kuszący szum oceanów, podobny do jednostajnego szumu, który wydobywał się z ogromnej muszli zdobiącej serwantkę. Rimma lubiła zamykać oczy i przykładać muszlę do ucha, a wtedy z monstrualnej paszczy koloru łososiowego dobiegał zew dalekiej krainy, tak dalekiej, że nawet miejsca na globusie dla niej nie starczało, więc unosiła się płynnie i rozciągała na niebie ze wszystkimi swoimi jeziorami, papugami i przypływami. I Rimma także błędziła po niebie, pośród różowych, pierzastych obłoczków – wszystko, co los obiecał, się spełnił. Nie trzeba się ruszać, nie trzeba się śpieszyć, wszystko przyjdzie samo. Cicho płynąć przez ciemne ramiona rzek... nasłuchiwać coraz bliższego szumu oceanu... Rimma otwierała oczy i, uśmiechając się, patrzyła poprzez dym papierosów i marzenia na gości, na leniwego, zadowolonego Fiedię, na machającego nóżkami Dawida Daniłowicza, powoli zstępowała na ziemię. A zacznie się skromnie... zacznie się po trochu... Omdlałymi podczas lotu nogami odnajdywała grunt. Tak, najpierw jednak mieszkanie. W pokoju staruszka będzie sypialnia. Błękitne zasłony. Nie, białe. Białe, jedwabne, wspaniałe, marszczone. Łóżko też białe. Niedzielny poranek. Rimma w białym peniuarze, z rozpuszczonymi włosami (włosy trzeba zacząć zapuszczać, a peniuar już kupiła po kryjomu, nie wytrzymała...) przejdzie przez mieszkanie do kuchni... Pachnie kawa... Nowym znajomym będzie opowiadać: „A w tym pokoju, gdzie teraz jest sypialnia, wcześniej mieszkał staruszek... Taki sympatyczny... Zupełnie nie przeszkadzał. A po jego śmierci zajęliśmy... Szkoda: taki cudowny staruszek!” Rimma bujała się na krześle, uśmiechała do jeszcze żywego sąsiada: „Dużo pan pali, Dawidzie Daniłowiczu. Lepiej by pan na siebie uważał”. Staruszek tylko kaszlał i machał ręką: niby to nic. Już jedną nogą w grobie. Niech tam.

Jak przyjemnie było płynąć i saczyć się przez czas – a czas sący się przez ciebie i rozplywa; a szum morza wciąż kusi; trzeba jechać na południe i odetchnąć zapachem morza, postać na brzegu z rozłożonymi rękami słuchając wiatru; jak słodko topnieje życie – dzieci i kochający Fiedia, i marzenie o białej sypialni. Goście zazdroścą, tak, kochani, zazdroście, czeka mnie ogromne szczęście, jakie – nie powiem, nie wiem sama, ale coś szepce: czekaj, czekaj! Tam Pietia siedzi i zazdrości, i obgryza paznokcie. Nie ma ani żony, ani mieszkania, jest wąty, ambitny, chce zostać dziennikarzem, lubi jaskrawe krawaty, trzeba mu podarować nasz, pomarańczowy, nam nie jest potrzebny, nas czeka szczęście. Tam Ela z Aloszą też zazdroścą, nie mają dzieci, kupili sobie psa, co za nuda. A tam siedzi staruszek Aszkenazy, zazdrości mi młodego wieku, mojej białej sypialni, szumu mojego oceanu; żegnaj, staruszek, już niedługo odejdziesz, zamkniesz oczy pod miedziakami. A to Swietłana... ta nikomu nie zazdrości, ma wszystko, tyle że zmyślone, w jej oczach i strasznych ustach płonie ogień – przesadzić Fiedię dalej od niej – mówi bez sensu, dziesiątki królestw powstają i padają w jej głowie w ciągu jednego wieczoru. Przesadzić Fiedię. Fiedia! Siadź no tutaj. Jej się poplątało, a ty słuchasz z otwartą gębą?

Wesoło się żyło i lekko, podśmiewali się z Pietii, z jego miłości do krawatów, wróżyli mu wielką karierę dziennikarską, zawczasu upominali, żeby nie zadzierał nosa, kiedy wyjedzie za granicę; Pietia się peszył i marszczył mysią mordkę: co wy, ludzie, daj Boże studia skończyć. Niby fajny był Pietia, ale jakiś taki rozlazły. Do tego próbował zalecać się do Rimmy, chociaż nie wprost: kroił jej w kuchni cebulę i dawał do zrozumienia, że, prawdę mówiąc, plany na przyszłość to on ma ho, ho! Rimma się śmiała: jakie tam plany, ją to dopiero czeka przyszłość! Pozalecaj się lepiej do Eli, ona i tak rzuci Aloszę. Albo do Swietki-Pipetki. Pipetka wychodzi za mąż – mówił Pietia. Tak? Ciekawe za kogo?

Wkrótce się okazało, za kogo: za staruszką Aszkenazego. Staruszek, litując się nad nóżkami Pipki w dziecinnych bucikach, nad zmarzniętymi rączkami, martwiąc się o jej wydatki na nocne taksówki, i w ogóle poddając się łzawemu, starczemu altruizmowi umyślił – Rimmie za plecami! – ożenić się z palającą czarnym ogniem włóczęgą i zameldować ją, oczywiście, w obiecany Rimmie i Fiedii pokój. Wybuchła awantura z walidolem. „Wstyd! Wstyd!” – krzyczała Rimma załamanym głosem. „A czego tu się wstydzisz?” – odpowiadał staruszek z tapczanu, leżąc między sterczącymi sprężynami z odchyloną do tyłu głową, żeby zatrzymać krew z nosa. Rimma robiła staruszkowi zimne kompresy i całą noc przesiedziała przy jego łóżku. Kiedy staruszek zasnął, oddychając spokojnie i miarowo, obmierzyła okno w jego pokoju. Tak, biały materiał na szerokość będzie pasował. Tutaj błękitne tapety. Rano się pogodzili, Rimma wybaczyła staruszkowi, on płakał, ona podarowała mu koszulę Fiedii i dała gorących racuchów. Swietłana czegoś się domyśliła i długo nie zaglądała. Potem przepadł Pietia, pewnie Swietłana wywoziła go do Perłówki. Każdy, kto się tam znalazł, zniknął na długo i po powrocie jakiś czas był nieswój.

Pietia wrócił po pół roku, późnym wieczorem, z błędnym wzrokiem, w spodniach całych umazanych gliną. Rimma z trudem wyciągała z niego słowa. Tak, był tam. Pomagał Pipce w gospodarstwie. To bardzo trudne życie. Wszystko takie skomplikowane. Z Perłówki szedł na piechotę. Skąd ta glina? A, to... Wczoraj całą noc razem z Pipką krążyli po Perłówce z lampami naftowymi, szukali jakiegoś domu. Czerkies urodził tam szczeniaka. Tak, właśnie tak. Tak, wiem – Pietia bił się w pierś – wiem, że w Perłówce nie ma Czerkiesów. Ten jest ostatni. Swietłana mówiła, że wie na pewno. To świetny temat do gazety, do rubryki „Tylko fakty”. „A tobie co, też odbiło?” – spytała Rimma mrugając. „Nie, czemu. Sam widziałem szczeniaka”. – „A Czerkiesa?” – „Nie puścili nas do niego. W końcu była noc”. – „Prześpij się” – powiedziała Rimma. Położyli Pietię w przedpokoju, między rupieciami. Rimma męczyła się i przewracała z boku na bok całą noc, aż nad ranem przyszło jej do głowy, że Czerkies to imię psa. Przy śniadaniu nie zdecydowała się jednak pomnażać bredni pytaniami, a Pietia był ponury i szybko sobie poszedł.

Potem Swietłana umyśliła przeprowadzkę z Perłówki w jakieś inne miejsce – próby rozszyfrowania geografii miały się z celem – oczywiście taksówką i, nie wiedząc czemu, konieczność potrzebna była pomoc Fiedii. Nie bez wahania Rimma ustąpiła. Była dziesiąta rano, więc czy cokolwiek mogło... A on wrócił o trzeciej w nocy, bardzo nieswój. „Gdzie byłeś?” – Rimma w nocnej koszuli czekała w przedpokoju. „No wiesz, dużo by gadać... Musieliśmy jechać do Sierpuchowa, ona ma tam bliźniaki w sierocińcu”. – „Jakie bliźniaki?” – krzyknęła Rimma. „Całkiem malutkie, gdzieś z roczek. Syjamskie. Zrosnięte głowami. Karina i Angela”. – „Jakimi głowami?! Czy ty się dobrze czujesz? Sto lat do nas przychodzi, czyś ty widział, żeby kiedyś rodziła?!” Nie, oczywiście, nie widział, żeby rodziła, czy coś w tym rodzaju, ale przecież byli w Sierpuchowie, zawozili paczkę: mrożony morszczuk. Tak, morszczuk dla bliźniąt.

Ogień i kurz



TATIANA TOLSTOJ

Fotografia A. Lebediew

On sam płacił w kasie za ryby. Rimma zaniosła się płaczem i trzasnęła drzwiami, Fiedia został sam w przedpokoju – żeby tak wślizgnąć się do pokoju i przysięgać, że on sam niczego nie rozumie, ale że Karina i Angela – to pamięta na pewno.

Po tym wydarzeniu Pipka znowu na długo zniknęła i epizod poszedł w niepamięć. Ale w Rimmie po raz pierwszy coś pękło – obejrzała się i zobaczyła, że czas ciągle płynie, a przyszłość wciąż nie nadchodzi, a Fiedia już nie taki przystojny, a dzieci nauczyły się na ulicy brzydkich wyrazów, a staruszek Aszkenazy kaszle, ale żyje, a zmarszczki podpełzły już do oczu i ust, a rupiecie w przedpokoju wciąż leżą i leżą. I szum oceanu przycichł, i na południe jakoś nie pojechali, cały czas odkładali to na przyszłość, która nie chce nastąpić.

Nadeszły ponure dni. Rimmie opadały ręce – wciąż starała się zrozumieć, w którym momencie zmyliła drogę prowadzącą ku dalekiemu, śpiewającemu szczęściu i często siedziała zamyślona, a dzieci rosły, a Fiedia siedział przed telewizorem i nie chciał pisać doktoratu, a za oknem albo waliła straszna śnieżycy, albo przebijało przez letnie obłoki jałowe, miejskie słońce. Znajomi się postarzel, nie chciało im się przychodzić, Pietia całkiem gdzieś zniknął, jaskrawe krawaty wyszły z mody. Ela z Aloszą kupili nowego, kapryśnego psa, którego wieczorami nie mieli z kim zostawić. W pracy u Rimmy pojawiły się dwie nowe urzędniczki – Duża Lusja i Mała Lusja, ale one nie wiedziały o jej planach na szczęście i nie zazdrościły jej, za to zazdrościły Kirze od planistek, która miała dużo drogich clutchów, wymieniała czapki na książki, książki na mięso, mięso na lekarstwa albo na bilety do najmodniejszych teatrów i ze zniecierpliwieniem mówiła do kogoś przez telefon: „Przecież wiesz doskonale, jak ja uwielbiam ozory w galarecie”.

I któregoś wieczoru, kiedy Fiedia siedział przed telewizorem, a Rimma siedziała z głową opartą o stół i słuchała kaszlu starca za ścianą, wpadła Pipka, jak ogień i płomień, z różowymi policzkami, odmłodziła, jak się to zdarza obłąkanym, i roześmiała się gorejącymi ustami, pełnymi połyskujących, białych zębów. „Trzydzieści sześć!” – krzyknęła od progu i stuknęła pięścią w futrynę. „Co: trzydzieści sześć?” – Rimma podniosła głowę znad stołu. „Trzydzieści sześć zębów!” – powiedziała Pipka. I zaczęła opowiadać, jak to najęła się jako junga na statek, który płynął do Japonii, a że załoga była już w komplecie, musiała spać w kotle z mięsem i ryżem, że kapitan oddawał jej honory, a pomocnik kapitana – odbierał, że po drodze zakochał się w niej bogaty Japończyk i chciał wziąć ślub na telegraf, natychmiast, ale nie znaleźli gdzieś tam odpowiednich hieroglifów i cały plan runął, a potem, gdy w jednym z portów szorowali kotły po mięsie i ryżu, porwała ją piracka dżonka i sprzedała bogatemu plantatorowi, no i rok pracowała na plantacji malajskich konopi, skąd wykupił ją bogaty Anglik za radziecki rubel jubileuszowy, który, jak wiadomo, jest wysoko ceniony przez malajskich numizmatyków; Anglik wywiózł ją do mglistego Albionu, najpierw zgubił w gęstej mgłę, ale potem odnalazł i z radości zafundował jej najdroższy i najmodniejszy komplet trzydziestu sześciu zębów, na co mogą sobie pozwolić wyłącznie grube ryby. Na drogę dał jej wędzonego kuczka i właśnie teraz ona, Pipka, jedzie w końcu do Perłówki po swoje rzeczy. „Otwórz głębie” – powiedziała Rimma z nienawiścią. I w rozdziawionych ochoczo ustach Świętiany naliczyła, walcząc z zawrotem głowy, całych trzydzieści sześć – jak się tam pomieściły, nie wiadomo, ale były to na pewno zęby. „Mogę teraz przegryźć stalowy pręt, chcecie – przegryzę karnisz” – zaczynało się sensacyjnie i Fiedia popatrzył z dużym zainteresowaniem, ale Rimma zamachała rękami: dość, dość, późno już, chce nam się spać, i wciskała jej pieniądze na taksówkę, i popychała do drzwi, i wsunęła jej tomik Simenon'a: proszę bardzo, na noc sobie poczytasz, tylko idź już! I Pipka poszła, na darmo czepiając się ścian, i nikt jej więcej nie widział. „Fiedia, pojedziemy na południe?” – spytała Rimma. „Jasne!” – z zapamiętaniem, jak wiele razy w ciągu tych lat, odpowiedział Fiedia. I dobrze. Znaczący, że jednak pojedziemy. Na południe! I Rimma wsłuchiwała się w głos, który jeszcze ledwie-ledwie coś szeptał, o przyszłości, o szczęściu, o długim, głębokim śnie w białej sypialni, ale słowa trudno już było rozróżnić. „Ej, popatrz no, Pietia!” – powiedział Fiedia ze zdziwieniem. Na ekranie telewizora, pod palmami, malutki i nachmurzony, z mikrofonem w ręce stał Pietia i przeklinał jakieś tam plantacje kakao, a mijający go Murzyni oglądali się na niego, i jego ogromny krawat mienił się afrykańską zorzą, ale szczęścia na jego twarzy też jakoś nie było widać.

Teraz Rimma wiedziała, że wszystkich ich oszukano, ale kto i kiedy to zrobił, nie mogła sobie przypomnieć. Przebiegała w pamięci dzień za dniem, szukała błędu, ale nie znajdowała. Wszystko jakoś pokryło się kurzem. Dziwne, że czasem chciało jej się pomówić o tym z Pipką, ale ta więcej się nie pojawiała.

Znów było lato, przyszedł upał i poprzez gęsty kurz znów dał się słyszeć szept głosu z przyszłości. Dzieci Rimmy dorosły, jeden syn się ożenił, a drugi poszedł do wojska, mieszkanie było puste i źle się spało po nocach: starzec za ścianą kaszlał bez przerwy. Rimmie nie chciało się już urządzać sypialni w pokoju staruszka, nie miała też białego peniuaru: zżarły

go mole z kłopotów w przedpokoju, nie patrząc nawet, co jedzą. W pracy Rimma pożaliła się Dużej Lusi i Małej Lusi, że mole żrą już nawet niemieckie rzeczy i Mała słuchała ze zdziwieniem, przyciskając dłonie do policzków, a Duża złościła się i posępniała. „Dziewczyny, jakbyście chciały jechać na ciuchy – powiedziała doświadczona Kira, odrywając się od telefonicznych machinacji – to mogę was zawieźć. Znam taką jedną. Jej córka wróciła z Syrii. Zapłacić można później. Fajne mają rzeczy. Wiera Jesafowna w sobotę za siedemset rubli nakupiła. Oni tam, w Syrii, żyli całkiem nieźle. Pływali w basenie, jeszcze raz chcą pojechać”. – „No to chodźmy” – powiedziała Duża Lusja. „Och, mam tyle długów” – szeptała Mała.

„Szybko, szybko, dziewczyny, bierzemy taksówkę” – ponaglała Kira. „Obrócimy w przerwę obiadową”. Jak dziewczynki, które uciekły z lekcji, wcisnęły się do samochodu, owiewając się nawzajem zapachami perfum i zapalanych papierosów i popędziły po rozpалonych, letnich zaułkach zasypanych słonecznym, lipowym śmieciem, plamami ciepłego cienia; wiał południowy wiatr i niósł poprzez podmuchy spalin wspaniałość i blask dalekiego południa: błękitną głębię nieba, lustrzany blask ogromnych mórz, dzikie szczęście, nieokiełznaną swobodę, szaleństwo spełniających się nadziei – jakich? Bóg jeden wie! I w mieszkaniu, do którego weszły zamierzając w przecuciu szczęśliwej, handlowej przygody, też było czuć ciepły wiatr, który kołysał i unosił biały tiul w oknach i drzwiach otwartych szeroko na przestronny balkon – wszystko tam było przestronne, wielkie, otwarte. Rimma spojrzała z zazdrością na to mieszkanie. Potężna baba, właścicielka towaru, szybko rozwarła drzwi zakłętą pokój. Skarby były upchane do pudeł po telewizorach, walały się zmięte na dwuosobowym łóżku i odbijały w lustrze ogromnej szafy. „Kopcie” – zarządziła stojąca na progu Kira. Kobiety z drżeniem zanurzyły ręce w pudła z jedwabnymi, aksamitnymi, półprzeźroczystymi, wyszywany złotymi nićmi cudami; wywlekały rzeczy szarpiąc i płacząc się we wstążkach i falbanach; ręce wyławiały jedno, a oczy obmaczywały już coś innego, wabiącego karkadą czy falbanką, w Rimmie leciutko drżał jakiś nerw, uszy płonęły i zaschło w gardle. Wszystko działo się jak we śnie. I, jak przystało na okrutny scenariusz snu, wkrótce pojawiło się i zaczęło narastać jakieś zaburzenie harmonii, tajemny defekt, grozący wybuchem katastrofy. Ciuchy – i coż to znowu takiego? – były nie takie, nie takie, jak wydawało się na początku, oko dojrzało już pstrokaciznę tych żurawinowych kiecek z gazy dobrych najwyżej dla baletu, pretensjonalność liliowych, indykowatych żabotów i niemodne fasony grubych, aksamitnych żakietów; to odpady; zaprosili nas na resztki z cudzego stołu; to już zostało przekopane, stratowane; czyjeś chciwe ręce znieważały już zakłute pudła, wyrwały i uniosły z sobą to, co najpiękniejsze, prawdziwe, od czego biło serce i drżał ten szczególny nerw. Rimma rzucała się na inne kartony, buszowała po rozgrzebanym dwuosobowym łóżku, ale tam też, tam też... A to, co rozpaczliwie wyławiała ze stert i przykładała do siebie, trwożnie wpatrując się w lustro, było komicznie małe, za krótkie albo idiotyczne. Życie się skończyło i głos przyszłości śpiewa już komu innemu. Baba, właścicielka towarów, siedziała jak Budda i patrzyła z pogardliwą przenikliwością. „A to?” – Rimma dotykała tego, co wisiało na wieszakach wzdłuż ścian i powiewało na ciepłym wietrze. „Sprzedane. To też sprzedane”. – „A na mnie... Znajdzie się coś?..” – „Pokaż jej” – powiedziała do baby podpierająca ścianę Kira. Baba pomyślała i wyciągnęła zza pleców coś popielatego, i Rimma, rozbiegając się w pośpiechu i zdradzając koleżankom wszystkie sekrety swojej taniej bielizny, wślizgnęła się we właściwe otwory; dopasowując i obciążając, zapatrzyła się w swoje bezlitośnie wyraźne odbicie. Ciepły wiatr hulał po słonecznym pokoju obojętny wobec dokonywanych transakcji. Rimma nie całkiem wiedziała, co na siebie włożyła, ze smutkiem patrzyła na swe białe pokryte czarnymi włosami nogi, które wyglądały jak odmoczone, albo jakby przeleżały całą zimę w ciemnych skrzyniach, na bojaźliwie wyciągnięty sztyt z gęsią skórą, na przybliżone włosy, na brzuch, na zmarszczki, na ciemne podkółki pod oczami. Sukienkę czuć było obcymi ludźmi. Była już mierzona. „Bardzo dobrze. Bierz. Jest twoja” – napierała Kira, cicha sojuszniczka baby. Baba patrzyła w milczeniu i z odrazą. „Ile?” – „Dwieście”. Rimmę zatkalo. Chciała zerwać zatrute ubranie. „Rimmerko! Przecież to jest bardzo modne!” – powiedziała zażenowana Mała Lusja. Żeby dopełnić upokorzenia, wiatr otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju, w którym ukazał się rajski widok: młoda, opalona na orzechowo, bosko wyrzeźbiona córka baby, ta, która przyjechała z Syrii, która wytrysnęła z białych basenów z przeźroczystą, błękitną wodą – mignął biały strój, niebieskie oczy, baba wstała i przymknęła drzwi. To widok nie dla zwykłych śmiertelników.

Południowy wiatr zasypywał starą bramę śmieciem kwitnących lip i nagrzewał zniszczone ściany. Mała Lusja schodziła po schodach bokiem, obejmując górę kupionych ubrań, prawie płacząc – znowu strasznie się zadłużyła. Duża Lusja ponuro milczała. Rimma także szła z zaciśniętymi zębami: letni dzień szerniał, los podrażnił i wyśmiał. Wiedziała już, że kupiona w ostatniej chwili, w rozpaczliwym porywie bluzka, to szmata, zeszlenczone liście, czarcie złoto, które nazajutrz przemieni się w zgniłki, resztki wysane i wypłute przez niebieskooką syryjską hurysę.

Jechała w przycichłej, posmutniałej taksówce, mówiąc do siebie: ja mam za to Fiedię i dzieci. Ale pociecha była fałszywa i słaba, wszystko przecież skończone, życie pokazało swe puste oblicze – zmierzwił włosy i zapadnięte oczy. A upragnione południe, dokąd rwała się przez tyle lat, wydawało jej się teraz żółte i zakurzone, ze sterczącymi kępami klujących, suchych roślin, z mętnymi, stęchłymi falami, kołyszącymi płwociny i papierki. A w domu – stara, zmurzała komunalka i nieśmiertelny staruszek Aszkenazy, i znajomy do bólu Fiedia, i cały grząski potok przyszłych, jeszcze nie przeżytych, ale z góry wiadomych lat, przez które trzeba brnąć i brnąć jak przez pył, który zasypał drogę po kolana, po piersi, po szyję. I śpiew syren, obłudnie szepczących ogłupialemu żeglarzowi słodkie słowa o tym, co nieiszczalne, zamilkł na zawsze.

Nie, jednak coś się jeszcze wydarzyło: Kirze uschła ręka, Pietia przyjeżdżał w gości i snuł opowieści o cenach ropy, Ela z Aloszą pochowali psa i kupili nowego, staruszek Aszkenazy umył w końcu okna z pomocą firmy „Zorza”, ale Pipka już się nie pojawiła. Jedni wiedzieli na pewno, że wyszła za męża za ślepego bazarza i wyjechała do Australii błyskać tam nowymi, białymi zębami nad rafami koralowymi, wśród eukaliptusów i dziobaków, inni za to zaklinali się i zapewniali, że Pipka miała wypadek i spłonęła w taksówce na Szosie Jarosławskiej w deszczową, śliską noc, i że płomień było widać z daleka, że słup ognia sięgał nieba. Mówili jeszcze, że ugasić ognia się nie udało, a kiedy wszystko się spaliło, na miejscu katastrofy niczego nie znaleziono. Tylko węgielki.

Tłumaczyła Katarzyna Chmiel

[T. Tolstaja, „Na złotom krylce sidieli...”, Moskwa 1987]

TATIANA TOLSTOJ, ur. 1951. Prozaik. Debiutowała w 1983 r. opowiadaniem *Na złotom krylce sidieli...*. Współpracuje z czasopismami literackimi w Rosji i USA, gdzie wykłada literaturę rosyjską. Mieszka w Rosji i w Stanach Zjednoczonych.

Ludmiła Pietruszewska

Młodość

Z cyklu *Dzikie bajki o zwierzętach*

ROLA

Gdzież to wszystko przepada, gdzie się podziewa, gdzie znika cały ten bajeczny urok młodości z jej oślawioną świeżością i łagodnymi, jeszcze nie ustalonymi rysami, ukrytymi pod jedną skórą, która do czasu opina i pokrywa wszystko. A przecież dopiero co była miękkość i gładkość, i nagle znika, tak jak w swoim czasie znika wszystko, w tym również samo życie, i pojawia się wyrazistość i ostrość, wszystko się odsłania, i tak to już postępuje aż do ujawnienia najdrobniejszych cząstek, aż do rozpadu, do kompletnego oddzielenia się wszystkiego od wszystkiego.

Aż czasem wydaje się, że tylko młodość jest życiem, najprawdziwszym życiem, to znaczy – jest tym właśnie nieświadomym siebie stanem rozkwitu, rozwoju i niepohamowanego wzrostu, a cała reszta, to całe mądrzenie się i oglądanie za siebie, i zgoda na wszystko, co było i co będzie – to już całkiem coś innego.

W takim właśnie stanie pełnej wyrozumiałości i pogodnej aprobaty wszystkich swoich niegdyśszych przygód znajdowała się, na przykład, niejaka Nina, kobieta już dojrzała, ciągle tak samo pulchna jak za młodu, ale teraz zamiast długich, olśniewających włosów miała fryzurę skromną i krótką – co nie przyciągało już niczyjej szczególnej uwagi.

A przecież były czasy, oj były, gdy Nina przykuwała uwagę wszystkich swoim niskim, ochryplym głosem, tak niezwykle dla młodej osóbk, jaką wtedy była, i zasługiwała na uwagę, na to oglądanie się za nią, przede wszystkim z powodu swoich olśniewających, niesfornych i grubych włosów, z powodu ruchów rozleniwionego zwierzątka, tego całego wylegiwania się na trawie w czasie wypadów za miasto, przeciągania się, poruszania jak we śnie, przy całkowitym braku poczucia miejsca, czasu i okoliczności, co się zdarzało dosyć często i wyglądało zupełnie naturalnie. Kiedy, na przykład, wybrała się z kolegami z pracy za miasto, by porządkować ogródki działkowe, robota ledwie się zaczęła, a ona już leżała na młodej trawce i rozkoszowała się słońcem i powietrzem, całą sobą ucieleśniając bujną, rozkwitającą młodość, która tylko czeka, by wybuchnąć, a na razie jak gdyby czał się w ukryciu.

I przychodził czas, kiedy wszyscy zostawiali swoje grabie i mioty, i zbierali się pod krzakami, żeby zjeść i wypić, i wtedy to właśnie miały miejsce te wybuchy, gdy Nina zaczynała śpiewać swoim niesamowitym, ochryplym głosem jakieś knajackie pieśni i wszyscy pokładali się ze śmiechu, i jeden przez drugiego trącał się z nią kieliszkiem, a potem to już Nina leżała z głową na czyichś kolanach; jednakże cała ta impreza tak czy owak dobiegała końca i po tym wybuchu, po tych służbowych bachanaliach dzień kończył się dla Niny w miejskim autobusie, gdzie siedziała z pustą siatką po kanapkach.

Tak oto Nina bez ograniczeń korzystała z darów swej młodości i trwonila je nie myśląc o tym, co będzie jutro. Zaczęła nawet trochę przesadzać w demonstrowaniu tych swoich wdzięków i specjalnie głośno opowiadała o swych wyczynach, a włosy tapirowała już całkiem na grzywę lwa, i tak powoli zaczęło uwidaczniać się rozdrażnienie, zawzięte wyczekiwanie na nie wiedzieć jakie hołdy, a nawet jawne pretensje pod adresem otaczającego świata, jak gdyby ten świat coś zawinił i nie był życzliwy, gdy w rzeczy samej świat się nie zmienił i był taki sam jak zawsze, i chętnie by odpowiedział na takie jak przedtem wybuchy nieokielznanej, szalonej wesołości Niny, ale to Nina się zmieniła i widać było, że odstawia teraz swoje dawne numery nie bez gorzkości i zawziętości. Miewała też często ochotę coś rozbić i zniszczyć, miewała ochotę popisać się wywołując karczemną awanturę i istne piekło przy stole, kiedy tak po prostu mogła ściągnąć cały obrus albo rzucić się na nieznanego człowieka i dać mu w twarz.

Dziwne jednak, że i ten czas zamętu minął, choć można było przypuszczać, że w miarę nowych strat i niepowodzeń będzie się raczej wzmacniał. Ale nie, tak się nie stało. Najwyraźniej wynikało to z tego, że sama Nina zmieniła się zewnętrznie i dlatego też zmieniły się otaczające ją zewnętrzne uwarunkowania, i już by nie mogła chodzić po ulicy tak jak przedtem, i już by nie mogła, zważywszy na swoją zupełnie odmienioną powierzchowność, tak mówić i tak śpiewać jak kiedyś, i jej niegdyśsze wysoki mogłyby teraz nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. I tak właśnie teraz żyła, nie zwracając na siebie uwagi; stosownie do tego nowego stanu obcięła sobie włosy i powoli przekształcała się w najwykleszą kobietę ze swoją dolą samotnicy, i nawet jej ochryply głos mógłby świadczyć o stałych poglądach i wyrobionej sile charakteru – i już nic w niej nie przypominało tamtej młodej dziewczyny, tak że niejeden, pamiętając dawne czasy, nie mógł odzalać i kręcił głową, nie podejrzewając, jaka Nina jest teraz prosta i uporządkowana i jaki to czas dla niej nastał.

Tłumaczyła Halina Waszkielewicz

[L. Pietruszewska, *Sobranije soczinienij*. Tom 1, Moskwa 1996]

Pewnego razu płoć Kława zapagnęła wystąpić w filmie i zadzwoniła do znajomego małża Adriana.

A ile z tym roboty, powiedział Adrian i dał jej rolę w filmie grozy „Produkcja przemysłowa kilek w pomidorach” (thriller).

Rola była epizodyczna, ale z wyjazdem nad Bałtyk, i wszystkie przyjaciółki widziały potem Kławę w kinie, był tam kadr, w którym Kława wsiada (w roli kilki bez głowy) do puszki, puszka łagodnie rusza z miejsca, nabiera szybkości – i nagle wybuch, wszystko leci w powietrze, krew się leje.

Kława strasznie się potem śmiała ze swoich przyjaciółek i wyjaśniała: „A to był zwykły sos pomidorowy”.

PEDICURE

Pewnego razu gąsienica Nikoławna postanowiła zmienić pleć i poszła do szpitala.

Tam ją zabandażowali, a potem wypisali jako motyla Kuźmę. Motyl wylecieć wyleciał, ale ciągle skubał rosnące z dnia na dzień wąsiki i z rozzerwieniem wspominał dawne przyziemne życie, całymi dniami bujając w obłokach.

Przyszło teraz podróżować bez chwili odpoczynku, wlokąc ze sobą bagaż; lotniska, paszporty, walizki, dalej brzytwa, fajka, kalesony, trzy pary kapci i obowiązkowy makijaż – gentleman musi jakoś wyglądać!

I co poniektórzy zwrócili na Kuźmę uwagę, taki na przykład wróbel Husejn, który zaproponował mu prawdziwą męską przyjaźń.

Ale coś było nie w porządku: Husejn jakby za szeroko rozdziawiał dziób na przyjaciela, i bojaźliwy motyl przestał w końcu odbierać telefony; i w ogóle, mimo wąsów i spodni, Kuźma jednak mówił o sobie Nikoławna i w chwilach samotności robił sam sobie pedicure.



Табочка Кузьма
и оца Носун

EMIGRACI

Pchła Łukeria i jej mąż pchła Stiopa nie marnowali czasu, rozmnażali się i koniec końców postanowili wyemigrować.

Ich pies Hulasz prowadził się różnie, na wszystkich nowych Stiepanyczów reagował burzliwie, co chwila dochodziło do rozlewu krwi – krótko mówiąc drapał się jak nawiedzony.

Łukeria przemierzając się stępą na Hulaszu śledziła ze swojej dżungli sytuację na arenie międzynarodowej i w odpowiednim momencie wykonała z mężem pchłą Stiopą

skok w parze z potrójnym toe-loopem, bez wiz: sport nie zna granic.

Emigracja okazała się strzałem w dziesiątkę.

Wszystko się ułożyło – nowe miejsca, nowe dzieci, mąż pchła Stiopa pobudował się, założyli spółdzielnię i ogródek działkowy, dzieci podorastały, założyły potem dzielnicę Nowe Hulasze i tak dalej, póki w końcu leopold Eduard, dręczony niepojętymi uczuciami, nie zaczął drapać się jak wariat.

Potem kondor, felczer Akop, przepisał mu kąpiele w specjalnym szamponie: kondor ma bystre oko i wiele w życiu widział.

Pchła Łukeria i jej mąż pchła Stiopa nigdy dotąd nie używali szamponu, nie wiedzieli, co to takiego, i w rezultacie od stóp do głów w pianie zmuszeni byli repatriować się, najpierw dokądkolwiek, na kupę gliny, a potem wybrali odpowiedni moment i wrócili na stare śmieci, do psa Hulasza, który nawet nie zauważył ich emigracji ani powrotu, a tylko tradycyjnie robił łapę jak wściekły, i pchły uśmiechnęły się: niczego sobie wita nas ojczyzna!

Początkowo pamiętający ich sprzed emigracji ziomkowie wypytывали, jak było, potem jednak wszyscy przywykli i już nie słuchali, jak Stiopa chwali czystość i porządek na Eduardzie, zawsze jednak dodając coś o bezduszości – wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.



Влоха Лукерья и
Влоха Дагд Стена

I WIERZ TU MĘŻCZYZNOM

Pewnego razu płoć Kława musiała dać w ryja kleszczowi Jurze, który kompletnie rozłożył jej urodziny: urznął się w sztok, wciął w Kławę i przy wszystkich wyznał jej miłość, między innymi w przytomności żony, kleszcza Oksany.

Niestety, Oksana nie stanęła na wysokości zadania: przyjęła policzek w milczeniu, złapała męża za kark, związała go nogawkami spodni, zarzuciła na plecy i powlokła do domu – nie pierwszyna.

Płoć Kława przyszła potem przeproszać za afront, przyniosła kleszczowi Oksanie stoiczek kawioru własnej produkcji itd.

Trzeba jednak powiedzieć, że kleszcz Jura na trzeźwo, jak to mówią, rznął głupa, siedział nadęty przed telewizorem i oglądał mecz (nasi contra zespół Downa), Oksana wstawiła wodę na herbatę, o miłości nikt się nawet nie zająknął.

Rozczarowana płoć Kława stała już w drzwiach, tu jednak wciąpiły się w nią dzieci, zaciągnęły do siebie pobać się „w szpital”, wyjątkowo bezczelne bachory, jedno

przez drugie robiły jej zastrzyki, hahaha, płóc ledwie się wyrwała, niczego sobie zabawa.

I Klawa po raz kolejny dała sobie słowo: nigdy więcej nie wierzyć mężczyznom.



клевый Тейт
Оскар

DAK

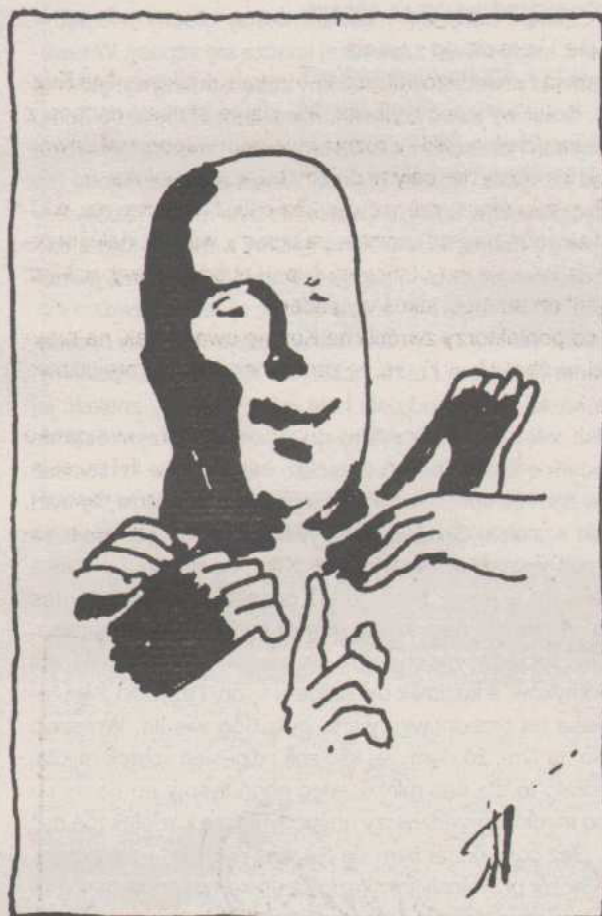
Mama leoparda Eduarda, Gala, nijak nie mogła dodzwonić się do syna i w końcu poszła (170 km/h) na pocztę i wysłała list w punktach:

1) cześć 2) jak leci, nie mogę się do ciebie dodzwonić 3) co to znaczy „jak zwykle”, wyjaśnij 4) dla mamy to nic nowego 5) mówię przecież, mógłbyś wymyślić coś nowego 6) mówię przecież, nigdy nie masz kiedy 7) no proszę, proszę 8) a dokąd to 9) nie lataj, mówię ci, nie lataj, w polu niebezpiecznie 10) tak, właśnie tobie 11) całe życie mówiłam, zapamiętaj sobie raz na zawsze, gapo 12) to się stało, że wróblowi Husejnowi prawie cały ogon wyrwali, czytałam w gazecie 13) co znaczy nie ogon 14) a



Паявка Сосо и
Вородей Тусейн

co 15) nigdy mi o niczym nie mówisz 16) nie kłam matce, i tak się wszystkiego dowiem 17) Eduard, coś przerywa, zadzwoń jeszcze raz 18) halo 19) wszyscy się ze mnie śmieją, że o niczym nie wiem 20) wystawiam się na pośmiewisko 21) z gazet nic nie wynika 22) więc co z tym Husejnem, chciałabym jednak wiedzieć 23) postaw się na miejscu swojej matki, to zrozumiesz 24) owszem, interesuje mnie to jako matkę i jako dzikie zwierzę 25) a to dlaczego 26) i co z tego, że się dowiem 27) obiecuję, że nikomu nie powiem 28) a co ty masz przeciwko kukulce Kalerii 29) tylko ona jedna mnie odwiedza 30) nikomu już nie jestem potrzebna, stara (tu w liście rozplynęło się słowo „matka”) 31) starucha i (tu rozplynęło się w tekście słowo „tyle”) 32) starucha, ledwie już chodzę, 100 km/h 33) wszystko jasne 34) a to, że Husejn jest dla ciebie ważniejszy od rodzonej matki 35) od kiedy to tak się przyjażnisz z tym wróblem 36) Edek, jesteś zwykły dak (rozplynęły się litery „laj”) 37) o, leci Husejn, zaraz sam mi opowie 38) nie mam czasu, cześć 39) zadzwoń 40) Husejn, świetnie wyglądasz! (to nie do ciebie, pa) – TWO-JA MAMA.



Паяк Афанасий

POKAZ MODY

Pewnego razu pajak Afanasij wypił ciut za dużo z dżdżownicą Teofanem i po przyjacielsku zatroszczył się o niego: taki tu przeciąg, mówi, sprawię ci coś ciepłego.

I zaraz splótł mu kubraczek, wyszło całkiem nieźle, dorobił pończochy z kapturem i starannie zapiął cały ten interes na zamek błyskawiczny, a sam z miną mistrza odsunął się w kąt i siedzi, czeka na pokaz mody.

Dżdżownica Teofan przyszedł do siebie, rozgląda się za pepsi, nie wie, co się dzieje, zamek zapięty, klops.

I rzucił się przed siebie, jak kot w worku, na oślep.

Pajak Afanasij śmiał się do łez, ale bezgłośnie, zwijął się, odwracał, przytupywał przygryzając wargi, żeby broń Boże nie urazić przyjaciela.

Trzeba przyznać, że zawsze w podobnych sytuacjach powstrzymywał śmiech, szczególnie, kiedy szło o pokaz mody: panowie, żarty na bok.

Ale dżdżownica Teofan nie zastanawiał się długo, powyginał zamek błyskawiczny, potarł kaptur i odmówił współpracy – krótko mówiąc, nawiał.

Co za chuligaństwo, myślał pajak Afanasij, a przecież kostium leżał idealnie, numer szósty, rozmiar iks.

Ale jak tylko osiągniesz ideał, zaraz obowiązkowo ktoś go musi spieprzyć.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[L. Pietruszewska, *Sobranije soczinienij*. Tom 5, Moskwa 1996]

Ilustracje Autorki

Lidia Czukowska

Ogrodzona w krąg muzyką,
Nagrodzona pachnącym jaśminem,
Żyję w oczekiwaniu,
Kiedy czas, wyznaczony mi, minie.
Nazbyt długogrająca
Jest, odnoszę wrażenie, ta płyta
I za często się zacinająca,
Nadto pionna, zbyt płytka, półużyta.

sierpień 1978

Nie do Boga, do zmarłych się modłę.
Proszę, by mnie w mych smutkach pocieszali.
Bóg mnie nie zna, gdzieś unosi się godnie.
Bóg mnie nie zna, to wyście mnie znali.

1977

Na koniec, nie kryjąc zmieszania,
Przed śmiesznością nie mogąc skryć się,
Nie muza, nie flet się wyłania,
Lecz moje przeżyte życie.

Bez reszty je rozdrapali
I kartka po kartce spalili.
A może w karty przegrali?
Jeszcze chemią w końcu dobili?

1977-1990

Tłumaczył Tadeusz Lubelski



Reprodukcja L. Czukowskaja, *Stichotworienija*, Moskwa 1992.

LIDIA CZUKOWSKA (1907-1996). Prozaik, poetka, publicystka, historyk literatury, dysydent. Debiutowała w l. 20. Jej najsłynniejszym dziełem prozatorskim jest powieść *Sofia Pietrowna* (1939-1940; wyd. pol. – 1990). Autorka obszernych wspomnień *Zapiski ob Annie Achmatowej* (3 tomy). Zbiorek poezji: *Stichotworienija* (1992).

Ludmiła Pietruszewska *Nowi Robinsonowie*

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Marfutka jeszcze w zeszłym roku była niczego sobie, a teraz już się kończy, lada dzień wyciągnie kopyta. Poszliśmy z matką i posadziliśmy Marfutkę tak z pół wiadra ziemniaków, a Marfutka przyglądała się temu z progu swojego domku wyraźnie zaniepokojona, że zagarniamy jej ogród, ale przypelznąć do nas nie miała odwagi, mama sama poszła do niej i dała jej pół wiadra ziemniaków. Marfutka zrozumiała to chyba w ten sposób, że kupujemy jej ogród za pół wiadra ziemniaków, mocno się wystraszyła i ziemniaków nie wzięła. Wieczorem poszliśmy z mamą i z tatą do Anisji po kozie mleko i Marfutka tam siedziała, a Anisja powiedziała, że widziała nas w Marfutkowym ogrodzie. Mama wyjaśniła, że chcieliśmy Marfutkę pomóc, na co Anisja oświadczyła, że Marfutka zbiera się na tamten świat i nie ma jej co pomagać, sama znajdzie drogę. Trzeba tu zaznaczyć, że Anisji płaciliśmy nie pieniędzmi, a konserwami i zupami w proszku. Nie mogło to trwać bez końca: koza codziennie dawała nowe mleko, a my żywiłiśmy się wyłącznie konserwami. Należało ustalić mniej cenny ekwiwalent i mama zaraz po rozmowie z Anisją powiedziała, że konserwy się kończą, sami nie mamy co jeść, tak że nie będziemy już kupować mleka. Anisja w lot pojęła, o co chodzi, i odrzekła, że jutro zajdzie do nas z garnuszkiem mleka i pogadamy, i, jeśli mamy na przykład ziemniaki, to może się dogadamy. Najwyraźniej była zła o to, że tracimy ziemniaki na Marfutkę, zamiast kupować mleko, nie wiedziała, ile ziemniaków poszło na ogród Marfutki, w dodatku na przednówku, i jej wyobrażenia pracowała na pełnych obrotach. Pewnie rozważała warianty rychłej śmierci Marfutki, liczyła na to, że przejmie jej zbiory i zawczasu żłiła się na nas, właścicieli posadzonych ziemniaków. Wszystko staje się skomplikowane, kiedy oznacza być albo nie być w takich czasach, jak nasze, być albo nie być starego, słabego człowieka, zależnego od poczyniń silnej, młodej rodziny (matka i ojciec mieli wówczas po czterdzieści dwa lata, ja – osiemnaście).

Wieczorem najpierw przyszła do nas Tania w eleganckim płaszczu i żółtych kaloszach, z nową torbą na zakupy w ręce. Przyniosła nam przyduszonego przez świnię prosiaka, zawiętego w czystą szmatkę. Interesowało ją, czy jesteśmy zameldowani w Morze. Powiedziała, że wiele domów ma właścicieli, którzy pewnie przyjadą, jeśli się do nich napisze, że domy i dobytek nie są wcale porzucone, i że każdy gwóźdź trzeba kupić i dopiero potem wbijać. Na koniec przypomniała, że przesunęliśmy płot, i że Marfutka póki co jeszcze żyje. Prosiaka sprzedała nam za pieniądze, za papierowe ruble, i tego wieczora tata ćwiartował i solił martwego prosiaka, który w szmatce wyglądał zupełnie jak dziecko. Oczka z rzęsami i te de.

Później, po jej wyjściu, przyszła Anisja z bańką koziego mleka, i przy herbacie szybko dogadaliśmy się co do nowej ceny mleka, trzy dni mleka za puszkę konserw. Anisja z nieważnością zapytała o Tanię, po co przychodziła, i pochwaliła nasz pomysł, żeby pomóc Marfutce, chociaż o Marfutce powiedziała ze śmiechem, że od niej czuć.

Kozie mleko i przyduszony prosiak powinny były uchronić nas przed szkorbutem, poza tym u Anisji pojawiła się kózka, i postanowiliśmy kupić ją za dziesięć konserw, ale później, kiedy trochę podrośnie, jako że Anisja lepiej wiedziała, jak odchowować kozę. Z Anisją dogadaliśmy się chyba jednak nie do końca, i oszalała z zawiści starucha tryumfalnie przyniosła nam zarżniętą kózkę w czystej szmatce. Dwie puszkę konserw rybnych były odpowiedzią na jej barbarzyństwo, a mama rozplakała się. Ugotowaliśmy świeże mięso na próbę, ale jakoś nie dało się go jeść, i tata znów wszystko zasolił.

Kózkę mimo wszystko kupiliśmy – przemaszerowaliśmy z mamą dziesięć kilometrów w tę i dziesięć z powrotem, za Tarutino, do następnej wsi, ale szliśmy jak na wycieczkę, jak turyści, jakby wszystko było po staremu. Szliśmy z plecakami, śpiewaliśmy, we wsi przy studni zapytałyśmy, gdzie można się napić koziego mleka. Kupiliśmy za podplomyk garnuszek mleka i podziwialiśmy młode kózki. Zaczęłam specjalnie głośno szeptać mamie, że koniecznie chciałabym taką kózkę. Gospodyni z miejsca ożywiła się, węsząc biznes, ale mama odpowiedziała mi na ucho, że o kóźce nie ma mowy; wówczas gospodyni zrobiła do mnie słodkie oczy i powiedziała, że kocha kózki jak rodzone dzieci, i że chętnie dałaby mi obie na wychowanie. Ale ja powiedziałam: „Nieee, ja chcę jedną taką kózkę”. Szybko dobiłyśmy targu – baba najwyraźniej nie wiedziała, ile teraz warte są pieniądze, wzięła mało i nawet dała nam na drogę grudkę soli kamiennej. Widać była przekonana, że ubiła świetny interes, i rzeczywiście – wymęczona długą drogą kózka wkrótce zaczęła nam marnieć. Sytuację uratowała nieoceniona Anisja: wzięła kózkę do siebie, wyma-

zawszy ją naprzód błotem ze swojego podwórka, i koza przyjęła kózkę jak swoją, nie zabiła. Anisja pękała z dumy.

Mieliśmy więc już wszystko, co niezbędne, ale wtedy mój niezmordowany kulawy ojciec zaczął dzień w dzień chodzić do lasu. Zabierał siekierę, gwoździe, piłę i taczkę, wychodził o świcie i wracał ciemną nocą. Ja i mama pracowaliśmy w ogrodzie, zbieraliśmy po wsi – za przykładem ojca – ramy okienne, drzwi i szyby, a potem jeszcze gotowaliśmy, sprzątały, nosiły wodę do prania i coś tam szyły. Ze starych, skołtunionych kożuchów znajdowanych po domach szyliśmy coś w rodzaju walonek na zimę, szyliśmy rękawice, zrobiliśmy futrzane narzuty na łóżka. Kiedy ojciec zobaczył, a właściwie wymacał pod sobą w nocy taką narzutę, natychmiast zrolował wszystkie trzy sztuki i rano wywiózł na taczce. Wyglądało na to, że mości jeszcze jedno leże, tyle że w lesie, i potem okazało się, że dobrze wiedział, co robi. Chociaż potem okazało się również, że żadne wysiłki i zapobiegliwość nie ustrzegą przed losem, który dosięgał wszystkich; uratować mógł nas tylko łut szczęścia.

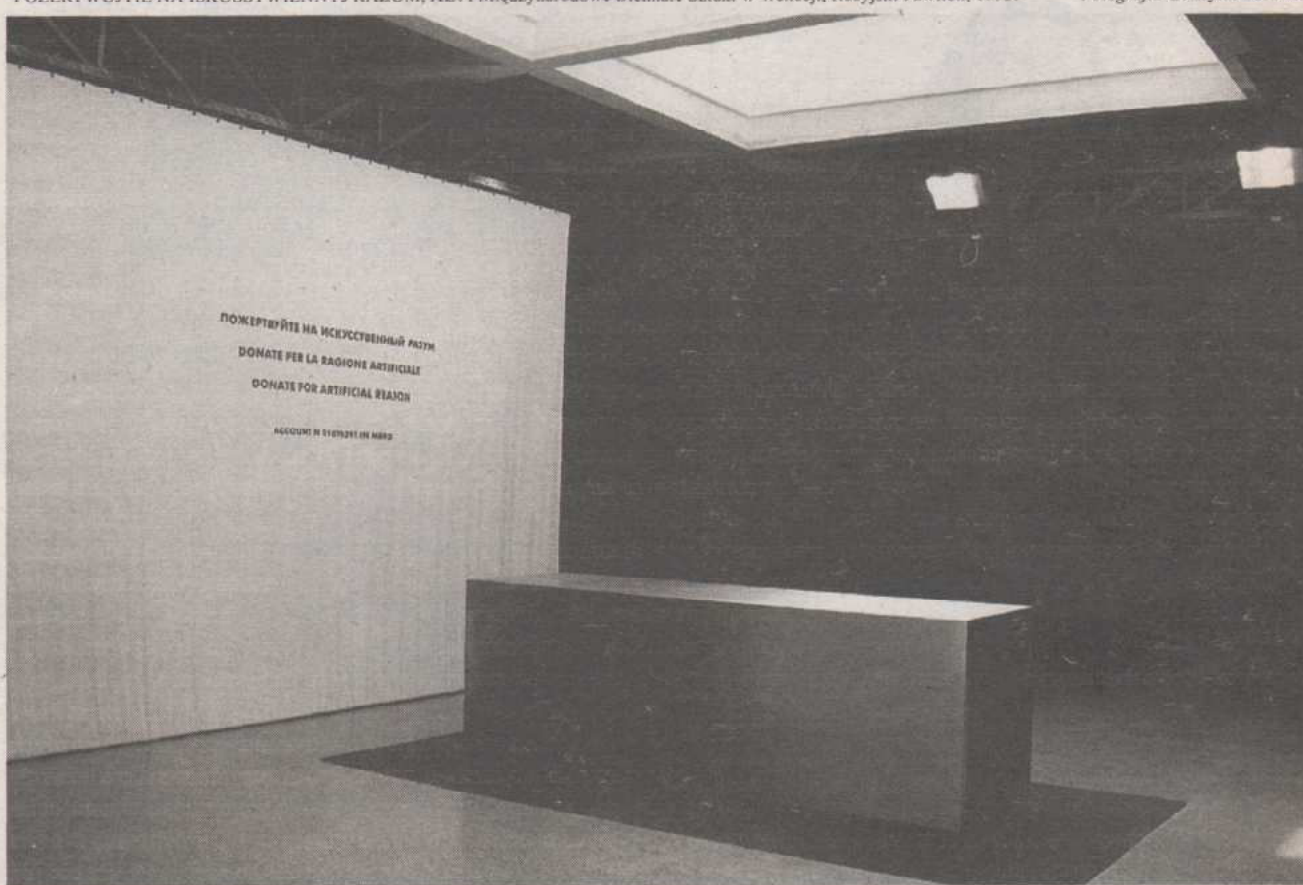
Tymczasem nadszedł najstraszniejszy głodny miesiąc – czerwiec, kiedy na wsi zazwyczaj kończą się zapasy. Wsuwaliliśmy sałatki z mleczka, gotowaliśmy zupę z pokrzywy, głównie jednak rwałiliśmy trawę i całymi dniami znosiliśmy ją do domu w plecakach i torbach. Kosić nie umieliśmy; zresztą trawa była jeszcze za niska. Koniec końców Anisja dała nam kosę (za dziesięć plecaków trawy, co wcale nie było mało), i kosiłiśmy na zmianę z mamą. Powtarzam, żyliśmy z dala od ludzi i bardzo tęskniłam za swoimi przyjaciółkami i znajomymi, jednak nie dochodziły już do nas żadne wieści; ojciec wprawdzie słuchał radia, ale rzadko – oszczędzał baterie. W radio opowiadali same kłamstwa i okropności, ale my uparcie kosiłiśmy; nasza kózka Rajka podrosła i był już czas, żeby znaleźć jej kozołkę, więc znów poszliśmy do tej wsi, w której mieszkała gospodyni z kozołkiem. A przecież wtedy sama koniecznie chciała nam go sprzedać, a my nie miałyśmy pojęcia, ile wart jest taki kozołek! Gospodyni przywitała nas wrogo: wiedzieli już o nas wszystko, nie wiedzieli tylko, co z kózką – Rajka chowała się u Anisji. Dlatego też gospodyni przywitała nas wrogo: sprzedawała nam kózkę, kózka padła – nasza sprawa. Kozołkę sprzedać nie chciała – nie mieliśmy już ani mąki, ani podplomyków, a kozołek był całkiem spory i trzy kilo świeżego mięsa na przednówku warte było Bóg wie ile. Wreszcie stanęło na tym, że damy jej kilo soli i dziesięć kostek mydła. Oznaczało to dla nas mleko, więc pognaliśmy do domu po sól i po mydło, uprzedziliśmy gospodynię, że kozołek ma być żywy. „Też coś, akurat bym się dla was paprała” – parsknęła. Pod wieczór przyniosłiśmy kozołkę do domu i znów popłynęły znojne letnie dni: sianokosy, pielienie ogrodu, okopywanie ziemniaków, i wszystko w jednym tempie z Anisją... Według umowy braliśmy od niej połowę kozich bobków i jako tako nawoziliśmy ziemię, ale rosło mało i marnie. Babka Anisja, zwolniona z sianokosów, przywiązywała kozę i całe kozie przedzkołe w zasięgu naszego wzroku i biegała zbierać jagody i grzyby, a potem przychodziła sprawdzić, jak pracujemy. Koper

posialiśmy zbyt głęboko i trzeba było wysiać go jeszcze raz, a był już potrzebny do kiszenia ogórków. Ziemniaki całe poszły w lodygi. Czytaliśmy z mamą książkę *Poradnik ogrodnika i sadownika*, a ojciec skończył wreszcie prace w lesie i poszliśmy obejrzeć jego nowy dom. Okazało się, że to jakaś opuszczona chatka, ojciec trochę ją chyba przebudował, a w każdym razie ogacił, wstawił okna, szyby i drzwi, pokrył dach papą. W chacie było pusto. Przez kolejne noce zwoziliśmy tam stoły, ławy, kufry, cebrzyki, garnki i resztki zapasów, i chowaliśmy to wszystko, a ojciec kopał piwnicę i prawie że podziemną ziemiankę z piecem – kolejny, trzeci już dom. W ogrodzie ojca już kwitło.

Przez lato zmieniliśmy się z mamą w proste chłopki ze zgrubiałymi palcami i grubymi, twardymi paznokciami, w które wżarła się ziemia i, co najdziwniejsze, u nasady paznokci pojawiły się jakby wałki, zgrubienia czy narośle. Zauważyłam, że Anisja też ma takie ręce, i próżnująca Marfutka, i nawet Tania, największa paniusia i pracownica służby zdrowia – też. Nawiasem mówiąc, stały gości Tani, pastuszka Wierka, powiesiła się w lesie, nie było już co paść, stado zjedzono. Anisja bardzo pomstowała na Tanię i zdradziła nam w tajemnicy, że Tania poła Wierkę nie herbatą, a jakimś lekarstwem, bez którego Wierka nie mogła żyć i przez to się powiesiła – nie miała już czym płacić. Wierka zostawiła małą córeczkę, w dodatku bez ojca. Anisja, która utrzymywała kontakty z Tarutinem, opowiadała, że dziewczynka mieszka u babci; potem z dalszego ciągu jej ponurej relacji wynikało, że babcia taka sama dobra jak nasza Marfutka, tylko jeszcze pije, i w końcu mama przywoziła do domu w starym wózekcu ledwie żywe trzyletnie dziecko. Mama zawsze musiała coś takiego wymyślić, ojciec był zły, dziewczynka moczyła się w łóżku, milczała jak zaklęta, obliżywała smarki, nie rozumiała, co się do niej mówi, i godzinami płakała po nocach. Przez te nocne wrzaski wkrótce odechciało nam się żyć i ojciec wyprowadził się do lasu. Nie było innego wyjścia, jak oddać dziewczynkę z powrotem jej pomieszanej babci, ale wtedy babcia, Faina, sama przyszła do nas i zataczając się zażądała pieniędzy za dziewczynkę i za wózek. Mama bez słowa przyprowadziła jej Lenę – czystą, ostrzyżoną i wprawdzie bosą, ale w sukience. Lena niespodziewanie rzuciła się mamie do nóg, bez krzyku, jak dorosła, skuliła się i objęła mamine boscie stopy. Babcia wybuchnęła płaczem i poszła sobie bez Leny i bez wózka; widać poszła umierać. Idąc zataczała się i ocierała łzy kulakiem, a zataczała się nie od wina, a z zupełnego wycieńczenia, jak się później domyśliłam. Gospodarkę dawną już nie prowadziła, bo przecież Wierka ostatnimi czasy nic nie zarabiała. Zresztą my sami jedliśmy głównie gotowaną trawę w różnych postaciach, z zupą grzybową na czele. Kózki na wszelki wypadek wyprowadziliśmy do ojca, a ścieżka do lasu zupełnie zarosła, tym bardziej, że ojciec jeździł taczka za każdym razem inną drogą, żeby nie kusić losu. Lena została z nami; karmiliśmy ją mlekiem, jagodami i zupą grzybową. Z rosnącym niepokojem myśleliśmy o zimie. Ziarna ani mąki na chleb nie było, okoliczne pola leżały odłogiem, dawno już skończyła się przecież

POŻERTWUJĄCE NA ISKUSSTWIENNYJ RAZUM, XLVI Międzynarodowe Biennale Sztuki w Wenecji, Rosyjski Pawilon, 1995.

Fotografia Grażyna Borowik



benzyna i części zamienne, a konie wybito jeszcze wcześniej, tak że nie było czym orać. Ojciec poszedł i nabierał na zarośniętych chwastami polach jakichś przypadkiem ocalałych kłosów, ale przed nim też już tam chodzili, i to nie raz, zebrał niewiele, woreczek ziarna. Zamierzał zasiać w lesie oziminę na polanie nieopodal chaty; wypytywał Anisję, i Anisja obiecała, że powie mu, kiedy i jak trzeba siać i orać. Łopata nie nadawała się jej zdaniem do tej roboty, a sochy nie było. Ojciec poprosił, żeby narysowała sochę, i zaczął, zupełnie jak Robinson, kleić jakieś ustrojstwo. Anisja sama nie pamiętała dokładnie, co do czego, chociaż w dawnych czasach nieraz chodziła za krową z sochą, ale w ojcu odezwała się inżynierska żyłka i zasiadł do majstrowania. Podobało mu się to nowe życie i nie tęsknił za miastem, w którym zostawił wielu wrogów, między innymi swoich rodziców, moich dziadków, których widywałam tylko w głębokim dzieciństwie, a dalej wszystko tonęło w awanturach z powodu mojej mamy i mieszkania dziadków – diabli by je wzięli – z wysokimi sufitami, toaletą i kuchnią. Nie dane nam było w nim mieszkać, a teraz dziadek z babcią gryźli już pewnie ziemię. Opuszczaliśmy miasto w największej tajemnicy, chociaż ojciec długo przygotowywał się do tego wyjazdu, tak że worki i skrzynie ledwie zmieściły się na ciężarówce. Wszystko to były rzeczy tanie i w swoim czasie ogólnodostępne, które ojciec, człowiek przewidujący, zbierał przez kilka lat, kiedy były rzeczywiście tanie i ogólnodostępne. Ojciec, były sportowiec, alpinista, geolog z uszkodzonym biodrem, dawno już żył pragnieniem, żeby odejść, i oto okoliczności zbiegły się z jego narastającą obsesją ucieczki, i uciekliśmy, kiedy niebo było jeszcze bezchmurne. „A nad Hiszpanią bezchmurne niebo” – żartował ojciec każdego pogodnego poranka.

Lato było przepiękne, wszystko rosło, dojrzewało, nasza Lena zaczynała mówić, biegła za nami po Tesie, nie zbierała grzybów, a tylko biegła za mamą jak przywiązana, jakby na tym polegało całe jej życie. Na próżno uczyłam ją szukać grzybów i jagód, dziecko po takich przejściach nie mogło czuć się bezpiecznie z dala od dorosłych, ratowała swoją skórę chodząc krok w krok za mamą, biegła za nią na swoich krótkich nóżkach, z rozdętym brzuszkiem. Mówiła na mamę „niana”, nie wiem, skąd wzięła to słowo, myśmy jej nie nauczyli. Na mnie też mówiła „niana” – niegłupia była z niej mała.

Którejś nocy usłyszeliśmy pod drzwiami pisk, jakby kocia, i znaleźliśmy niemowlę zawinięte w stary, brudny wacik. Ojciec, który przywykł już do Leny i nawet przychodził za dnia pomagać nam w gospodarstwie, teraz aż jęknął. Mama trzymała się twardo i postanowiła zapytać Anisję, kto mógł to zrobić. Nocą, w asyście milczącej Leny, udaliśmy się z niemowlęciem do Anisji. Anisja nie spała; też słyszała płacz dziecka i mocno się wystraszyła. Powiedziała, że do Tarutina przyszli pierwsi uciekinierzy, i że niebawem przyjdą i do nas, to dopiero początek. Dziecko piszcząc przejmującą i bez chwili wytchnienia; brzuszek miało wzdęty i twardy. Tania, którą rano wezwaliśmy na oględziny, nie dotknęła go nawet i powiedziała, że długo nie pożyje. Niemowlę męczyło się, krzyczało, a my nie mieliśmy nawet smoczka, żeby je nakarmić, mama kapłała mu po kropelce wodę w zaschnięte usteczka, a ono się zachłystywało. Miało na oko tak ze cztery miesiące. Mama poleciała do Tarutina, wymieniła garstkę soli (sól była na wagę złota) na smoczek i przybiegła z powrotem cała dumna, i dziecko wypilo trochę wody z butelki. Mama zrobiła mu lewatywę, nawet z rumiankiem, a my wszyscy, nie wyłączając ojca, biegaliśmy, krzaliśmy się, grzaliśmy wodę i przygotowywaliśmy małemu termofofor. Wiedzieliśmy już, że trzeba porzucić dom, ogród i gospodarstwo, w które włożyliśmy tyle pracy, inaczej nas nakryją. Porzucenie ogrodu równało się śmierci głodowej. Ojciec zwołał radę rodzinną i oświadczył, że my przeniesiemy się do lasu, a on ze strzelbą i z Piękną zamieszkają w szopie przy ogrodzie.

W nocy wyruszyliśmy z pierwszą partią rzeczy. Chłopiec, którego nazwaliśmy Znajd, jechał na taczce na tobołkach. Ku naszemu zdziwieniu po lewatywie wypróżnił się, potem posłał rozwodnionego koziego mleka i teraz jechał zawinięty w owczą skórę, przytroczony do taczki. Lena szła trzymając się tobołków.

O świcie przybyliśmy do nowego domu; ojciec raz jeszcze obrócił do wsi, a potem jeszcze raz. Taszczył w zębach, jak kotka, coraz to nowe kocie – wszystko, co z takim mozołem udało mu się zgromadzić, i wkrótce worki i skrzynie wypełniły małą izdebkę po sufit. W dzień, kiedy zmęczeni usnęliśmy, wybrał się na zwiały. W nocy przywiózł taczkę młodych warzyw: drobne ziemniaki, marchewkę i buraki, rzepkę i małe cebulki; rozkładaliśmy to wszystko w piwnicy. Tejże nocy wyszedł raz jeszcze i wrócił prawie biegiem z pustą taczką. Przykuśtykał ponury i powiedział: koniec! Przyniósł jeszcze bańkę mleka dla chłopca. Okazało się, że nasz dom zajęła jakaś banda, a ogrodu pilnuje wartownik; zabrali Ani-

sji kożę i trzymają ją w naszej zagrodzie. Anisja w nocy czatowała na ojca na jego wojennej ścieżce z ostatnią bańką mleka z wieczornego udoju. Ojciec wprawdzie narzekał, ale w głębi serca był zadowolony: znowu udało mu się uciec, i to uciec z całą rodziną.

Teraz cała nadzieja była w ogródku ojca i w grzybach. Lena siedziała z chłopcem w chacie; do lasu jej nie braliśmy, zamykaliśmy, żeby nie przeszkadzała. Co dziwne, siedziała spokojnie, nie dobijała się do drzwi. Znajd żłopał wywar z ziemniaków, a my z mamą buszowaliśmy po lesie z koskami i plecakami. Nie soliliśmy już grzybów, a tylko suszyli – sól prawie się skończyła. Ojciec kopał studnię, strumień był dość daleko.

Piątego dnia po przeprowadzce przyszła do nas Anisja. Przyszła jak była, bez niczego, tylko z kotem na ramieniu. Oczy miała jakieś niewyraźne. Posiedziała na ganku, trzymając wystraszonego kota na podolku, a potem poderwała się i poszła do lasu. Kot zaszył się pod ganek. Po jakimś czasie Anisja wróciła z pełnym fartuchem grzybów; między nimi leżał muchomor. Usiadła na ganku i tak już została; do domu nie weszła. Wynieśliśmy jej trochę naszej wodnistej zupy w jej własnym garnuszku po mleku. Wieczorem ojciec zaprowadził ją do ziemianki, gdzie mieliśmy trzeci, zapasowy dom. Anisja wyleżała się i zaczęła dziarsko buszować po lasach. Grzyby jej odbierałam, żeby się nie otrula. Część suszyliśmy, a część trzeba było wyrzucać. Kiedyś, wróciwszy z lasu wcześniej niż zwykle, zastaliśmy całą naszą przybraną rodzinę na ganku. Anisja kołysała Znajda i w ogóle zachowywała się jak człowiek. Widać przyszła wreszcie do siebie i opowiadała Lenie: „Wszystko przeryli, wszystko zabrali... Do Marfutki nawet nie poleźli, a mi wszystko zabrali, kożę wprowadzili na sznurku...”

Anisja długo jeszcze pomagała nam w gospodarstwie, pasła kozy i siedziała ze Znajdem i Leną, aż do samych mrozów. A potem położyła się z dziećmi na piecu i złażyła tylko na podwórko. Śnieg zasypał wszystkie drogi do naszej kryjówki; mieliśmy grzyby, suszone i pasteryzowane jagody, ziemniaki z ogródka ojca, pełny stryżek siana, kompot z jabłek zebranych w zarosłych lasem zdziczałych sadach, a nawet beczulkę kiszonych ogórków i pomidorów. Na poletku, ukryta pod śniegiem, rosła ozimina. Były kozy. Był chłopiec i była dziewczynka dla przedłużenia rodzaju ludzkiego; był kot, który przynosił nam zwinnie leśne myszy, była suka Piękna, która nie chciała tych myszy żreć, ale z którą ojciec zamierzał wkrótce wypuścić się na zające. Bał się polować ze strzelbą; przestał nawet rąbać drwa w obawie, że tamci usłyszą i przyjdą. Rąbał drwa podczas zameci. Była babcia, skarbnica ludo-

Aleksiej Purin

W teatrze

Melpomena to trup, ale stypie nie braknie zadęcia:
jest i jesiotr w bufecie, i szampan, i góry kawioru.
Baletnica z Bizeta mignęła mulecią do zdjęcia...
Niepotrzebne są tutaj krzykliwe popisy aktorów.

Trzeba tylko dołożyć bluszcz stiuków, z balkonów sterczących,
trochę doaksamitnić, w tłoczących się łóżach, plusz obić...
Architekcie, to plagiat – bo tworząc wdzięk zniewalający
Szyfonierki swej, plastry pasieki musiałyś podrobić!

O, puszysty, wykwinny grobowcu egipski flakonu,
futerał od Diora, gdzie się zastawiono na zwinny,
krótkowzroczny narybek, gotowy wyskoczyć z balkonu
wprost na parter bezbronny – by wisiał już, siedząc, kto inny!

Tak nas wszystkich wszak korci: wyskoczyć stąd wreszcie... lub plunąć.
Lepiej spojrzeć na sufit, jak wabi golizną paradnie.
Lepiej słuchać, nie patrząc, do obicia się blisko przysunąć
I na włoski, na kurz mocno dmuchnąć – coś zawsze opadnie.

1986

Tłumaczył Tadeusz Lubelski

ALEKSIEJ PURIN, ur. 1955 w Leningradzie. Jest autorem czterech tomików wierszy i zbioru esejów *Wspominania o Jewtierpie* (1993).

wej mądrości i wiedzy. Otaczały nas skute mrozem lasy.

Pewnego dnia ojciec włączył radio i długo kręcił galką. Eter milczał. Może skończyły się baterie, a może rzeczywiście zostaliśmy na świecie sami. Ojcu błyszczały oczy – znowu udało mu się uciec!

Jeśli nie zostaliśmy sami, przyjdą do nas. To jedno wiemy na pewno. Ale, po pierwsze, ojciec ma strzelbę; mamy też narty i czujnego psa. A po drugie – nie przyjdą tak znów zaraz. Żyjemy i czekamy, a tam – dobrze o tym wiemy – oni też żyją i też czekają, aż wyhodujemy nowe zboże, i ziemniaki, i kózki – i wtedy przyjdą. I zabiorą wszystko, między innymi i mnie. Na razie karmi ich nasz ogród, ogród Anisji i gospodarstwo Tani. Tak sobie myślę, że Tani już dawno nie ma, a Marfutka – jest. Kiedy będziemy jak Marfutka, nie ruszą nas.

Ale do tego jeszcze daleko. Zresztą nie zasypiamy gruszek w popiele. Znaleźliśmy już z ojcem następne dobre miejsce w lesie.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[L. Pietruszewska, *Sobranie soczinienij*. Tom 2, Moskwa 1996]

Reprodukcja L. Pietruszewska, *Sobranie soczinienij*. Tom 1, Moskwa 1996.

LUDMIŁA PIETRUSZEWSKA, ur. 1938. Dramaturg i prozaik. Jej sztuki wystawiane były także w Polsce. W 1996 r. w Moskwie ukazał się 5-tomowy wybór dzieł Pietruszewskiej – *Sobranie soczinienij*.

Wiktor Pielewin *Generation „P”*

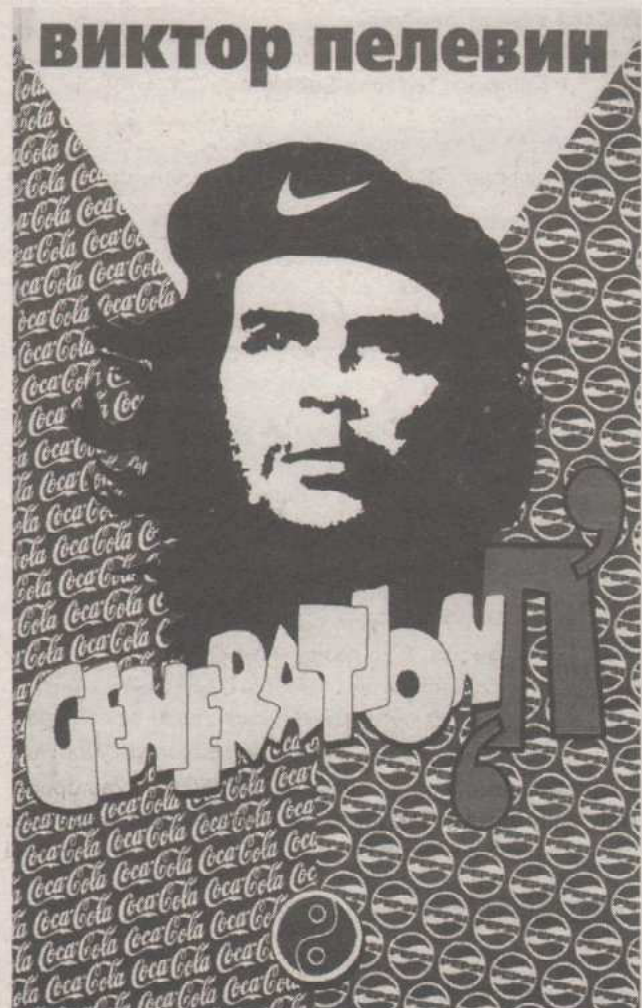
Rozdział I

Żyło kiedyś w Rosji beztroskie młode pokolenie, które uśmiechnęło się do lata, do morza i do słońca – i wybrało „Pepsi”.

Teraz już trudno stwierdzić, dlaczego tak się stało. Z pewnością chodziło nie tylko o wyśmienity smak napoju. I nie o kofeinę, która każe dzieciom żądać coraz to nowych dawek, od najmłodszych lat pewnie kierując je na kofeinowy szlak. I nawet nie o banalną łapówkę – chciałoby się wierzyć, że partyjny biurokrata, od którego zależało podpisanie kontraktu, po prostu polubił tę ciemną gazowaną ciecz wszystkimi porami swojej rozczarowanej do komunizmu duszy.

Najbardziej wiarygodną przyczyną wydaje się fakt, iż ideologowie ZSRR sądzili, że prawda jest tylko jedna. Dlatego też pokolenie „P” nie miało w rzeczywistości żadnego wyboru i radzieckie dzieci lat siedemdziesiątych wybrały „Pepsi” dokładnie tak, jak ich rodzice wybrali Breżniewa.

Jakkolwiek było, dzieci leżąc latem na plaży długo wpatrywały się w bezchmurny błękitny horyzont, piły ciepłą pepsicolę rozlewając do szklanych butelek w mieście Noworosyjsku, i marzyły o tym, że kiedyś daleki zakazany świat z tamtej strony wody wkroczy w ich życie.



Minęło dziesięć lat i świat ten zaczął wkraczać – najpierw ostrożnie i z uprzejmym uśmiechem, potem zaś coraz pewniej i śmieiej. Jedną z jego wizytówek okazał się klip reklamujący „Pepsi-colę” – klip, który zdaniem wielu badaczy stał się punktem zwrotnym w rozwoju całej światowej kultury. Porównywano w nim dwie małpy. Jedna z nich piła „zwykłą colę” i w rezultacie potrafiła wykonać pewne proste zadania logiczne posługując się klockami i pałeczkami. Druga piła pepsicolę. Wesóło szczerząc zęby odjeżdżała dżipem w stronę morza, w objęciach dziewczyn, które najwyraźniej miały w nosie równouprawnienie kobiet (w bliskich układach towarzyskich z małpami lepiej zwyczajnie nie myśleć o takich sprawach, jako że tak równouprawnienie, jak i jego brak, mogą okazać się jednakowo ciężkie dla duszy).

Jeśli zastanowić się głębiej, już wówczas można było zrozumieć, że chodzi nie o pepsicolę, a o związane z nią pieniądze. Do takiego wniosku prowadziło, po pierwsze, klasyczne freudowskie skojarzenie wywołane kolorem produktu, a po drugie logiczny wywód – konsumpcja pepsy-coli pozwala na kupno drogich samochodów. Nie zamierzamy jednak szczegółowo analizować klipu (choć, być może, właśnie tutaj znaleźlibyśmy odpowiedź na pytanie, dlaczego „dzieci XX Zjazdu” tak uparcie nazywają pokolenie „P” gównochlejami). Ważne jest dla nas tylko to, że ostatecznym symbolem pokolenia „P” stała się małpa w dżipie.

Niezbyt przyjemnie było dowiedzieć się, jak chłopcy z agencji reklamowych na Madison Avenue wyobrażają sobie swo-

ich odbiorców, tak zwaną *target group*. Równocześnie zaś ich głęboka znajomość życia zdumiewała. To właśnie ten klip pozwolił zrozumieć wielu cherlawym rosyjskim małpom, że najwyższa pora przesiadać się do dżipów i brać za ludzkie córki.

Głupio byłoby doszukiwać się w powyższym antyrosyjskiego spisku. Antyrosyjski spisek oczywiście istnieje – problem polega na tym, że biorą w nim udział wszyscy dorośli mieszkańcy Rosji. Tak że „Pepsi-cola” nic do tego nie ma. To, co się stało, było częścią światowego procesu, wielokrotnie opisanego w książkach (wystarczy przypomnieć *Oczekiwanie na małpę* Andrieja Bitowa czy *Plażę w Brazzaville* Williama Boyd’a). Proces ten nie ominął także Ameryki, chociaż tam wszystko odbyło się zupełnie inaczej – „Coca-cola” całkowicie i raz na zawsze wyparła „Pepsi-colę” z czerwonego pola, co dla zorientowanego człowieka równoważne jest zwycięstwu pod Waterloo. Wiązało się to z działalnością bardzo silnej w Stanach Zjednoczonych religijnej prawicy. Nie uznaje ona ewolucji; „Coca-cola” lepiej wpisuje się w jej obraz świata, jako że pijąca ją małpa nadal pozostaje małpą. Zresztą dość już o małpach – mieliśmy przecież szukać człowieka.

Wawilen Tatarski urodził się na wiele lat przed historycznym zwycięstwem czerwieni nad czerwienią. Dlatego też automatycznie trafił do pokolenia „P”, chociaż długo nie miał o tym bladego pojęcia. Gdyby w owych odległych latach powiedziano mu, że kiedy urośnie, zostanie copywriterem, butelka pepsy-coli ze zdziwienia wypadłaby mu pewnie z ręki wprost na gorące kamienie pionierskiej plaży. W owych odległych czasach dzieci miały marzyć o błyszczącym hełmie strażaka albo białym kitlu lekarza. Nawet niewinne słowo „designer” wydawało się podejrzanym neologizmem, ledwie tolerowanym w wielkim języku rosyjskim, a i to tylko do pierwszego poważnego zaostrzenia sytuacji międzynarodowej.

W owych czasach tak w języku, jak i w życiu wiele było rzeczy dziwnych i podejrzanych. Weźmy choćby samo imię „Wawilen”, którym uszczęśliwił Tatarskiego ojciec, godzący w swej duszy wiarę w komunizm z ideałami pokolenia XX Zjazdu. Imię było zbitką „Wasilij Aksionow” i „Włodzimierz Iljicz Lenin”. Ojcu Tatarskiego nie sprawiało widać trudności wyobrażenie sobie wiernego leninowca wdzięcznie chłonego ze stronicy Aksionowa, że marksizm początkowo opowiadał się za wolną miłością, albo zwariowanego na punkcie jazzu estety, któremu szczególnie przeciągała rula saksofonu uświadamia nagle, że komunizm zwycięży. Taki był jednak nie tylko ojciec Tatarskiego – takie było całe radzieckie pokolenie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, które podarowało światu piosenkę autorską i szczytowało wypuszczając w czarną przestrzeń kosmosu pierwszy sputnik – czteroogoniasty plemnik przyszłości, która nigdy nie nadeszła.

Tatarski bardzo wstydził się swojego imienia i kiedy tylko było to możliwe przedstawiał się jako Wowa. Potem nakłamał znajomym, że ojciec nazwał go tak, ponieważ fascynowała go mistyka Wschodu, i że miał na myśli starożytne miasto Babilon, którego tajnych nauk on, Wawilen, miał być spadkobiercą. A połączenie Aksionowa z Leninem ojciec wymyślił dlatego, że był wyznawcą manicheizmu i filozofii naturalnej, i uważał za swój obowiązek zrównoważyć jasność ciemnością. Mimo tak znakomitej egzegezy Tatarski w wieku lat osiemnastu ku swojej radości zgubił pierwszy dowód osobisty, a w drugim figurował już jako Włodzimierz.

Dalej jego życie potoczyło się zwyczajną koleją. Zdał na politechnikę – nie dlatego, rozumie się, żeby szczególnie lubił technikę (jego specjalnością były jakieś piece elektrotermiczne), a dlatego, że nie chciał iść do wojska. W wieku dwudziestu jeden lat przeżył jednak coś, co zaważyło na jego dalszym losie.

Latem, na wsi, przeczytał mały tomik Borysa Pasternaka. Wiersze, którymi wcześniej nigdy się nie interesował, wstrząsnęły nim do tego stopnia, że przez kilka tygodni nie mógł myśleć o niczym innym, a potem sam zaczął pisać. Na zawsze zapamiętał zardzewiały wrak autobusu wrosły pochyło w ziemię na skraju lasu opodal Moskwy. Przy tym wraku przyszedł mu do głowy pierwszy w życiu wers – „Sardynki obloków płyną na południe” (po latach uznał, że wers ten cuchnie rybą). Krótko mówiąc, przypadek był najzupełniej typowy i skończył się typowo – Tatarski zdał do Instytutu Literackiego. Co prawda nie udało mu się dostać na wydział poezji – musiał zadowolić się przekładami z języków narodów ZSRR. Tatarski wyobrażał sobie swoją przyszłość mniej więcej tak: w dzień – pusta sala Instytutu, brudnopis tłumaczenia z uzbeckiego albo kirgiskiego, który trzeba zrymować w umówionym terminie, a wieczorami – praca dla wieczności.

Potem niepostrzeżenie zaszło dość istotne dla jego przyszłości zdarzenie. Związek Radziecki, który zaczęło odnawiać i ulepszać mniej więcej wtedy, kiedy Tatarski postanowił zmienić profesję, ulepszył się do tego stopnia, że przestał istnieć (o ile państwo może osiągnąć nirwanę, to był to ten właśnie przypadek). Dlatego też o żadnych przekładach z języków narodów ZSRR mowy już być nie mogło. Cios był potężny, ale Tatarski zniósł go mężnie. Pozostawała praca dla wieczności – i to wystarczało.

Wówczas jednak stało się coś nieoczekiwanego. Z wiecznością, której Tatarski postanowił poświęcić swoje prace i dni, też zaczęło się coś dziać. Tego Tatarski kompletnie już nie mógł zrozumieć. Przecież wieczność – tak w każdym razie zawsze sądził – była czymś niezmiennym, niezniszczalnym, i w żadnym stopniu nie zależała od przemijających ziemskich układów. Jeżeli, na przykład, mały tomik Pasternaka, który zmienił jego życie, trafił już do owej wieczności, to nie było na świecie siły, która mogłaby go stamtąd usunąć.

Okazało się, że jest nieco inaczej. Okazało się, że wieczność istniała tylko dopóty, dopóki Tatarski szczerze w nią wierzył, i że nigdzie poza granicami owej wiary tak naprawdę jej nie było. Żeby szczerze wierzyć w wieczność trzeba było,



żeby tę wiarę podzieleni inni – jako że wiarę, której nikt nie podziela, nazywa się schizofrenią. A z innymi – w tym także z tymi, którzy uczyli Tatarskiego marzyć o wieczności – działo się coś dziwnego.

Nie żeby zmienili dawne poglądy, nic z tych rzeczy. Sama przestrzeń, ku której kierowały się owe dawne poglądy (poglądy zawsze skierowane są ku czemuś), zaczęła kurczyć się i znikać, aż w końcu została po niej tylko mikroskopijna plamka na przejrzystej tafli umysłu. Wokół zarysowały się zupełnie odmienne krajobrazy.

Tatarski próbował walczyć; udawał, że naprawdę nic takiego się nie dzieje. Początkowo nawet mu się udawało. Przebywając często z innymi ludźmi, którzy również udawali, że wszystko jest po staremu, można było na pewien czas w to uwierzyć. Koniec nastąpił nieoczekiwanie.

Pewnego dnia podczas spaceru Tatarski zatrzymał się przed zamkniętym (przerwa obiadowa) sklepem obuwniczym. Wewnątrz rozpyływała się w letnim upale sympatyczna gruba sprzedawczyni, którą Tatarski z miejsca ochrzcił na własny użytek Mania, a w witrynie pośród różnobarwnych tureckich podróbek stała para butów niezaprzecalnie rodzimej produkcji.

I wtedy Tatarski zrozumiał wszystko. Były to spiczaste buty na wysokich obcasach, uszyte z porządnej skóry. Żółto-rude, przestębnowane niebieską nicią i ozdobione wielkimi złotymi sprzączkami w kształcie harf, nie były tak po prostu wulgarnie i niegustowne. Były jawnym wcieleniem tego, co pewien wiecznie pijany wykładowca literatury radzieckiej z Instytutu Lite-



Rysunek Aleksander Floriński

rackiego nazywał „nasz Gestalt”, a co było tak żalosne, śmieszne i wzruszające (szczególnie sprzączki-harfy), że Tatarskiemu ły napłynęły do oczu. Na butach leżała gruba warstwa kurzu – epoka najwyraźniej ich nie potrzebowała.

Tatarski wiedział, że on również nie jest potrzebny epoce, zdążył już jednak przywyknąć do tej myśli i znajdował w niej nawet jakąś gorzką słodycz. Najlepiej wyrażały ją słowa Mariny Cwietajewej: *Rzuconych w magazynów ciemne kąty (gdzie nie sięga po nie żaden z was!) dla mych wierszy, jak dla win wybornych, nadejdzie jeszcze czas*. Jeśli nawet w tym poczuciu było coś poniżającego, to nie dla niego – raczej już dla świata. Kiedy jednak zamarł przed witryną, nagle zrozumiał, że kurzy się pod rosyjskim niebem nie jak naczynie z drogocennym winem, a właśnie jak te buty ze sprzączkami w kształcie harf. Oprócz tego zrozumiał jeszcze jedno: wieczność, w którą niegdyś wierzył, mogła istnieć tylko dzięki dotacjom państwowym – albo wbrew oficjalnemu zakazowi państwa, co na jedno wychodziło. Co więcej, mogła istnieć jedynie jako na wpół nieświadome wspomnienie jakiejś Mani z obuwniczego. A jej, tak jak i jemu zresztą, wrzucano tę wątpliwą wieczność do głowy w jednym worku z biologią i chemią nieorganiczną. Wieczność była przypadkiem – gdyby, powiedzmy, nie Stalin zabił Trockiego, a odwrotnie, zamieszkiwałyby ją zupełnie inne postacie. Ale nawet to nie miało większego znaczenia, ponieważ Tatarski doskonale rozumiał: w dowolnym układzie Mania ma na głowie inne problemy niż wieczność, i kiedy ostatecznie przestanie w nią wierzyć, żadnej wieczności nigdy już więcej nie będzie, bo niby gdzie miałaby wówczas być? Albo, jak zapisał w swoim notesie po powrocie do domu:

„Kiedy znika podmiot wieczności, wówczas znikają też wszystkie jej przedmioty – a jedynym podmiotem wieczności jest ten, kto przypomina sobie o niej chociażby czasami”.

Nie pisał więcej wierszy: wraz z upadkiem władzy radzieckiej stracili sens i wartość. Ostatnie wersy, które stworzył zaraz po owym wydarzeniu, podsunęła mu piosenka zespołu DDT („Czym jest jesień – jesień to są liście...”) i lektura późnego Dostojewskiego. Wiersz kończył się tak:

Czym jest wieczność – wieczność to jest bania,
Wieczność – to jest bania z pajakami.
Gdy zapomni Mania
Że istnieje bania
Co się stanie z Ojczyzną i z nami?

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

* tl. Joanna Salamon

[W. Pielewin, *Generation „P”*, Moskwa 1999]

Jurij Bujda Tunel

Pracujemy we trzech – ja, Drelich i Pilnik (sami wymyślili sobie takie imiona). Dwóch kopie, a jeden wynosi ziemię do szybu, skąd zabiera ją transporter. Każdego dnia spuszcza nam jedzenie, od czasu do czasu narzędzia na zmianę. Pewnego razu Pilnikowi przysłali prawie nowe spodnie, ale generalnie z ciuchami jest kruch. Nie skarżymy się zresztą – rozumiemy, że nie zasłużyliśmy.

Na początku pracowaliśmy bez entuzjazmu, ale po miesiącu wciągnęliśmy się i nawet zrezygnowaliśmy z weekendów: w naszym kalendarzu po piątku następował poniedziałek. Polubiliśmy tę pracę – kopać i nosić, kopać i nosić. W ciągu zmiany dochodzimy do dziesięciu metrów. Najszybciej pracuje Drelich, najostrożniej – ja. Pilnik najbardziej lubi nosić ziemię: jest romantykiem. Niekiedy umila nam czas wspomnieniami o tym, jak zaczynaliśmy, jak pod koniec drugiego kilometra zasypało nas ziemią... Lubię badać przedmioty, które znajdujemy po drodze: resztki starych fundamentów, zarzewiałe łuski pocisków, kości ludzi i prehistorycznych jaszczurów; czyjeś skamieniałe, zastygłe w namiętym pocałunku wargi wziąłem sobie na pamiątkę, ale nie powiedziałem o tym kolegom.

Kiedy siły nas opuszczają, siadamy wokół małego magnetofonu i słuchamy naszych nagranych na taśmie snów sprzed miesiąca czy kwartału. Bawi nas to: Boże, jacy my wtedy byliśmy. To nas mobilizuje.

Każdego dnia wydłużamy roboczą zmianę i coraz staranniej kontrolujemy jakość pracy. Ganimy Drelicha za pośpiech, mnie – za zbyt dużą ostrożność, Pilnika – za demobilizujący romantyzm, graniczący z sabotażem. Skróciliśmy czas przeznaczony na sen. Zdecydowaliśmy, że posiłki będziemy przyjmować nie częściej, niż raz dziennie. Co tydzień bijemy się nawzajem: pracujemy zbyt słabo.

Pod koniec drugiego roku drogi przyjęliśmy przez aklamację propozycję Drelicha: nie tracić czasu na wyrąbywanie nisz klozetowych i chodzić za potrzebą gdzie popadnie. Zaoszczędziliśmy na tym czas i siły.

Na początku czwartego roku Pilnik tak długo nie wracał spod kolejnego szybu, że musieliśmy ruszyć na poszukiwania. Okazało się, że ni stąd ni zowąd postanowił dać nogę. Zbiliśmy go łopatami z transportera i odnieśliśmy do tunelu. Teraz zaczęliśmy przywiązywać go do siebie długą linką. Krzyczał; chciał wiedzieć, dokąd kopimy. Biliśmy go. Pewnego razu wystraszył nas dziwnym wrzaskiem: „Światło! Widzę światło!”. Zorientowaliśmy się, że oślepił.

Kiedyś usłyszeliśmy, że ktoś kopie w naszym kierunku. Zaniepokoił się. Po krótkiej, ale owocnej dyskusji naradziliśmy na łopaty i poszliśmy ostro w dół i w lewo. Wkrótce przekonaliśmy się, że odgłosy kopania cichną. Bogu dzięki, nie ścigali nas. Pojawiły się problemy: co chwila trzeba było walczyć z napadającymi z ciemności zwierzętami. Możliwe, że były to smoki: tak dziwnie płakały umierając.

Pilnik zsunął się w rozpadlinę. Usiłowaliśmy go ratować, ale udało nam się wyciągnąć tylko magnetofon. Praca straciła tempo. Teraz ja kopalem, a Drelich skwapliwie zabrał się za wynoszenie ziemi do szybu. Wkrótce zginął – czy trzeba mówić, jak?

Teraz kopię sam. Ziemię rozsypuję cienką warstwą za sobą i starannie ją uklepuję. Przede mną jeszcze wiele pracy. Rozum mówi, że długość tunelu nie przekracza długości mego życia. Lecz serce wierzy: tunel jest nieskończony, jak śmierć.

Gość z Andory

...stworzenie to... zewnętrznie bardzo podobne jest do człowieka, umie powiedzieć kilka słów i robi różne zabawne sztuczki.

J. Swift, *Podróże Guliwera*

Umarł wcale nie dlatego, że źle się z nim obchodzono. Umarł sam: włożył szyję w pętlę sznura i wyskoczył z okna swojego pokoju. Nie powstrzymywaliśmy go – przyzwyczailiśmy się już do jego cudactw i nie próbowaliśmy protestować. Jednak pod koniec trzeciego dnia zaczął cieknąć: okazało się, że nie żyje. Zakopaliśmy go w ziemi i zrobiliśmy wszystko, co należy. Jeszcze przez kilka dni dzieci biegały na to miejsce, ale nie weszły.

Kiedy go do nas przyprowadzono, od razu zorientowaliśmy się, że to Gość z bezkresnej Andory. Zewnętrznie nie różnił się od nas. Dźwięki jego języka brzmiały dokładnie tak, jak nasze, i składał je dokładnie tak, jak my, ale nie od razu



Rysunek Aleksander Floriński

nauczyliśmy się go rozumieć. Przy czym słowa „rozumieć” używam tu w wąskim znaczeniu: rozumieć język.

Umieściliśmy go w pokoju na drugim piętrze, na które zawsze uparcie wchodził po schodach. Spał na łóżku, budząc tym szczere współczucie domowników. Załatwiając się zdejmował część ubrania. Płynne pokarmy jadł łyżką, stałe – widelcem, a wszystko to robił przy stole. Trudno, nie protestowaliśmy.

Codziennie wychodził z domu i snuł się po mieście, za każdym razem wstępując do ZOO, choć po pierwszej tam wizycie głośno krzyczał po nocach (pora jego snu), a w dzień nie tykał jedzenia.

Mieszkającego za domem łabędzia uparcie nazywał ptakiem, sugerując się takimi cechami zwierzęcia, jak pióra, skrzydła, dziób i zdolność latania. Szczupaka nazywał rybą, a kiedy przyprowadziliśmy mu rybę, schował się w piwnicy i, nie reagując na prośby i muzykę, nie wychodził stamtąd przez pięć dni.

Mysz nazywał myszą.

Rzeczy śmieszne wprawiały go w wesoły nastrój, smutne – martwiły: mieliśmy z nim niezłą zabawę.

Długo czas chodził krok w krok za naszą szóstą średnią córką. Pewnego razu zaprowadził ją na górę, do swojego pokoju, zdjął z niej ubranie, sam też się rozebrał i położył się na niej. Kiedy zapytaliśmy córkę, po co to wszystko robili, nie potrafiła nam wyjaśnić. Wówczas żona i pozostałe córki poprosiły Gościa, żeby zrobił z nimi to samo, ale odmówił i chyba stracił humor. Daję wam jednak słowo, że kobiety nie chciały go urazić.

Książki czytał. Miał zeszyt, w którym rysował. Przez pewien czas sądziliśmy nawet, że ma jakieś pojęcie o malarstwie, ale zwątpiliśmy: dlaczego wobec tego nie interesował go nasz garaż? Muzyki słuchał – tak, tak to właśnie ujmował: słuchać muzyki. Mówiąc „niebo” spoglądał w górę.

Pewnego razu powiedział, że za jakieś trzydzieści, czterdzieści lat na pewno umrze. Po człowieku, który wita znajomych słowami „dzień dobry” i siada na krześle pośladkami, można spodziewać się wszystkiego. Kiedy piłowaliśmy drwa albo lepiliśmy żyrafy, chwycił nas za ręce i błagał – dosłownie – żebyśmy „nie robili tego”.

Każdego ranka mył się, używając mydła, i szczotkował zęby, i doprowadził do tego, że dzieci nie wytrzymały i zaproponowały, żeby umyć go tak, jak to jest u nas przyjęte, porządnie. Zaczął płakać, a wieczorem wyskoczył z okna z szyją w pętlę sznura. Szkoda, że umarł od tego. Ale poczekamy do wiosny: może jeszcze rozkwitnie.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[„Oktabr” 1999, nr 5]

Reprodukcja W. Pielewin, *Czapajew i Pustota*, Moskwa 1999.

WIKTOR PIELEWIN, ur. 1962. Jeden z najpopularniejszych prozaików rosyjskich lat 90. Autor bestsellerów: *Omon Ra* (1992), *Żyzni nasiekomych* (1993), *Czapajew i Pustota* (1996), *Generation „P”* (1999) i in.

Reprodukcja A. Niemzer, *Literaturnoje siegodnia. O russkoj prozie. 90-e*, Moskwa 1998.

JURIJ BUJDA, ur. 1954. Prozaik. Debiutował w 1991 r. Pierwszy tom opowiadań – *Prusskaja niewiasta* – wydał w 1998 r. Mieszka w Moskwie.

Alicja Wołodźko-Butkiewicz Ciąg dalszy książki – Internet

W ostatniej dekadzie wieku, dość niespodziewanie i burzliwie, zaowocowały w kulturze światowej nowe obiegi literatury pięknej, związane z elektronicznym sposobem zapisu i upowszechniania tekstów w komputerowych sieciach rozległych, a zwłaszcza w globalnej „nadsieci”, jaką jest Internet. Ułatwiła to jedna z najmłodszych technologii sieciowych, nazwana World Wide Web (WWW), tworząc szczególnie dogodne możliwości utrwalania, przechowywania, udostępniania i przesyłania tekstów oraz związanych z nimi obrazów i dźwięków. Trwa jeszcze pierwsze dziesięciolecie rozwoju i doskonalenia WWW, a mariaż literatury pięknej z nowym, potężnym już medium, stał się faktem i przyniósł sporo arcyciekawych, obiecujących doświadczeń.

W Rosji, z jej tradycyjnym kultem literatury i pisarza, stało się to wszystko jakby bardziej bogate i oczywiste. Entuzjastami i animatorami wprowadzenia literatury pięknej do Internetu stali się tam natychmiast – prócz sporę części tzw. sietewików, a więc inżynierów i administratorów urządzeń sieciowych – ludzie związani kilka lat przedtem z kulturą rosyjskiego rocka. Jeden z nich, prozaik petersburski Aleksander Żytinski (ur. 1941) w kwietniu 1996 założył pierwszy w Rosji elektroniczny almanach literacki „Art Petersburg. Pietierburgskij żurnal iskusstw s priłożenijem” (arcom.spb.su), zaś w roku 1998 Wirtualne Stowarzyszenie Literackie im. Lawrence’a Sterna. Do współpracy z elektronicznym medium przyciągnął znanych pisarzy, głównie, choć nie tylko petersburskich. Są wśród nich Borys Strugacki, Andriej Bitow, Michaił Kurajew, Wadim Szefer, Danił Granin, Wiktor Koniecki, Michaił Czulałki, Aleksander Mielichow, a z poetów Aleksander Kuszner, Wiktor Sosnora i spory zastęp innych.

Również w Moskwie, w ramach licznych inicjatyw prezentacyjnych i organizacyjnych (jak choćby *Pierwoje piero*) zaczęli publikować w Sieci swe utwory i uczestniczyć w jej życiu literackim Borys Wasiliew, Leonid Zuchowicki, Fazil Iskander, Władimir Wojnowicz oraz inni znani twórcy. Ogromną rolę w przyciąganiu autorów rosyjskich do Internetu odegrał wykładowca historii literatury na uniwersytecie w Tartu Roman Lejbow, publicysta i współorganizator jednego z pierwszych czasopism elektronicznych „Żurnal” (Zhurnal.ru na serwerze russ.ru) z pionierskim działem literackim, „Słowiesnost” (dziś jest felietonistą elektronicznego dziennika „Russkij żurnal”). Wytworzyła się nowa – sieciowa – odmiana dziennikarstwa, zwłaszcza felietonistyki, m.in. na tematy literackie. Szczególnie aktywni są na tym polu Siergiej Korniew, Jewgienij Gornij, Siergiej Kostyrko. Do pionierów i twórców rosyjskiego literackiego Internetu należą Aleks Farber, Maksim Moszkow, Jewgienij Pieskin (założyciele pierwszych bibliotek *on line*), a ponadto Anton Nosik, Aleksander Romadanow (Aleksroma), Leonid Dielicyń, Dmitrij Manin. Wymieniam kilku najbardziej aktywnych; młodych, jeszcze do niedawna nieznanych, a obecnie popularnych, związanych z literaturą ludzi Sieci, jest znacznie więcej.

W ostatnich latach ukształtowało się w Internecie rosyjskim i wokół niego środowisko kulturalne, a w nim literackie, imponujące rozmachem, różnorodnością form oraz inicjatyw, pomysłowością i zapalem tworzenia. W chwili obecnej samych tylko elektronicznych czasopism literackich – codziennych, cotygodniowych i innych – ukazuje się blisko osiemdziesiąt; kilkanaście z nich to znaczące, w pełni dojrzałe, ambitne narzędzia współkształtowania życia literackiego. Są to zwłaszcza wymienione już: „Russkij

żurnal” (w swych działach literacko-kulturalnych), „Słowiesnost”, „Art Petersburg”, a także „Razbityj kompas”, „Wawilon”, „Czernowik”. Dodajmy, że w Internecie rosyjskim istnieje łącznie ponad 1600 gazet i czasopism, z których, prócz literackich i kulturalnych, sprawom kultury i literatury poświęca uwagę co najmniej setka. W infrastrukturze życia literackiego ważne miejsce przypada bibliotekom elektronicznym, konkursom literackim (najstarszy z nich to *Teniot*, najbardziej zaś prestiżowy organizuje internetowa Akademia Piśmiennictwa Rosyjskiego). Rozwijają się różne formy bezpośredniego kontaktu pisarza z internetową publicznością czytającą,

Pielewin lubi paradoksy, parodiuje stereotypy literackie i mitologiczne myślenie. Znęca się nad idolami radzieckiej ideologii – począwszy od powieści *Omon Ra*, a na opowiadaniu *Dziwiaty sen Wiery Pawłowny* kończąc – gdzie kpi z dętowego patosu bohaterów Czernyszewskiego, którego powieścią *Co robić?* zadreńczano pokolenia radzieckiej młodzieży szkolnej. Często ucieka się Pielewin do mistyfikacji, jak jego ulubiony Carlos Castañeda, jeden z proroków New Age’u. Pielewinowska nowela *Książę z biura planowania* przedstawia młodego człowieka w wirtualnej rzeczywistości gry komputerowej. Michaił Wizeł nazwał tę prozę „piorunującą mieszkanką filo-

eseista i dziennikarz pisujący o literaturze, głównie postmodernistycznej, wreszcie choćby Siemion Uljanow (ur. 1975), współpracujący z sieciowym pismem „Russkij żurnal”, ironista, harcownik, bez obawy wyszydzający literackich idoli lat 90. – Pielewin, Prigowa, Gandlewskiego. Zapowiada się Uljanow na jedną z ciekawszych indywidualności młodej rosyjskiej krytyki literackiej.

Motywacje wiązania się z Siecią są różnorodne. Często jest to dążenie do odnowienia warsztatu literackiego, rzadziej – próba podejmowania awangardowych eksperymentów. Pisarze, zwłaszcza młodzi, szukają kontaktów z nową myślą i technologiami, dążą do zmiany w samym sposobie myślenia o świecie, jego postrzegania. Doświadczenia internetowe z pewnością współkształtują nową wrażliwość twórczą.

Są to wszystko sprawy bardzo świeżej daty. Trudno przesądzać, czy wynikają one ze zderzenia twórców z wizją literatury jutra i pisarza jutra, ku jakiej pobudza spotkanie z technologią Internetu, jego klimatem i ludźmi sieciowego środowiska. Ile w tym jednostkowych doświadczeń, a ile typowości oddziaływania sieci globalnej i nieuchronnych skojarzeń, które ona prowokuje. Fascynujące jest jednak samo pobudzenie do takich pytań, możliwość ich stawiania na początku dnia.

Dzięki konkursowi *Teniot*, odbywającemu się w Internecie rosyjskim corocznie od pięciu już lat – a jest to konkurs na najlepszy utwór literacki opublikowany w Sieci – pojawiły się w obiegu takie nazwiska młodych prozaików, jak Oleg Postnow (dwie nagrody w tym konkursie za opowiadania, rok 1996 i 1997), Dmitrij Bołotow, Oleg Owczynnokow, poetów – Aleksiej Andriejew, Waleria Kriestowa, Misza Wierbicki, Aleksander Lewin, Aleksandra Pietrowa – wliczać można by długo.

Częstą praktyką jest publikowanie pod pseudonimami, z reguły żartobliwymi. Całkowicie zmieniła się w Internecie rola autora i jego relacje z czytelnikiem. W sieci jest mnóstwo wirtualnych postaci na podobieństwo Koźmy Prutkowa: jak choćby *Kulawy Anioł* (Aleksroma czyli Aleksander Romadanow) lub *Maj Iwanowicz Muchin*, rzekomo 80-letni emeryt z Estonii. Ta sama osoba, jeśli chce, pojawia się w kilku wirtualnych wcieleniach, stając się tym samym postacią literacką. Pseudonim usuwa skrepowanie, pozwala na szczerość.

W kulturalnym i literackim życiu Internetu aktywnie działają „Mit’ki” – w latach 70. undergroundowa grupa artystów leningradzkich (z początku Władimir Szynkariow, Dmitrij Szagin, Aleksander Florenski, dziś również wielu innych). Uprawiają różne rodzaje sztuki, w tym malarstwo, grafikę, poezję i muzykę rockową. Obecnie „Mit’ki” to zjawisko znacznie szersze niż grupa artystyczna – przeobraziła się w coraz bujniej rozwijający się ruch młodzieżowy (www-personal.umich.edu/~yegor). Unikają polityki, nie są agresywni, w literaturze operują paradoksalnym humorem spod znaku Oberiutów (zwłaszcza Charmsa); w malarstwie pociągają ich sztuka naiwna. Ich żywioł to anegdota, aforyzm, piosenka. Barwny i niejednoznaczny ruch „Mit’ków” nie poddaje się łatwej ocenie.

Internet jest światem otwartym, żywym, aktywnym. Zawierane są tam liczne znajomości, szybko następuje wymiana myśli, każdy może weryfikować się i samokształcić. Jeden z teoretyków (Korniew) sieciowych nazwał Internet „salonem literackim” końca XX wieku, inny (Nosik) – biblioteką, jeszcze inny (Jampolski) – ogromnym, choć nieuporządkowanym archiwum.

Wielu Rosjan dostrzega powinowactwa Sieci z duchem samizdatu. W opasłej anto-

Gienrich Sapgir Komputer osobisty

1. t e k s t: nawyk teksty komputer pracować zdobywać ty szybko konieczny osobisty (patrz)
 2. pracując z tekstami na komputerze osobistym szybko zdobywasz konieczny nawyk (patrz pkt.1)
 3. komputer osobisty pracując z tobą szybko zdobywa konieczny nawyk (patrz tekst)
 4. komputer osobisty zdobywa cię szybko i pracuje w twoim nawyku (koniecznie patrz tekst)
 5. konieczny nawyk zdobywa cię osobiście. szybko pracujesz jak komputer (patrz tekst)
 6. ty = komputer. zdobywasz konieczny osobisty nawyk. szybko pracujesz z tekstami (patrz pkt.1)
 7. ty = tekst. ty = tekst. ty = tekst.
- k o m p u t e r: pracować! szybko!
tekst: konieczny osobisty nawyk (patrz pkt. 1)
8. ty = nawyk. ty = nawyk. ty = nawyk.
t e k s t: zdobywasz komputer osobisty
koniecznie pracować szybko (patrz pkt.1)
nawyk: zdo komp os kon pra szy (patrz pkt.1)

9. PAMIĘTAJ! PRACUJĄC SZYBKO, ZDOBYWASZ!
KOMPUTER OSOBISTY Z TEKSTAMI =
KONIECZNOŚĆ (patrz pkt.1)

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[G. Sapgir, *Izbrannoje*, Moskwa – Paris – New York 1993]

startuje wiele inicjatyw popularyzujących literaturę i zmierzających programowo do rozwijania wrażliwości kulturalnej oraz literackiej.

Spotykamy w internetowym i około-internetowym środowisku literackim wielu czynnych twórców różnych generacji, nadal jednak najchętniej wiążą się z nim ludzie młodzi i bardzo młodzi poszukujący własnej drogi do literatury. Debiuty ich zapowiadają się obiecująco. W gruncie rzeczy głównie Internetowi zawdzięcza swój rozgłos Wiktor Pielewin – kultowy pisarz młodzieży rosyjskiej lat 90., twórca pierwszej rosyjskiej powieści cyberpunkowej, zwany niekiedy „komputerowym buddystą”. Co krok spotykamy to nazwisko w bibliotekach elektronicznych, gromadzących literaturę współczesną i nowocześnie. Pielewin w roku 1994 został laureatem małego Bookera (nagrody istniejącej w Rosji od 1992 r. *Booker Russian Novel Prize* przyznawana jest w dwóch kategoriach: „duży Booker” – za najlepszą powieść roku i „mały” – każdorazowo w innej kategorii), jego prozę tłumaczono na blisko dwadzieścia języków. Najnowsza powieść *Generation „P”* robi furorę w Rosji i na Zachodzie, gdzie jest reklamowana jako pielewiniowskie *Martwe dusze*.

zofii wschodniej, komputera, narkotyków i rock-and-rolła, tak charakterystyczną dla wielu... naszych znajomych”.

Bardzo popularni w Sieci są autorzy fantastyki; bożyszczem sieciowej publiczności jest zwłaszcza Siergiej Łukjanienko (ur. 1968), autor wielu powieści, spośród których najbardziej znane to *Władcy złudzeń* i *Labirynt odzwierciedleń*. Tytuł drugiej świadczy o modnym źródle inspiracji – labiryntach i zwierciadłach Jorge Borgesa, wpisuje się jednak ta proza w popularny gatunek cyberpunku, prezentującego wizję totalnie skomputeryzowanego świata, gdzie człowiek jest tylko dodatkiem do maszyn i oprogramowania. U Łukjanienki wirtualna rzeczywistość wdziera się w życie bohatera, wędrującego drogami gier komputerowych i odczuwającego jako realność baśniowe zagrożenia. To rosyjskie *fantasy*, gdyż w świecie komputerowej cywilizacji obok maszyn umieszcza pisarz bohaterów ludowych bajek – Iwana Carewicza i Szarego Wilka.

Spośród internetowych osobowości wyróżnia się Władimir Tuczkow (ur. 1949), krytyk literacki, dziennikarz, poeta i prozaik, pasjonat komputeryzacji i Sieci (świadczy o tym choćby cykl jego opowiadań *Śmierć przychodzi z Internetu*), Waczesław Kuricyn, krytyk,

logii *Samizdat wieku* (Mińsk-Moskwa 1997), prezentującej dysydencką do niedawna twórczość, głównie poezję i publicystykę, znajdujemy artykuł Jewgienija Kozłowskiego *Internet – samizdatem dzisiaj*. Jest to ta sytuacja, gdy zacierą się różnica między słowem drukowanym a niedrukowanym – stwierdza autor wstępu do tego tomu, Lew Anninski.

Kwestia ostatnia – pytanie o kulturowe oddziaływanie Internetu w sensie pobudzania oryginalnych wartości literackich, wyróżniających literaturę internetową. Michaił Epsztejn z uniwersytetu Emory w USA upatruje w amerykańskiej cyberprzestrzeni dalszy ciąg młodzieżowej kontrkultury lat 60. i 70. Pokolenie dawnych dzieci kwiatów – twierdzi – wykorzystало możliwości techniczne tworząc alternatywne światy w innych wymiarach. Podobnie Internet jest bliski rosyjskiemu sercu. Rosja odnajduje w cyberprzestrzeni wiele wspólnego z tradycjami własnej kultury – elektroniczną „soborowość”, pogardę dla własności prywatnej i wąskiej specjalizacji, metafizyczne alkoholowe oszołomienie, koczowniczy żywot, gęste lasy, szerokie stepy itd.

Internet rosyjski wybuchł przed pięciu laty, w momencie szczytowym spóźnionego romanu intelektualnej Rosji z poststrukturalizmem, zwłaszcza z jego szkołą związaną z Uniwersytetem Yale. Fali tej towarzyszył ożywiony ruch wydawniczy: w ciągu niewielu lat wydano stosunkowo dużo prac rosyjskich, a także tłumaczeń i omówień dzieł reprezentantów tego interdyscyplinarnego prądu umysłowego (np. Barthes, Derrida, Foucault, Eco, a z rosyjskich Iljin).

W aurze zafascynowania nową myślą jedni kontynuowali z zapałem i w dogodniejszych niż uprzednio warunkach swe wcześniejsze

zainteresowania, inni robili to samo, ale po gruntownym odświeżeniu stosowanej uprzednio leksyki i komentarza, którym dawniej opatrywali pełne zgorszenia własne uwagi o tej nowomodzie. Dla większości wszakże zainteresowanych problematyką przeobrażeń cywilizacyjno-kulturowych *doby* – by użyć tu określenia Stefana Morawskiego – *po-sztuce*, doktryny te stawały się nowym, często porównywalnym doświadczeniem. Wyzwaniem dla twórczości znużonej pesymizmem diagnoz, wieszczących jedynie kres nowożytności, zmierzch kultury.

Na tym właśnie gruncie intelektualnym, wraz z ówczesnym gwałtownym skokiem rozwojowym Internetu, dokonano się istotne spotkanie z wizją *globalnej Sieci*, z bałamutną sielanką *globalnej wioski*, z myślą produktivistów, pragnących dostosować dziedzictwo zastanej rzeczywistości do tego, co uznali za najbardziej obiecujące, do wartości inżynierskich nowych wysokich technologii. Oczywiście, decydujące było spotkanie z samą Siecią, Internetem, z możliwością wykorzystania tego rogu obfitości, jakim jest jego oferta dobrych usług, kierowana do każdego humanisty: bazy danych, regularna dostawa wybranego pakietu informacji, błyskawiczne kontakty za pośrednictwem poczty elektronicznej, taniość i łatwość publikowania, możliwość samoprezentacji na skalę kontynentalną i globalną itp.

Literatura internetowa ma, naturalnie, cechy swoiste. Jedną z nich jest hipertekst, będący sposobem ujęcia tekstu jako siatki jego fragmentów, powiązanej odnośnikami, w której obrębie czytelnik może się swobodnie poruszać, dowolnie zmieniać kolejność czytania, tworząc tym samym własny wariant tekstu, ze zmienioną sekwencją narracji, a więc

i jego sensem. Obserwując wszakże rosyjską internetową awangardę literacką, takie jej utwory, jak hiperpowieść *Roman* (eksperyment literacki zainicjowany przez Romana Lejbowa), jak *Księga nad księgami* Michaiła Epsztejna, a także trzy opublikowane dotąd części obszernej powieści hipertekstowej *HTML* Akselromy itd., byłabym ostrożna w przyznaniu racji optymistom, wiążącym poważniejsze perspektywy rozwoju literatury pięknej z hipertekstem, którzy upatrują w nim remedium na „bankructwo sztuki samozadowolonej, operującej martwymi kryteriami, wyznającej kult artysty-kapłana czy szamana” (Stefan Morawski).

Sądzę, że nie mają racji także ci, którzy w Internecie dopatrują się samej tylko nowej możliwości dostępu do literatury i jej upowszechnienia, nie dostrzegając natomiast specyficznych możliwości kulturowych. Tacy, jak Borys Strugacki, który na pytanie, czy Internet wniósł coś nowego do twórczości literackiej, odpowiada następująco: „Nic specjalnie «sieciowego» (...) nie dostrzegłem, poza, naturalnie, powieścią *HTML*. (utworem hipertekstowym – A.W.B.) Moim zdaniem «ta piekielna maszyna» sama przez się nic autorowi nie dodaje, ale też nic mu nie odbiera”. Sama przez się piekielna Sieć, oczywiście nie, ale jest czymś w rodzaju surowca, któremu umysł i dłoń rzeźbiarza mogą nadać kształt bardzo różny.

Krytyka, dyskusje i niezbyt liczne, ale tu i ówdzie formułowane manifesty literackie, zdają się w sumie podejmować te wątki, które w czasopiśmiennictwie literackim drukowanym tradycyjnie występowały marginalnie – zwłaszcza pytanie o jutro literatury i kultury rosyjskiej jako całości, o rolę inteligencji rosyjskiej w zachodzących przemianach. Źród-

nicowanie ogromne: od Dymitra Galkowskiego do gremium skupionego wokół czasopism „Puszkina” i „Russkij żurnal”.

„Otwierając mój wirtualny serwer chcę zapoczątkować nowe zjawisko kulturalne, społeczne, wreszcie polityczne: «Samizdat-2» – rosyjską niezależną przestrzeń informacyjną [...] Samizdat-2 będzie zjawiskiem różnej maści. Połączy rozmaite projekty tylko jedno – przyszłość, która zmiecie omszałe, czynownicze «Znamiona», «Nowe miły», «Moskiewskich komsomolców» i «Jutra» tworząc nową informacyjną realność. Ta zaś nie będzie ani zła ani dobra, ani oficjalna ani marginalna. Będzie po prostu żyć, istnieć sama przez się” – pisze Galkowski; jest on autorem budzącej skrajne kontrowersje publicystyki *Bez kres ślepego zaułka*, prowadzi autorski serwer, na którym wydaje czasopismo „Razbityj kompas”.

Wydawcy „Puszkina” inaczej widzą swą przyszłość w Internecie:

„Potwierdzamy: naszą strategią jest władztwo książki, władztwo literatury. W morzu zafascynowanych obrazkami «dla masowego widza», stawiamy na partię światowych bibliotek – na książkę i na jej wspianą ciąg dalszy – Internet. Światowa sieć Internetu wyzwała z getta słowo poddane żonglerce”.

Prócz adresów internetowych podanych w tekście, do wykorzystanych tu źródeł można dotrzeć poprzez katalogi i odsyłacze zawarte na serwerach:

simplex.ru/lit.html

friends-partners.org/~afarber/lit.html

Alicja Wołodźko-Butkiewicz

Olga Siedakowa

Grzech

Z cyklu *Stare pieśni*

Dola

Któż wie, co mu sądzone?
Nawet gdy zgadnie – nie zauważy.

Może więc o mnie wspomnisz,
kiedy ja o tobie zapomnę.

A wtedy wejdę bezszelestnie,
tak, jak do żywych zmarli przychodzą
i powiem, że wiem coś,
czego ty nigdy się nie dowiesz.
A potem ucałuję ci rękę
jak poddani panom całują.

Inna kołysanka

Śpij, maleńki, bo cię zostawią,
zostawią i nawet nie spojrzą,
jak ta żniwiarka, co położyła syna
pod miedzą, przy jęczmieniu,
a sama żnie i ży ociera.

– Mamo, mamo, a któż to do mnie idzie,
kto stanął nade mną?
To stoją trzy wiedźmy,
trzy siwe wilczyce.
Kołyszają, do snu tulą,
drobny mak żują.
Nie chce dziecko maku,
placze, lecz nikt nie słyszy.

Tłumaczyła Joanna Socha

Niebo wysokie oszukać nie sztuka –
Niebo wysokie oszustwa nie chce widzieć.
Można oszukać ziemię głęboką –
głęboka ziemia śpi, niczego nie słyszy.
Jasnowidzów, wróżów i wróżki oszukasz –
ale nie siebie samego.

Oj, nie lubią człeka grzesznego
lustra i szyby, i leśna krynica:
tam obca krew to wichrem pędzi,
to skręca się jak żmija zraniona.

– Jutro wstaniemy przed świtem,
pójdziemy do słynnej wróżki,
sowiec jej zapłacimy,
żeby orzekła,
że niczego nie widzi.

Pocieszenie

Nie wróż sobie własnej śmierci
i nie ciesz się, że wszystko przepadło,
nie zastanawiaj się, jak będą po tobie plakali,
jak zadrepczy ich spóźniony żal.

Marna to pociecha,
a dla ziemi krzywdząca zabawa.

Lepiej powiedz i pomyśl:
cóż to bieli się na wzgórku zielonym?

Na wzgórku zielonym sady się mienia,
ku samej wodzie zbiegają,
jak jagnięta ze złotymi dzwonekami –
białe jagnięta na wzgórku zielonym.
A śmierć przyjdzie nikogo nie pytając.

Powrót

(wiersz o świętym Aleksym)

Dobrze jest gdzieś wrócić:
do miasta, gdzie wszystko jest inne;
do sadu, gdzie jedne drzewa
dawno wycięto; a pozostałe
skrzypią, choć kiedyś nie skrzypiały;
do domu, gdzie po tobie płaczą.

Wrócić, ale nie wyjawić swego imienia,
i tak już milczeć do samej śmierci.
Niech tam się ludzą,
rozpytują przyjezdnych,
rozumieją – lub nie.

A rzeczy wokół się błyszczą
jak dalekie maleńkie gwiazdy.

Tłumaczył Aleksander Wawrzyńczak

OLGA SIEDAKOWA, ur. 1949 w Moskwie. Sławistka, tłumaczka poezji europejskiej. Pierwszy jej tomik wierszy *Wrata. Okna. Arki* wydano w Paryżu (1986). W 1998 otrzymała Watykańską Nagrodę Literacką im. Władimira Solowjowa.

Post Scriptum

Oto nazwiska współczesnych poetów, których wiersze również chcielibyśmy czytać, gdyby znaleźli się chętni tłumacze: Michaił Ajzenberg, Dmitrij Bobyszew, Aleksiej Cwietkow, Arkadij Dragomoszczenko, Aleksandr Jeriomienko, Michaił Jeriomien, Igor Irtieniew, Nina Iskrienko, Konstantin Kiedrow, Bachyt Kenżejew, Timur Kibirow, Wiktor Kriwulin, Jurij Kublanowski, Władimir Łapin, Lew Łosiew, Łarisa Miller, Anatolij Najman, Wsiewołod Niekrasow, Oleg Ochupkin, Olesia Nikołajewa, Aleksiej Parszczikow, Dmitrij Prigow, Aleksiej Purin, Jelena Pudowkina, Dawid Raskin, Lew Rubinsztejn, Siergiej Stratanowski, Aleksiej Szelwach, Dmitrij Zaks.
Niemale, ale Rosja to duży kraj. J. Sz.-R.

Gienrich Sapgir *Bardzo krótkie opowiadania*

* * *

Spodziewał się aresztowania. Obserwowano go. Prześladowano. Telefonicznie. Jednak się udało. A szkoda.

* * *

Rękawiczka na śniegu. Myślał: czyżby jej? Usta pamiętały nawet chłód policzka. Jej włosy. Okazało się, niepotrzebnie. Cudza rękawiczka.

* * *

Prawie połowa jadących w wagonie czytała gazety i książki. Ale z biegiem czasu rosło wrażenie, że obserwują się ukradkiem – czujnie, niczym spiskowcy. W końcu ktoś chyba nie wytrzymał i z wrzaskiem wyskoczył na peron. Pozostali zagłębili się w lekturze, jakby nigdy nic.

* * *

Pani scenograf szła z teatru, jak zwykle, zadumana (przedmioty rozłożone są w przestrzeni i w czasie) i wpadła pod samochód. „Dlaczego ja?..” – zdążyła tylko pomyśleć.

I rzeczywiście, kto tak nieudolnie zaaranżował czas i przestrzeń?

[„Znamia” 1993, nr 10]

Skok konika polnego

Konik polny skoczył – i herszt bandy Iwan Fiodorowicz przewrócił się na twarz; drapiąc wyszczerbioną podłogę piwnicy postrzępionymi pazurami, w drgawkach przedśmiertnych wierzył amerykańskimi butami na grubej podeszwie.

Konik polny skoczył – i na ósmym piętrze szkło rozbiło się w drobny mak... Kiedy przyjechali, Rozalia Arkadijewa jeszcze żyła, a ze ściany z wyrzutem spoglądał portret zmarłego małżonka.

Konik polny skoczył – i oficer śledczy, Siewa Pietrowicz, drgnął i opuścił, biedaczysko,

głowę na stare dzinsy, które przed chwilą jeszcze zszywał grubą dratwą; po skroni spływała ciemna strużka krwi...

Literat Siergiej Bylinkin postawił wielokropek, wyrwał kartkę z maszyny do pisania ERICA. Mruknął z zadowoleniem, miał zamiar przeczytać, gdy wtem na niego konik polny skoczył.



Rysunek Aleksander Floriński

Ryba

Nadmorską osadę otoczył żółty zmierzch. Starowinka, krzątająca się w ogrodzie, spojrzała na mnie przenikliwie i wytchnęła różową rybę z ogromną głową.

Ryba popłynęła, kołysząc się nad rozgrzaną drogą niczym jakieś fioleto-różowe urojenie...

Coś mi mówiło, żeby się nie odwracać i – oczywiście – obejrzałem się: ryba stała w powietrzu w odległości pięciu-sześciu kroków.

Potrząsnąłem głową: ryba zniknęła, staruszka – nie, czujnie spoglądała ponad krzewami więdających róż.

Wyłumaczyłem sobie, że to złudzenie, poszedłem dalej pod górkę, obejrzałem się: ryba podążała za mną, pozostając nieco w tyle.

Pośpiesznie skrzyłem za róg i przyciałem się w krzakach akacji. Ryba z godnością przepłynęła obok. Ucieszyło mnie to. Ryba wróciła i myszkowała jak pies, który zgubił ślad. Wyraźnie była zakłopotana.

Żał mi się zrobiło ryby. Być może długo cierpiała męki w głowie staruszki – takie jakieś niespełnione pragnienie. I oto szczęśliwy przypadek, albo może mój szczególnie dla niej powabny zapach (bywa i tak) sprawił, że ryba wydostała się na wolność i zmaterializowała.

Wyszedłem z krzaków, pokazałem się rybie i nie spojrzawszy nawet za siebie, poszedłem w dół wąską uliczką do swojej furty.

W domu napiłem się herbaty, rybę dałem to, co miałem – cały talerz zimnych kotletów. Zeżarła wszystko.

Nocą spałem źle – przeszkadzała mi ryba: wciąż drapała, szturchała moje ramię ościstymi płetwami (czy czymś takim).

Rano rzuciłem jej pół bochenka – przeraziłem się – o mało nie odgryzła mi ręki po łokieć, z chrzęstem zaczęła miażdżyć suchy chleb swoim ościstym pancerzem.

Zamyśliłem się: czym będę karmił cudzą fantazję? Swoim ciałem? I po co mi ona?

Gdyby to jeszcze było pragnienie młodej dziewczyny z ledwie zarysowanymi piersiami, a nie ogorzałej staruchy w wyblakłym kaptanie – szyja i dłonie, jak u żołnierza.

Postanowiłem odprowadzić rybę z powrotem.

Nie oglądając się, szedłem w górę krętą uliczką. Byłem pewien – ryba podąża za mną.

Oto i biała ściana domu, róże za sterzącymi sztachtetami płotu. Gospodyni, tak jak wczoraj, mętym wzrokiem patrzy na mnie – przeze mnie.

Ryba podpłynęła, zwróciła ku niej ścięty pysk. Teraz obie – ryba i gospodyni – spoglądają na mnie. Dość tego, o co mi chodzi, czyżby ta leciwa kobieta była aż tak bardzo stara i odpychająca?

Coś we mnie potężniało, nieznacznie łamiąc mi żebra i gniotąc wnętrzności. Nagle szaro-srebrzysta długa ryba wyskoczyła ze mnie i poczułem, że jestem pusty jak kartonik.

Przewracała moimi zielonkawymi oczami, w ustach jej poruszał się mój język – rozpoznałem swój brakujący ząb; coś mówiła, jakieś głupstwa... Czulem, że jestem zupełnie płaski, bez zawartości, jak puszka konserw na tramwajowych szynach.

Ryba gospodyni rada była mojej – piwne oczy z żółtym odcieniem zdziwione znieruchomiały, po wywinętej wardze przemknął uśmiech. Obie ryby jakoś tak nienaturalnie dopadły siebie i z pasją zaczęły się nawzajem pożerać, zachłystując się, parząc, ze światem wysysały mózg i wnętrzności.

Ani o mnie, ani o żadnej kobiecie – młodej czy starej – nie było już nawet mowy. Po prostu mogliśmy nie istnieć.

Tłumaczyła Anna Skotnicka-Maj

[„Oktabr” 1992, nr 10]



Reprodukcja G. Sapgir, Izbrannoje, Moskwa – Paris – New York 1993.

GIENRICH SAPGIR (1928-1999). Poeta związany z nieformalną grupą „Lianozowo”, scenarzysta dziecięcych filmów rysunkowych, prozaik. Najważniejsze utwory publikował w sam- i łamizdacie.

Wiaczesław Pjecuch *Anegdoty rosyjskie*

* * *

Do Jeleny Siergiejowej Potroszkowej, pracownicy służby bagażowej lotniska Szerebietiewo-2, podbiega spocony Francuz i z sympatycznym obcym akcentem mówi:

– Proszę sobie wyobrazić, nie ma moich walizek! Widzi pani, przyleciałem rejssem Paryż – Moskwa, a walizek, proszę sobie wyobrazić, nie ma!

Jelena Siergiejowa dała Francuzowi następującą radę:

– Niech no pan poszuka na taśmociągu, z którego wydaje się bagaż pasażerom z Ulan-Bator. Pewnie jeżdżą tam sobie wte i wewte.

Francuz obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem, po czym mimo wszystko zdecydował się skorzystać z porady i zniknął. Zjawił się po pięciu minutach, wlokąc swoje walizy, tak eleganckie, że określenie „bagaż” mało jakoś do nich pasowało.

– Pani pozwoli, że zapytam – powiedział. – Jak się pani domyśliła, że moje walizy jeżdżą wte i wewte akurat w sektorze Ulan-Bator – Moskwa?

– Widzi pan, po prostu nie pierwszy rok mieszkam w tym kraju.

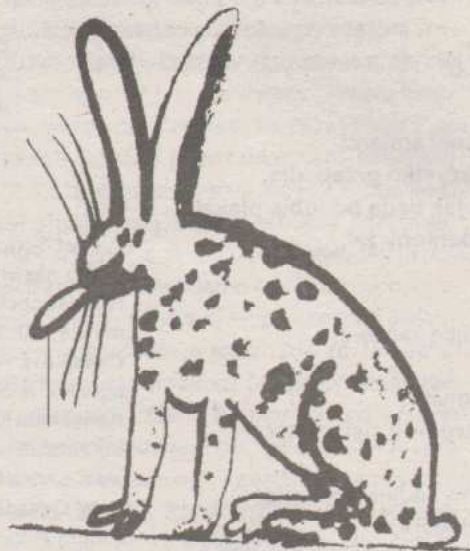
– Nie rozumiem, ale mimo wszystko dziękuję!

– A teraz pozwoli pan, że ja zapytam – po co pan tu przyjechał?

Francuz uśmiechnął się niepewnie i powiedział:

– Bo wy macie takich dobrych pisarzy...

Jelena Siergiejowa pozostawiła to bez komentarza.



Zaivruk

* * *

Pisarzy rzeczywiście mamy dobrych – w każdym razie znają odpowiedzi na wszystkie pytania, a jeśli nawet nie na wszystkie, to przynajmniej na zasadnicze – znają.

Kiedyś, na spotkaniu z pisarzem Zujewem w Bibliotece im. Dobrolubowa, z sali padło pytanie:

– Powiedzcie no szczerze, po co wy się zajmujecie takimi głupotami? Co za pożytek z literatury, skoro sami to wszystko wymyślacie? Dajcie nam, towarzyszu pisarzu, podręcznik życia, wskażcie środki walki ze złem! Bawicie się w opisy przyrody, a gdzie szukać szczęścia – ani słowa!

Publiczność ożywiła się i zaszemrała.

– Widzi pan, rzecz w tym – powiedział Zujew – że albo podręcznik życia, na przykład *Anty-Dühring*, albo literatura – trzeba wybierać. Wprawdzie o szczęściu nie konkretnego nie mogę panu powiedzieć, ale za to doświadczenie niedwuznacznie dowodzi, że literatura może ustrzec czytelnika przed nieszczęściem.

– Nie rozumiem.

– Już panu wyjaśniam: siedzi sobie człowiek w kąciu i czyta książkę, i w tym czasie: cegła mu na głowę nie spadnie – to raz,

nie zabiorą go przez nieporozumienie na milicję – to dwa, rodzina zadowolona – trzy, pieniądze zaoszczędzone – cztery, nikogo nie obrazi – pięć!

Sala milczała.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[„Oktabr” 1999, nr 5]

WIA CZYŚŁAW PJECUCH, ur. 1946 w Moskwie. Prozaik. Debiutował w 1977 r. Sławę przyniosła mu powieść *Nowaja moskowskaja filozofia* (1989). Krytyka zalicza go do satyrycznego nurtu literatury postmodernistycznej.





Maksym i Fiodor

MYŚLI aforyzmy, maksymy, fiodory

Maksym miał wiele genialnych myśli, trudno wybrać coś specjalnego. Często, na przykład, nawiedzała go myśl następująca: „Gdzie by tu pożyczyć dwadzieścia pięć rubli?”

Maksym gotów był złożyć na ołtarzu myśli wszystko, nawet rzeczy pierwszej potrzeby. Pewnego razu powiedział: – Kiedy pomyślę, że piwo składa się z atomów, pić mi się odechciewa.

Zauważywszy, że Maksym pije nie zagryzając, Fiodor uznał za stosowne zapytać, czy wynika to z faktu, że przypominał sobie o molekularnej strukturze zagrychy.

Maksym dumnie pokręcił głową i powiedział: „Kto nie pracuje, ten nie je!”

Jeden tylko Maksym negował wielkość filozofii marksistowskiej. Jednak kiedy wezwano go, gdzie trzeba, zaprzeczał tam swoim zaprzeczeniom, przekonując się tym samym o słuszności prawa zaprzeczenia zaprzeczenia.

Znajomy Maksyma, Piotr, lubił snuć rozważania na temat, przykładowo, nieograniczonych możliwości człowieka i takich tam.

Maksym słuchał z ponurą miną, aż pewnego razu rzekł, jak baśniopisarz Ezop: „To napij się z durszlaka!” – i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Oto replika przypisywana Maksymowi (choć autorstwo nigdy nie zostało potwierdzone).

Fiodor miał w zwyczaju snuć na kacu niekończące się historie o kolegach, z którymi dopiero co pił, a oni – proszę, przepadli nie wiadomo gdzie, albo o czasach, kiedy chodził do szkoły, albo o jakichś wsiach. Opowiadał mętnie, robił długie przerwy, a niekiedy dobrych pięć minut posługiwał się wyłącznie wykrzyknikami i gestami.

Piotr – o ile nie wychodził od razu – męczył się, nudził, ślaniał po pokoju i usiłował zbić Fiodora z tropu opowiadając romantyczne bajki.

Maksym zauważywszy, że Piotr nie przepada za historiami Fiodora, powiedział: „Nawet dzieła literackiego nie należy osądzać wyłącznie podług słów!”

Za sprawę ludu

scenariusz czarno-białego filmu niemego

Zaciemnienie.

Napisy.

Zaciemnienie.

Panorama Petersburga. Twierdza Pietropawłowska w promieniach wschodzącego słońca. Na niebie obłoki. W wersji z akompaniamentem – rażna, marszowa muzyka.

Zaciemnienie.

Napis: „PETERSBURG. POZĄTEK WIEKU”.

Zaciemnienie.

Pokój. Poranek. Pośrodku pokoju solidny okrągły stół z na wpół ściągniętym obrusem. Na stole i pod stołem stoją i leżą butelki, szklanki, brudne talerze, niedopałki.

Panorama pokoju. Skrzynia, szafa, oleodruk – „Burłacy” Riepina, otomana. Na otomanie śpią przykryci waciami i jakimiś ubraniami dwaj ludzie.

Napis: „PORANEK ZASTĄŁ MAKSYMĄ I FIODORĄ W GOŚCIACH”

Najazd kamery na otomanę. Fiodor odrzuca wacik, wstaje, rozgląda się, wyraźnie zaniepokojony. Podchodzi do stołu, trąca palcem talerze, odchodzi. Kilkakrotnie bez celu okrąża pokój, często przystając i nasłuchując. Po ruchach i wyrazie twarzy Fiodora widać, że musi do toalety, ale krępuje się szukać jej w obcym mieszkaniu. Podchodzi do drzwi, ostrożnie je uchyla. Po jakimś czasie równie ostrożnie zamyka. Podchodzi do otomany, siada obok śpiącego Maksyma, zapala papierosa. Kamera na dłużej zatrzymuje się na palącym Fiodorze i śpiącym pod ubraniami Maksymie. Nieoczekiwanie kłapa w podłogę, dotąd niewidoczna, otwiera się wzbijając chmurę kurzu. Plecami Fiodora wstrząsa dreszcz, a z jego nogawki wycieka stróżka i pełźnie po podłodze. Spod ziemi energicznym krokiem wychodzi około dwudziestu ludzi. Na twarzach skupienie. Nie zwracając uwagi na osłupiałego Fiodora kierują się w stronę drzwi. Idą tak zwartą, zbitą masą, że wyglądają jak pełznące od klapy do drzwi wielkie zwierzę, na przykład foka. Niektórzy są bardzo wysocy, a niektórzy tak maleńcy, że drepczą pod połam pozostających.

Po ich wyjściu Fiodor około trzech minut stoi nieruchomo, potem rzuca się do okna, unosi koronkową firankę i chciwie patrzy.

Widok z okna:

Zwarta grupa zmiatając przechodniów znika w perspektywie ulicy.

Fiodor rzuca się do otomany, trzęsie śpiącym Maksymem. Zbliżenie: twarz Fiodora. Fiodor coś krzyczy, wyraźnie bardzo podniecony.

Napis: „MAKSYM! MAKSYM! OBUDŹ SIĘ! OBUDŹ SIĘ! NA BOGA! WIDZIAŁEM PODZIEMNĄ ORGANIZACJĘ! SZLI WALCZYĆ ZA SPRAWĘ LUDU!”

Maksym odwraca się. Na twarzy grymas złości. Unosi się nieco na łokciu, coś mówi, po czym pada z powrotem i naciąga wacik na głowę.

Napis: „A IDŹE TY W CHOLERĘ ZE SWOJĄ PODZIEMNĄ ORGANIZACJĄ!”

Zaciemnienie.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik
[www.-personal.umich.edu/~yegor]

Mit'ki



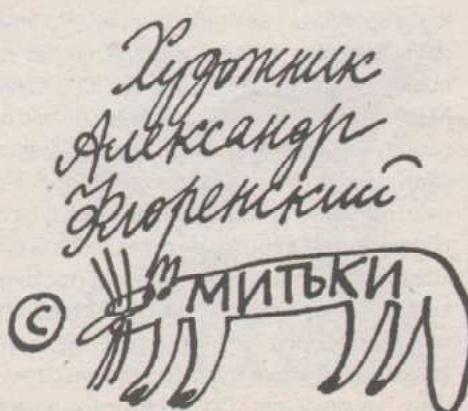
Rysunki Aleksander Floriński
Reprodukcja: S. Dowlatow, *Sobranie prozy*
w trzech tomach, Sanki-Pietierburg 1993.



КОМПРОМИСС



из сборника
ДЕМАРШ
ЭНТУЗИАСТОВ



Natalia Tołstoj Turyście o Petersburgu

Dzwonili do ciebie ze Stanów, proponowali jakąś pracę. Byłem zaspany i nie zrozumiałem dokładnie, o co chodzi – powiedział syn, kiedy siedząc w kuchni zastanawiałem się, dlaczego co trzeci dzień ktoś podał moją skrzynkę na listy.

– Pracę w Ameryce? Jaką? Kto dzwonił?
– Źle było słyszeć. Co się przejmujesz, zadzwonił jeszcze raz.

– Może ci się pomylili? Może dzwoniła mleczarka z Toksowa?

Syn nie odpowiedział. Jego obojętny stosunek do wszelkiego życia (nie wyłączając własnego) od jakiegoś czasu przestał mnie martwić. Postanowiłam traktować tę nieczułość jako formę młodzieńczego *bogoiskatstwa* i chwilowo przestałam się na bezkonfliktowe kursy na trasie kuchnia – łazienka – wnetka w korytarzu.

Cały następny tydzień pierwsza podbiegałam do telefonu: bałam się, że przegapię pracę w USA. Wreszcie, o piątej rano, Ameryka zadzwoniła.

– Natka? Cześć, króliczku.

Dzwoniła Wala, z którą sto lat temu chodziliśmy na kurs językowy. Króliczek – no to króliczek. Ostatnio robiłam za złotko. Wala – leniwa, ordynarna panna, została dyrektorem agencji turystycznej w Nowym Jorku! A gdzie ja i mój dyplom z wyróżnieniem? Poproszę, żeby mnie z nim pochowali. Niech złożą dyplom z wyróżnieniem na moją ostygłą pierś.

– Natka, jest robota. Wydajemy nowy przewodnik po Sankt Petersburgu, a właściwie aktualizujemy stary. Tam u was wszystko ciągle się zmienia. Trzeba sprawdzić nazwy ulic, telefony, godziny otwarcia muzeów. I jeszcze dopisać coś nowego o hobby mieszkańców Rosji. Wiesz, kuligi na trojkach, przeciąganie liny. Wymyśl coś ciekawego i żeby było egzotycznie!

– A po jakiemu mam pisać o tych hobby?
– Po chińsku. Obudź się, króliczku! Jasne, że po angielsku. Masz cztery miesiące czasu. Płacę tysiąc zielonych.

– Oj. Nie znam na tyle angielskiego...

– Przestań bredzić. Wysyłam ci ekspresem stary przewodnik. I – do roboty, towarzysze. Czuj-czuwaj!

Wstałam z łóżka i włączyłam się w nurt pracy. Wzięłam z półki „Książkę o smacznym i zdrowym jedzeniu”. Spróbujcie przetłumaczyć na angielski „kulebiak z dynią” albo „babkę marchewkową”. W cztery miesiące nijak się nie wyrobię. Otworzyłam okno w nadziei, że świeże powietrze przegoni resztki snu. Widok za oknem nie poprawiał humoru: zakład futrzarski, dawno zamknięty ku radości sobolów i norek, i zajezdnia, w której jeszcze tliło się życie: czekał pies i od czasu do czasu z warsztatu wychodził obywatel w waciaku. Wraciał z fiaszką.

Jeszcze nie zdążyłam ochłonać po rozmowie z Ameryką, a amerykański przewodnik po Petersburgu już leżał na moim biurku. Był to gruby tom pod redakcją dziennikarza-sowiecologa Marka Achatekińskiego. Mark pisał przewodnik według założenia: na poznanie miasta macie jeden, trzy, pięć, dziesięć dni. Temu, kto przyjechał na jeden dzień, sowiecolog proponował następującą trasę: „Po śniadaniu w hotelu „Astoria” przespacerujcie się obok pamiątkowego gmachu Czecha (później KGB) na Plac Pałacowy, gdzie niezależnie od pogody poczujecie wiatr historii, zmiatający carów i ich sługi z wysiedzianych tronów. Pojdźcie bliżej do kolumny Aleksandra, która cudem uniknęła zburzenia przez robotników i kozaków, szturmujących na rozkaz Trockiego komnaty carewien. Uljanow-Lenin przebrany w damską suknię i perukę ukrywał się w tym czasie przed junkrami w lokalu konspiracyjnym. Zgłodnieliście? Dobrą kawę dostaniecie

w hotelu „Europa”: skróćcie więc na prawo, w bramę Sztabu Generalnego, do dziś zajmowanego przez wojskowych, których ziemiste twarze migają czasami w oknach, skłaniając przechodniów, by przyspieszyli kroku. Politruków w armii rosyjskiej chyba już nie ma, ale przecież kiedyś państwo znów może ich potrzebować. Przechadzkę po wspaniałym Prospekcie Newskim mogą czasami zakłócić natrętne cygańskie kobiety łapiące przechodniów za rękaw. Rosyjscy przewodnicy odradzają jakiegokolwiek kontakty z Cygankami. Jednocześnie wycieczkę zakończcie w Soborze Nikolskim, gdzie przekonacie się, że Rosja spotkała się w końcu z Bogiem. Uroczę dziewczęta przystrajające kwieciami swoją ulubioną ikonę na długo pozostaną w waszej pamięci i zapragniecie raz jeszcze przyjechać do tego miasta przebrzmiałej potęgą, do stolicy Imperium”.

Turystę, który przyjechał do Petersburga na dziesięć dni, wysyłano nie tylko do Puszkina – Pawłowska – Peterhofu, ale też do Gatchyny – byle dalej. Styl pozostawał ten sam: historyczna siekanina podszyta lirycznym brzęczeniem. „Sądzę, że po niezapomnianym spacerze po bulwarach z przyjemnością zajrzycie do restauracji „Kalinka”. Odziani w kubraki kelnerzy ugoszczą was najpierw kanapką z kawiozem i jesiotrem z rożna. A po ognistym kapuśniaku i lodowatej wódce przenikliwy wiatr od Bałtyku wyda się wam odświeżającą bryzą”.

W pierwszym odruchu chciałam pójść na pocztę i posłać pana Achatekińskiego skąd przybył – do Nowego Jorku. Ale pożałowałam pieniędzy na znaczki. Na czym, właściwie, polega moje zadanie? Na uzupełnieniu listy o nowe hotele i wykreśleniu zamkniętych restauracji. Nikt mnie przecież nie prosił, żebym poprawiała sam tekst.

Poczułam przypływ energii, jak zawsze w obliczu niewykonalnego zadania.

Postanowiłam zacząć od muzeów. Wymienione w przewodniku ulica Czerwonej Łączności i aleja Zielonych Pionierów na pewno zmieniły już nazwy. Do dziesiątej rano instytucje kulturalne nie odpowiadały. Sporządziłam listę muzeów i ruszyłam od przedmieść w stronę centrum, zacieśniając kręgi.

– Dzień dobry. Czy to Pałac Pawłowski?
– Dział naukowy muzeum.
– Czy mógłby mi pan podać wasz adres?
– A po co pani adres? Widać nas spod dworca.

– Chciałabym dokładną nazwę ulicy.

– Niech mi pani nie zawraca głowy. Każdy przechodzień wskaże pani drogę.

Staralam się więcej nie dzwonić do działów naukowych. Wypytywanie woźnych też nie przyniosło skutków.

– Oj, nie wiem. Ja tu dobie siedzę na dyżurze, a potem mam dwie doby wolnego.

– Niechże pan przejdzie parę kroków, na drzwiach powinna być tabliczka „Godziny otwarcia”.

– Nie wolno mi się oddalać z miejsca pracy. Takie mamy przepisy.

Czego ten stary grzyb pilnuje w Muzeum Higieny? Ekspozycji „Zdrowy styl życia”?

Pod wieczór pierwszego dnia zaczęłam się poddawać. Co trzeci telefon – pudło.

– Czy to Dom Oficerów?

– Nie, świątynia buddyjska.

– Przepraszam, konsulat?

– Kursy przygotowawcze Koła Łowieckiego.

Któregoś razu – nie pamiętam już, dokąd chciałam się wtedy dodzwonić – w słuchawce, po europejsku, sami się przedstawili: „Salon Lewatywy”.

W programie trzydniowej wycieczki była stroniczka „Gdzie uprawiać sporty”.

1. Wojskowy Klub Sportowy. (Nic, tylko tam na was czekają).

2. Stowarzyszenie Curlingu. (Pierwsze słyszę. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Pod tym samym telefonem figurują shapeing i bodybuilding, więc nie będziemy nic zmieniać. Amerykanin pewnie dnia nie może przeżyć bez curlingu).

3. Sekcja Sportowej Orientacji w Terenie „Azymut”. (Wreszcie coś rozsądnego. Taki turysta przynajmniej nie zabłądzi w Ogrodzie Letnim i z kompasem w dłoni wydobędzie się nawet z najciemniejszych petersburskich zaułków).

W przewodniku było napisane: „Warto pojechać na łyżwach w Ogrodzie Taurydzkim. Sprzęt sportowy za symboliczną opłatą otrzymacie na miejscu”. O ile mnie pamięć nie myli, Ogród Taurydzki jakiś czas temu rozkopali...

– Dzień dobry. Z kim rozmawiam?

– Z hydraulikiem.

– Chciałabym uzyskać informację: czy lodowisko jest otwarte?

– Jakże, do cholery, lodowisko? Latem?

– A, faktycznie. A zimą będzie otwarte?

– Zimą to my tu sami zamrzniemy na amen.

Najbardziej chamsko zachowywali się celnicy i administratorzy oper. A to „informacja płatna”, a to „przez telefon informacji nie udzielamy”. Zdarzały się jednak miłe głosy. Staruszki, którym chciało się pogadać, a nie miały z kim. Dzwonię do solarium „Dzwon” sprawdzić, czy nadal w trzeci czwartek każdego miesiąca mają wolne.

– Słoneczko ty moje, kierowniczką zabrała kasę i uciekła, a u głównego księgowego znaleźli guz w mózgu. Przychodzę tu tylko podlewać kwiatki. Przecież przez całą blokadę, do ostatniego dnia...

Babciu, kochana, nie mam czasu na słuchanie twojej biografii. Dolar czekać nie będzie. Terminy gonią.

Skończywszy z muzeami westchnęłam z ulgą: teraz restauracje i hotele, a potem już same drobiazgi.

W przewodniku czytam: „Gigantyczny kompleks hotelowy „Pribaltijskij”, wychodzący swymi piętnastoma restauracjami na Zalew Fiński, miał, zdaniem obywateli radzieckich republik nadbałtyckich, przypominać wszystkim, kto tu rządzi. Teraz, po rozpadzie ZSRR, hotel opustoszał, ale obsługa, jak na tutejsze warunki, została na poziomie. Personel biegle posługuje się angielszczyzną bohaterów Karola Dickensa. Nie sądzmy jednak zbyt surowo Rosjan, którzy przecież dopiero co odkryli, że poza Rosją-matuszką istnieją też inne kraje... Komunikacja z centrum miasta okropna. Możecie zresztą wypożyczyć samochód i zostawiać go na parkingu hotelowym”.

Tak, pomyślałam, parking. Trzeba to sprawdzić. Niech redaktor doceni moje dobre chęci.

– Halo, hotel?

– Recepcja czterogwiazdkowego hotelu „Pribaltijskij”, słucham.

– Czy dysponujecie państwem parkingiem?

– Oczywiście. Całodobowym.

– Mam nadzieję, że dla turystów, którzy zatrzymują się u państwa, miejsce jest bezpłatne?

– Niby dlaczego bezpłatne? Nawet bardzo płatne.

– A ile za dobę?

– Nie wiem. Trzeba pytać bezpośrednio na parkingu. Telefonu nie mają. Proszę podjechać i spytać o Walerika. On pani powie, co, jak i za ile.

Zegarek wskazywał pół do pierwszej w nocy. Radzono mi jechać w gęstej mgle na kryminogenną Wyspę Wasilewską, żeby zapytać Walerika, „co, jak i za ile”. Pomyślałam i napisałam: „Opłata parkingowa – dziesięć dolarów za dobę”. Był to mój pierwszy grzech od początku tej pracy.

Mineło trzy i pół miesiąca. Telefon zepsuł się i musiałam kupić następny. Ale ani ze starego, ani z nowego nie mogłam dodzwonić się do salonu masażu „Stoik”. A to zajęte, a to nikt nie podnosi słuchawki. A przecież pełna lista gabinetów masażu była sprawą najwyższej wagi. Setny raz wykreśliłam obrzydły numer „Stoika” i usłyszałam przytłumiony głos:

– Coś jakby telefon...

– Salon masażu? – zawylałam.

– Tak... A jak się pani do nas dodzwoniła? Telefon odłączyli nam jakieś pół roku temu. Nie mamy nawet aparatu...

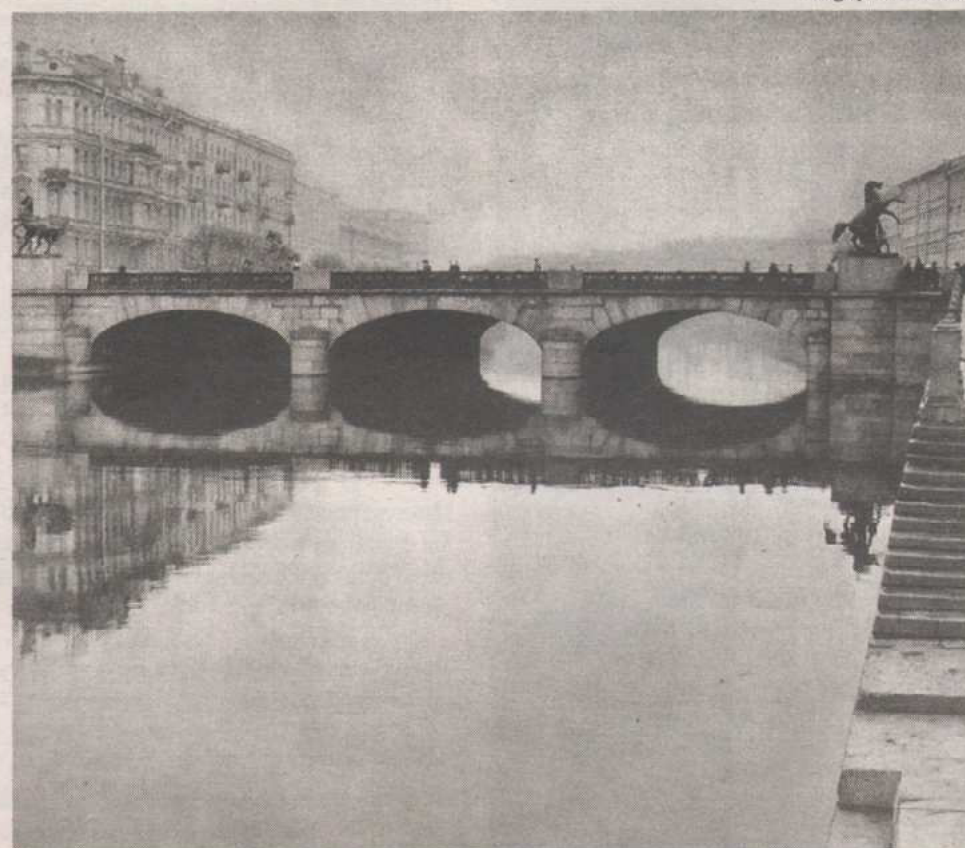
– To jakim cudem z panem rozmawiam?

Usłyszałam niewesoły śmiech, po czym głos przepadł. Wstałam, otworzyłam lodówkę, znalazłam resztki „Synopskiej”, wypilałam i wyłączyłam się.

Bogu niech będą dzięki! Techniczna część zadania za mną. Trzeba jeszcze tylko napisać, co porabiamy w wolnym czasie. Otworzyłam przewodnik, żeby sprawdzić, co też na ten temat sądzią w USA. A zatem – hobby Rosjan:

SANKT PETERSBURG

Reprodukcja Album: Mosty powisli nad wodami..., Leningrad 1975. Fotografia E. Pliuchin



1. Bania.

„Od niepamiętnych czasów Rosjanie przepadają za łaźnią. Przed Paschą – najważniejszym dniem w roku – ziemianie i chłopcy wspólnie szli do łaźni na znak wielkanocnego pojednania. Dziś do łaźni chodzi się jak do klubu: wypić piwo, zagrać w szachy, poczytać gazety. W sklepiu przy wejściu można kupić *venik* – bukiet brzoźowych witek. Rosjanie wypędzają nim z organizmu toksyny i zło!”.

2. Wódka.

„Jeśli idziecie z wizytą do Rosjan, kupcie pani domu w prezencie butelkę wódki. Wódkę pije się na dwa sposoby. Wariant pierwszy: zróbcie wydech i wypijcie wódkę zagryzając plasterkiem łososa. Wariant drugi: weźcie wdech, a potem wypijcie wódkę. Wśród Rosjan starej daty spotyka się jeszcze elegancki zwyczaj wachania skórki razowego chleba, którą jednak nie należy potem zakąsać”.

3. Wycieczki krajoznawcze.

Otwórzcie sobotnie wydanie dowolnej gazety. Znajdziecie tam zaproszenie na wycieczki; punkty zborne wyznacza się pod pomnikami byłych przywódców komunistycznych. Mieszkańcy miasta organizują się w zespoły, wybierają kierownika i zwartymi grupami ruszają na wycieczkę wokół jeziora, szlakiem krwawych bitew drugiej wojny światowej albo po prostu w bajeczne rosyjskie

las, czasami z noclegiem. Wycieczki są ostatnią pozostałością komunistycznej ideologii we współczesnej Rosji”.

4. Wypoczynek rodzinny.

„Na weekend petersburżanie lubią wyjechać z rodziną do hotelu za miasto. W niedzielny poranek całe towarzystwo udaje się do lasu, skąd powraca z pełnymi koszami pieczarek. Na kolację kucharze hotelowi przygotowują rosyjskiej rodzinie barbecue ze świeżo zebranych grzybami i aż do rana słychać będzie to żarty i śmiech, to znów chwytające za serce rosyjskie pieśni. W niedzielę wieczorem rodzina wraca do miasta, żeby na jutro włączyć się w ludzkie kolumny maszerujące do fabryk i zakładów”.

Spodobały mi się nasze hobby. W końcu my też żyjemy w wolnym kraju: jeden idzie na wycieczkę krajoznawczą wokół jeziora, a drugi po wyjściu z łaźni wypija na głębokim wdechu sto gram wódki. Po co pisać od nowa, pomyślałam. Niech zostanie, jak jest.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[„Zwiedza” 1999, nr 1]

NATALIA TOLSTOJ. Prozaik, docent Katedry Filologii Skandynawskiej Uniwersytetu Petersburskiego. W 1998 r. wspólnie z siostrą, Tatianą, wydała tom prozy i publicystyki pt. *Siostry*.

Literatura przyspieszonego rozwoju

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

wdzięku, pożądające rozkoszy i przyjemności nimfomanki Narbikowej nie mogą oczywiście, pod względem popularności, konkurować z mitem Rosjanki-żony (lub wdowy), ofiarnie wspierającej męża, który ucieleśnia Małgorzata z powieści Bułhakowa, czy prostytutki zbawiającej Rosję (*Rosyjska piękność* Wiktora Jerofiejewa), jak w swoim czasie Sonia Marmieladowa – Raskolnikowa. Jednak wśród umęczonych codziennością Rosjanek, które zapęliły stronicę najnowszej prozy, kobiety Narbikowej jaśnieją blaskiem.

Nowe czasy zaproponowały nie tylko nowe tematy i problemy, ale również odmienne style uprawiania i odbioru literatury. Katalizatorem przemian stał się postmodernizm. Jednakże nurt ten, choć nie brak mu entuzjastycznych wyznawców (np. krytyk Wiaczesław Kuricyn, autor szeregu felietonów i recenzji napisanych w postmodernistycznym kluczu) już na wstępie był dyskredytowany przez krytykę rosyjską różnych orientacji. Termin zaczął się upowszechniać w 1991 roku, a rok później pojawił się artykuł Karena Stepaniana pt. *Realizm jako stadium końcowe postmodernizmu*. Według wielu postmodernizm jako nurt odrzucający aksjologię pozostaje zjawiskiem obcym kulturze rosyjskiej, w związku z czym powinien być jak najszybciej przezwyciężony. (Zauważono także, iż poststrukturalistyczne hasło śmierci autora w realiach rosyjskich brzmi cokolwiek makabrycznie.) Inni adaptują prace zagranicznych myślicieli, podkreślają jednak, że domeną literatury rosyjskiej zawsze jest poszukiwanie prawdy i sensu. Mimo że uznawana za marginalną, w najlepszym razie pograniczną tendencję, proza postmodernistyczna jako wzorzec czy to godny naśladowania, czy to bezużyteczny, pozostaje w centrum uwagi. W gorących dyskusjach dają znać o sobie kompleksy; nierzadko krytycy o orientacji realistycznej twierdzą, iż postmoderniści rosyjscy interesują wyłącznie czytelników z zagranicy. Za twórców „eksportowych” uchodzą Wiktor Jerofiejew i Waleria Narbikowa.

Spośród rozmaitych idei przeszczepianych z Zachodu na grunt rosyjski, niezwykle karierę zrobiło pojęcie *simulacrum*, bardzo szybko zaadaptowane dla opisu rzeczywistości radzieckiej jako rozrastającej się pustki. Wykorzystują je m. in. Igor Radow i Wiktor Pielewin, obecnie najmłodniejszy prozaik rosyjski. Rzeczywistość jego utworów rozpada się i rozsypuje jak zużyte dekoracje w finale *Zaproszenia na egzekucję*. Dla Nabokowa nieprzystawalność światów była przedmiotem przedstawienia, w prozie postmodernistów wszystko pasuje do wszystkiego, odrębne style i światy łączą łatwe przejścia. Niezborność rzeczywistości utworów podtrzymuje fabuła, przypominająca, jak zauważa w odniesieniu do Pielewina krytyk Aleksander Genis, scenariusz gry video. Obserwację tę potwierdza podtytuł innego utworu: *Czarna skrzynka. Powieść-klip Władimira Zujewa*. W rezultacie, niezależnie od poruszanych tematów, czytelnik otrzymuje seryjny uniwersalizm pop-kultury.

Warto jednak podkreślić, że postmodernizm wpłynął na zmianę stylu odbioru utworów literackich. Na przykład na początku lat 80. twórczość *Tatiany Tolstoj*, wnuczki autora *Drogi przez mękę*, miała dla czytelników przede wszystkim wymowę społeczną. Uważano, że jej zaletą jest piętnowanie negatywnych zjawisk rzeczywistości rosyjskiej: banału życia, braku perspektyw, wszechogarniającej nudy i trywialności marzeń o mieszczańskim szczęściu. W końcu lat 80. zaczęto dostrzegać w opowiadaniach pisarki również intertekstualne osiągnięcia, zabawę filologiczną, dialog z przerwana w połowie lat 20. tradycją tzw. pro-

zy ornamentacyjnej, eksponującej nie poznawcze, lecz ekspresyjne wartości wypowiedzi. Pisarze, choćby poprzez tytuły odsyłające do innych utworów, dają wyraz świadomości, iż ich własne dzieło ma przede wszystkim charakter literacki. Nawet twórcy sięgający po formę autobiografii pragną, by ich wypowiedź sytuować w kontekście gry stereotypami literackiej komunikacji (np. *Trepanacja czaszki Siergieja Gandlewskiego*). Tak ważny dla literatury rosyjskiej dokumentalny przekaz zastępowany jest dzisiaj kreacją fikcyjnych światów.

Postmodernizm ożywił także rozważania na temat realizmu. Niektórzy krytycy uważają, że realizm w dzisiejszej postaci, tzw. postrealizm, jest systemem myślenia artystycznego, który zwraca się ku uniwersalizmowi i wykorzystując postmodernistyczne doświadczenie chaosu oraz śmierci, stara się w nich odnaleźć tragiczny sens. Taką postawę artystyczną przyjmują outsiderzy (z racji pochodzenia jest nim Żyd Aleksander Mielichow, a także powołżański Niemiec Oleg Kling), lub też pisarze wywodzący się z peryferii imperium rosyjskiego (Jurij Bujda z Prus Wschodnich oraz Igor Klech z Ukrainy). Ci ostatni zresztą od lat mieszkają już w Moskwie, gdyż jak stwierdził Klech, prowincja to „piękny obiekt od opisywania, ale nie do życia. Można się tam tylko urodzić i umrzeć”. Jednak to właśnie pogranicze dało im prozie historie dusz okaleczonych, skrzywdzonych i zapomnianych, a także magicznych miejsc, strasznych i pięknych jednocześnie, takich jak Huculszczyzna Klecha, Prusy Wschodnie Bujdy, tygiel narodowości – Kazachstan Klinga i Mielichowa. Dla Asara Eppela niesamowitym zakątkiem jest moskiewska dzielnica Ostankino.

Pisarze z kręgu realizmu snują opowieści o osobistych i cudzych losach, poruszają tematy winy, wygnania i narodowej tożsamości. Niektórzy, jak Aleksander Sołżenicyn czy Aleksiej Warlamow, próbując zrozumieć znaczenie zachodzących obecnie przemian, przywołują wydarzenia społeczne ostatniego dziesięciolecia. Jednakże wyłącznie sentymentalna lub moralizatorska postawa, jaką przyjmują, dzisiaj już nie przekonuje i nie kuszą. Zdecydowanie większym powodzeniem cieszą się u rosyjskiego czytelnika felietony, w których autorzy utrwalają atmosferę bieżącej chwili, specyficzny język, gest, sposób komunikacji (Jewgienij Riejn, Natalia Tolstoj). Budzą także zainteresowanie utwory będące artystyczną reakcją na wojenne kataklizmy w Afganistanie (Oleg Jermakow) i w Czeczenii (Władimir Makanin).

Krytycy od lat śnią sny o arcydziele. Czekają na nie publiczność.

Anna Skotnicka-Maj

Tadeusz Klimowicz

**Przewodnik
po współczesnej
literaturze rosyjskiej
i jej okolicach
(1917–1996)**



SANKT PETERSBURG

Reprodukcja Album: *Mosty powisli nad wodami...*, Leningrad 1975. Fotografia E. Pliuchin

Władimir Czutko Petersburg – Czilkien fragment

Wagon nie był tak znów bardzo zatłoczony. Górna leżanka nad miejscem Tatiany okazała się wolna. Jewłaszew rozstawił na niej tomy *Tysiąca i jednej nocy*. Tatiana przytuliła się do niego. Kilka sekund stali nieruchomo. Jewłaszewowi zdawało się, że budynek dworca za oknem zaczyna odpływać, ale ściany przedziału też falowały, nie mógł złapać ich wyraźnego obrazu – drżały. Delikatnie uwolnił się z objęć, usiadł i potarł czoło.

– Zapalimy? – zapytał.

– Zapalimy – z gotowością podchwyciła Tatiana.

Podreptała za nim wąskim przejściem, starając się nie zostać w tyle, opuszczając głowę przed napotkanymi mężczyznami. Wielokrotnie obserwowana z zewnątrz i tak zazwyczaj irytująca pokorna drugoplanowość kobiety Wschodu wydawała jej się teraz zaszczytnym przywilejem.

Ludzi na peronie zrobiło się jakby mniej, chociaż konduktorka stała jeszcze na zewnątrz. Popatrzyła z jawnym niezadowoleniem, ale nic nie powiedziała. Jewłaszew wywracał kieszenie w poszukiwaniu nitrogliceryny, Łaska boska, przynajmniej papierosy były na miejscu.

– Nie wychodź – powiedział. Tatiana pokornie zamarta na stopniu.

– W wojsku mówili: „zapalimy – pojedzie-

my” – powiedział Jewłaszew, jakby tłumaczył się konduktorze. Znalazł w końcu lekarstwo, listek był jednak pusty. – Nie masz przypadkiem nitrogliceryny?

– Co? – schyliła się Tatiana.

– Odjazd – powiedziała konduktorka i weszła na stopień, tak że Tatiana musiała cofnąć się w głąb wagonu.

Pociąg powoli ruszył z miejsca, ale Jewłaszew wciąż nie gasił papierosa, jakby to był ostatni, jakby palił na zapas. Szedł obok drzwi i uśmiechał się przepraszająco.

– Będziesz skakać – nie puszczę – ostrzegła konduktorka, jednak trzymała drzwi otwarte, póki nie skończył się peron.

– Twój bagaż – powiedziała Tatiana, jakby mógł ją jeszcze usłyszeć. Konduktorka zadrzasnęła w końcu drzwi, wyciągnęła z kieszonki na piersi pieniądze, złożone w wąski pasek, i podała Tatianie.

– Na co mi to? – krzyknęła Tatiana. – Proszę otworzyć, wysiadam!

– Już otwieram – powiedziała spokojnie konduktorka. – Może pociągnij jeszcze za hamulec.

Tłumaczyła Małgorzata Buchalik

[„Dworcowa”, 26” 1998]

WŁADIMIR CZUTKO, ur. 1961. Reżyser filmowy. Mieszka w Petersburgu.



**Wyższa Szkoła
Zarządzania
i Bankowości
w Krakowie**
al. Kijowska 14
centrum miasta

STUDIA LICENCJACKIE

ZARZĄDZANIE I MARKETING FINANSE I BANKOWOŚĆ

studia magisterskie
na miejscu

**W czołówce
list rankingowych uczelni
Akredytacja SEM FORUM**

**NOWOCZESNY PROGRAM
DOSKONAŁA KADRA
PERFEKCYJNE ZARZĄDZANIE
MULIMEDIA, INTERNET, AKADEMIK**

15-letnie zezwolenie Ministra Edukacji Narodowej nr 55

Zapisy codziennie
8.00–18.00

tel. (012) 423 75 77,
637 33 47, 636 87 72

e-mail: wszib@wszib.krakow.pl
<http://www.wszib.krakow.pl>

Uczelnia
ufunduje stypendium
dla trzech studentów
z Europy Wschodniej
zakwalifikowanych na
studia przez Ministerstwo
Edukacji Narodowej



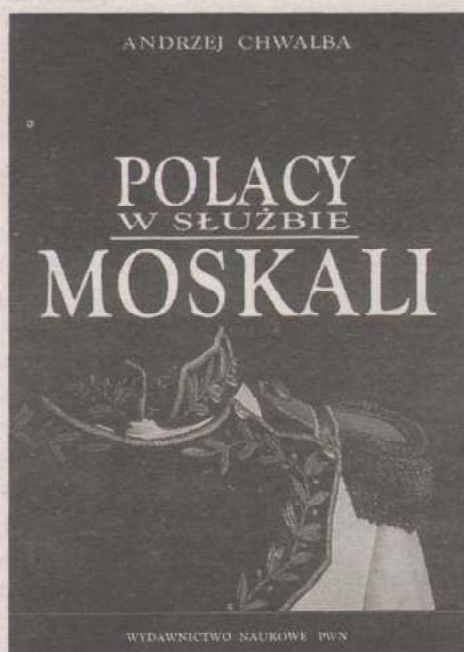
WYDAWNICTWO NAUKOWE PWN

Warszawa, ul. Miodowa 10
Dział Sprzedaży: tel. (022) 635 09 76, fax (022) 26 09 50
Magazyn: ul. Suwak 5, tel. (022) 43 38 21
Oddział w Krakowie: 31-037 Kraków, ul. św. Tomasza 30



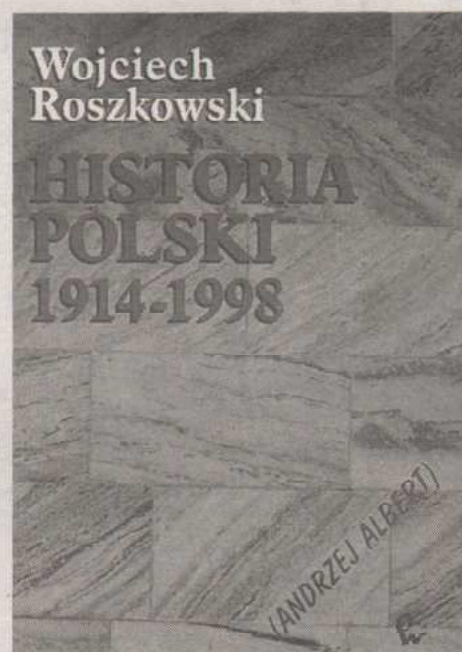
**Jan Kucharzewski
OD BIAŁEGO CARATU
DO CZERWONEGO**
tom 4 Wyzwalanie ludów
PWN 1999

Nie ukończone, liczące siedem tomów dzieło Jana Kucharzewskiego (1876–1952), jest gruntownym studium dziejów wewnętrznych Rosji w XIX wieku. Autor skupia uwagę na historii ruchu rewolucyjnego i polityki rosyjskiej wobec ziem polskich. Jednak za najciekawszą uważa rosyjską myśl i kulturę.



**Andrzej Chwalba
POLACY W SŁUŻBIE MOSKALI**
PWN 1999

Już sam tytuł podważa prawdziwość utrwalanego przez dziesięciolecia obrazu zachowań Polaków pod zaborami. Książka poświęcona jest sytuacji na ziemiach polskich po upadku Powstania Styczniowego i, jak pisał Ryszard Kołodziejczyk, „jest polemiką z naszą literaturą historyczną”.



**Wojciech Roszkowski
HISTORIA POLSKI 1914 – 1998**
PWN 1999

Pierwsza wersja książki była wydana pod pseudonimem Andrzej Albert w podziemiu. Oficjalnie praca Roszkowskiego ukazała się staraniem PWN w 1991 i 1992 roku. Najnowsze wydanie, o charakterze podręcznika, obejmuje również ostatnie kilkanaście lat, aż po kalendarium roku 1999.

KAWIARNIA-RESTAURACJA

Wiśniowy Sad

zaprasza na:

pielmieni syberyjskie
naleśniki z kawiozem
barszcz po kijowsku
firmowy torcik „Wiśniowy Sad”
herbatę syberyjską
kawior z wódką

w godzinach od 10 do 22

Muzyka na żywo:
czwartek – niedziela

Kraków, ul. Grodzka 33
tel. 430-21-11

